P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 4/295** **1972**

• « La Culture » • Revue mensuelle •

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **DE CUSTINE WCZORAJ I DZIŚ**

W. WIRPSZA : **STALINOWSKA PRZYGODA LITERATURY POLSKIEJ**

M. BROŃSKI : **MUZA TEODORA PARNICKIEGO**

Z. HAUPT : **Z LACZCZYNY**

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	*De Custine wczoraj i dziś*	3
Witold Wirpsza:	*Stalinowska przygoda literatury polskiej*	8
Witold Wirpsza:	*Przypowieść o stu sprawiedliwych*	18
Alicja Iwańska:	*Państwo wieloetniczne czy wielonarodowe?*	25
Marek Głogoczowski:	*Skrzynia*	36
M. Broński:	*Muza Teodora Parnickiego*	54
Zygmunt Haupt:	*Z Laczczyny*	65
Jerzy Stempowski:	*List do Zygmunta Haupta*	72

WIERSZE

Florian Śmieja:	*Pablo Neruda*	74
Pablo Neruda:	*Dwadzieścia wierszy miłosnych*	75

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	*O banałach i „cudach" w polityce*	79
Brukselczyk:	*Widziane z Brukseli*	90

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	*W sowieckiej prasie*	99
Karel Klatovsky:	*Nowa emigracja czeska i słowacka*	104
—	*Vasil Bilak w roli mentora*	109

ZE ŚWIATA

Zbigniew Byrski:	*O definicję amerykańskiej rewolucji*	111

SPRAWY I TROSKI

Adam Nasielski:	*Australia*	124

KRONIKA KULTURALNA

—	*Wspomnienie o Janie Świdzie*	131
Bohdan Osadczuk:	*Od Magadanu do Monachium*	132
Jerzy Kowalski:	*Piętnaście „Jesieni"*	134
Maria Danilewiczowa:	*Scando-Slavica*	139
Berlińczyk:	*Dwa razy „Operetka" Gombrowicza*	142
—	*Stypendia „Polonia Technica"*	144

KSIĄŻKI

—	*Dalsze tomy mickiewiczowskiego Kalendarium (I)*	145
Maria Czapska:	*W dwie strony*	148
Janina Katz:	*Nadesłane nowości wydawnicze*	151

◆

—	*Wydarzenia miesiąca*	153

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień-Avril 1972

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ „KULTURY"

Marian Barski, Argentyna, po raz piąty	F. 50,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz szesnasty ..	F. 100,00
Jonas D. Cesna, Corvallis, Oregon (USA), po raz drugi	F. 25,00
Prof. Jan Drewnowski, Haga, po raz trzeci	F. 300,00
George J. Dobrzański, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dziewiąty	F. 50,00
E. G. Hejka, Royal Park (Australia)	F. 27,00
Marian Kaczor, Clifton, N.J. (USA), po raz drugi	F. 25,00
Cecylia Korczak-Fabierkiewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz ósmy	F. 15,00
Anna Malinowska, Madryt	F. 40,00
„Polonia Technica", Inc., New York, po raz szósty	F. 75,00
Inż. L. W. Skonieczny, Toronto, Ont. (Kanada), po raz czwarty	F. 125,00
J. Waroczewska, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dziesiąty	F. 50,00
Czesław Zaim, Cleveland, Ohio (USA), po raz szósty	F. 25,00
Bezimiennie z Kalifornii, ku pamięci poległych w Powstaniu kolegów z „Czaty 49" z ugrupowania Radosława	F. 100,00
Ted M. z Chicago, Ill. (USA)	F. 50,00
Zebrane: na imieninach p. Henryka Wilczyńskiego w Brisbane, $ 38,00; nad odczycie Andrzeja Chciuka w Kole S.P.K. w Capalaba, $ 31,80 oraz na pogadance Andrzeja Chciuka o Izraelu w Polskim Kole Kulturalno-Artystycznym w Melbourne, $ 59,50 — razem $ A. 129,30, przekazane przez Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej *Kultury* w Melbourne	F. 776,58

DZIĘKUJEMY!

NOTA BIOGRAFICZNA

Witold WIRPSZA ur. 4. XII. 1918 w Odessie. Matura 1936 w Gdyni; studia muzyczne i prawnicze w Warszawie. Od 1939 do 1945 obóz jeniecki w Niemczech. Po wojnie praca w czasopismach i radiu (m.in. w *Po prostu* w latach 1956-1957, w charakterze kierownika działu kulturalnego; po rozwiązaniu pisma w redakcji *Nowej Kultury* do maja 1958, tj. aż do zmiany kierownictwa redakcji). Członek partii 1949-1968; zwrot legitymacji partyjnej w dniu inwazji na Czechosłowację.

Debiut w druku 1935, debiut książkowy (tom wierszy) 1949. Uprawia poezję, prozę, dramat, eseistykę, przekład. Nagrody: Nagroda literacka m. Szczecina w roku 1955, nagroda za przekłady (razem z Marią Kurecką) ZAIKS-u w roku 1961, nagroda za przekłady Niemieckiej Akademii Języka i Literatury w Darmstadtcie 1967. W roku 1967 stypendium zachodnioberlińskie (po Gombrowiczu i jako pierwszy Polak z kraju). Krytyka literacka określa go jako przynależnego — obok Tymoteusza Karpowicza, Mirona Białoszewskiego i Edwarda Balcerzana — do tzw. nurtu lingwistycznego we współczesnej poezji polskiej. Obecnie docentura gościnna na Uniwersytecie Technicznym w Berlinie Zachodnim.

Imprimé en France.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN
P. 9786 Chr. Arch.

De Custine wczoraj i dziś

W roku 1843 wyszło w Paryżu czterotomowe dzieło *La Russie en 1839*. Autorem był potomek starej arystokratycznej rodziny francuskiej, Astolphe Louis Lénor markiz De Custine. Urodzony w roku 1790, wnuk i syn dwóch De Custine'ów zgilotynowanych, rósł pod czułą opieką cudem ocalałej matki, pięknej Delphine, kochanki Chateaubrianda. I Chateaubrianda uważał po trosze za swego ojczyma. Podczas Restauracji próbowano z niego zrobić najpierw wojskowego, potem dyplomatę. Nie popisał się widocznie najlepiej jako *attaché* u boku Talleyranda na Kongresie Wiedeńskim, bo kariera rozpoczęta pod tak świetnymi auspicjami nie miała dalszego ciągu. Młodzieniec czuł pociąg do pióra, ale i w roli dość płodnego i wszechstronnego pisarza nie zaszedł wysoko; przeciwnie, po incydencie z roku 1824, który ku zgorszeniu salonów paryskich odsłonił upodobania homoseksualne świeżo owdowiałego markiza, można go było uznać za bankruta o wielkim nazwisku, za *un demi-homme de lettres* według etykietki przylepionej mu przez Heinego.

Pozostawała mu jedna karta: namiętność podróżowania, umiejętność „czytania" zwiedzanych krajów. Krytyka skwitowała stosunkowo przychylnie jego książkę o Hiszpanii. Balzac zachęcał go do kontynuowania tego gatunku, podsuwając mu wręcz trasę nowego wojażu: Rosję. Nie brak poszlak że szalę na stronę imperium Mikołaja I przeważył w końcu przykład, powszechnie wówczas i z podziwem dyskutowany, pierwszego tomu *De la Démocratie en Amérique* Tocqueville'a; markiz, zapaliwszy się do myśli o współzawodnictwie, chciał na przeciwległym biegunie zwiedzić i opisać drugą „wysuniętą placówkę cywilizacji europejskiej". Taką przynajmniej hipotezę formułuje George Kennan w ciekawej książeczce *The Marquis De Custine and His Russia in 1839*, którą wydano niedawno staraniem Uniwersytetu w Princeton. Kennan też zauważa że obaj, analizując skrajnie odmienne modele demokracji amerykańskiej i despotyzmu carskiego, doszli do identycznych wniosków politycznych.

Książka zatem ukazała się w roku 1843 i miała oszałamiające powodzenie. Sześć nakładów we Francji, kilka pirackich wydań w Belgii, szereg tłumaczeń: w sumie dwieście tysięcy egzemplarzy w krótkim przeciągu czasu, cyfra na owe lata zawrotna. Wciągnięta natychmiast na indeks w Rosji, była tam przemycana przez podróżnych zagranicznych i rosyjskich: czytano ją to z cierpkawą aprobatą, to z gwałtownym oburzeniem. Herzen widział w niej najlepszą książkę o Rosji, napisaną przez cudzoziemca; dodając melancholijnie, że trzeba było niestety cudzoziemca by coś podobnego powstało, że na taką książkę nie śmiałby, albo nie potrafił, zdobyć się żaden Rosjanin. Mikołaj I wpadł po szybkim przekartkowaniu czterech tomów w gniew, słyszano go mruczącego pod nosem: „Moja wina, to ja ułatwiłem temu łajdakowi przyjazd do Rosji". (W roku 1836 „wariat" Czaadajew, w roku 1843 „łajdak" De Custine). Fama jednak głosi, że dał się później przemóc ciekawości i wyjątkowo nudne wieczory w pałacu wypełniał sobie i rodzinie czytaniem na głos wybranych rozdziałów. Dopiero po upływie siedemdziesięciu blisko lat, w roku 1910, cenzura carska zezwoliła na skrócone rosyjskie wydanie książki. Prawie jednobrzmiący skrót ujrzał światło dzienne nazajutrz po rewolucji, ale został błyskawicznie skonfiskowany, z powodów które są bardziej oczywiste dzisiaj niż mogły być wtedy. W latach trzydziestych i czterdziestych (opowiada Kennan) dyplomaci zachodni akredytowani w Moskwie polowali na fragmenty *Rosji 1839* i czytali je zachłannie z „nieopisaną rozkoszą".

„Pojechałem do Rosji by znaleźć tam argumenty przeciw rządom reprezentacyjnym, wracam z niej jako zwolennik konstytucji". Książka De Custine'a była anatomią despotyzmu, bezlitosną, dokonaną ostrym lancetem, nieodpartą w swoim przewodzie obserwacyjnym i myślowym. „Tyrania jest chorobą urojoną narodów; tyran, przebrany za lekarza, przekonał je że zdrowie nie jest stanem naturalnym człowieka cywilizowanego, i że im większe niebezpieczeństwo, tym drastyczniejsze musi być lekarstwo: tak podsyca chorobę pod pretekstem jej leczenia. Ład społeczny kosztuje w Rosji zbyt drogo, bym mógł go podziwiać. A jeśli mi postawicie zarzut że mieszam despotyzm z tyranią, odpowiem że czynię to celowo. Te rzeczy są tak bliskimi krewnymi, że prawie zawsze łączą się w sekrecie na zgubę ludzi. Pod panowaniem despotyzmu tyrania może trwać, gdyż posiada maskę. Gdy Piotr Wielki wprowadził to co tu nazywa się *czinem*, gdy innymi słowy zaaplikował hierarchię wojskową do całej administracji imperium, zmienił swój naród na pułk niemych i sam ogłosił się pułkownikiem, z prawem przekazywania tego stopnia swoim następcom. Rząd rosyjski jest dyscypliną wojenną, która zastąpiła porządek miasta, stanem oblężenia uznanym za normalny stan społeczeństwa". Lapidarność i celność De Custine'a! Chciałoby go się bez ustanku cytować. „We Francji tyrania rewolucyjna jest przejściowym złem, w Rosji tyrania despotyzmu jest rewolucją permanentną". I jeszcze: „Gdybyście byli moimi towarzyszami w podróży do Rosji, odkrylibyście w sercach

ludzi tego kraju nieuniknione spustoszenia — dzieło arbitralnej władzy, posuniętej do najdalszych krańców. Jest to przede wszystkim obojętność na świętość przyrzeczeń, na prawdę uczuć, na prawość postępków. Jest to również kłamstwo, triumfujące wszędzie i na każdym kroku... Życie społeczne w tym kraju jest ciągłą konspiracją przeciw prawdzie".

Krytycy rosyjscy markiza (bardziej poważni, gdyż broszurki zamawiane i opłacane przez rząd carski poprzestawały na oskarżeniu o „podłe oszczerstwo") wytykali mu rozliczne niekonsekwencje i nieścisłości, mieli mu za złe że nie chciał czy nie umiał sięgnąć głębiej, pod skorupę tępego reżymu mikołajowskiego. De Custine przewidział wymówki. „Moi rosyjscy czytelnicy powiedzą: *Trois mois de voyage, il a mal vu; il est vrai, j'ai mal vu, mais j'ai bien deviné.* I rzeczywiście, „przewidział" tak dobrze, że Kennan nie waha się dzisiaj twierdzić: „Nawet jeśli przyjmiemy że *Rosja 1839* nie była książką zbyt dobrą o Rosji w roku 1839, pozostaje niepokojący fakt że była książką znakomitą, chyba najlepszą ze wszystkich jakie dotąd napisano, o Rosji Stalina, a także książką zupełnie niezłą o Rosji Brežniewa i Kosygina".

Jak wytłumaczyć niezwykły walor profetyczny czterech tomów De Custine'a? Samym tylko darem „przewidywania" markiza, który w okresie trzymiesięcznej zaledwie podróży w roku 1839 nie zdołał uniknąć pułapek nadmiernego pośpiechu i błyskotliwej naskórkowości, a w sto lat później tajemniczym zrządzeniem losu okazuje się czymś w rodzaju czołowego „sowietologa" *ante litteram?* Byłoby to wyjaśnienie, delikatnie mówiąc, naiwne. Miał słuszność Herzen. De Custine, skupiwszy całą uwagę na jednym aspekcie Rosji Mikołaja I, na jej reżymie despotycznym, nie widział źle; i nie musiał wcale wybiegać wzrokiem naprzód, by widzieć to co rzucało się w oczy każdemu inteligentnemu i obiektywnemu obserwatorowi. Ponieważ zaś despotyzm carski dostał się w spadku, jeszcze bardziej „spokrewniony z tyranią", carobójcom i ich obecnym dziedzicom, markiz wydaje się dziś dalekowzroczny tam gdzie był po prostu trzeźwy i bystry. Niechaj zresztą będzie: można mu ostatecznie wystawić i takie świadectwo, ostrzegając jednak wraz z Kennanem że jego dalekowzroczność w stosunku do „rządu opartego na dyscyplinie wojennej" szła w parze z krótkowzrocznością, chwilami nawet ze ślepotą, w obliczu sił i aspiracji wolnościowych w Rosji. Nie jest jasne z czyjej winy słabo układały się kontakty De Custine'a z liberałami rosyjskimi: prócz listów polecających otrzymanych w Niemczech od Aleksandra Turgieniewa i rozmów prowadzonych na pokładzie *Mikołaja Pierwszego* z księciem Piotrem Kozłowskim, w samej Rosji zachował się jedynie zagadkowy ślad pobytu markiza w liście Czaadajewa do księżnej Szczerbatowej; nowokreowany przez cara „wariat" prosił w nim kuzynkę, by francuskiemu podróżnikowi powiedziała *ce qu'il faut qu'il sache.* Tak czy owak, kto zabiera się do czytania czterech tomów De Custine'a jako „najlepszej istniejącej książki o Związ-

ku Sowieckim", winien wciąż pamiętać o nieobecnej w nich „innej Rosji", nie mniej ważnej dzisiaj za czasów Stalina i jego sukcesorów, niż była wczoraj za czasów Mikołaja I.

◆

„Człowiek myśli po to, aby ulepszyć swój i cudzy los. Kiedy nie można nic zmienić, wówczas zbędna myśl zatruwa umysł". Ta refleksja De Custine'a dotyczyła zbuntowanych wewnętrznie poddanych cara. Opisawszy wybornie mechanizm despotyzmu, markiz rozłożył bezradnie ręce. Konkluzją była „niezmienna Rosja". Wolno przypuszczać, że *Rosję 1839* przestudiował dokładnie Conrad: stąd w jego „rosyjskiej" powieści sceptycyzm wobec kraju, w którym „zarówno prześladowcy jak prześladowani są na wskroś Rosjanami"; i stąd przypomnienie „prawdziwości przysłowia, że tygrys nie potrafi zmienić pręg na swej skórze, ani lampart cętek".

Ale Conrad (i De Custine) to luksus spojrzenia na dystans, z mniej lub więcej złudnym i tymczasowym poczuciem własnego bezpieczeństwa: w oczach Zachodu. A w oczach Wschodu? W oczach narodów które zmuszone są żyć obok, bądź w kleszczach, „niezmiennej Rosji"? Marian Zdziechowski trafnie określił stosunek Polaków do wschodniego sąsiada jako *trepiet małogo piered bolszym*, „drżenie małości przed czymś bardzo wielkim". Ten *trepiet* uprawiają od przeszło ćwierćwiecza z urzędu (należałoby dodać: i z pomazania) „właściciele (a raczej dzierżawcy) PRL". Ostatnio, odgrzebawszy na prędce swoje stare korzenie, przychodzi im w sukurs polska niezawodna mentalność endecka. Cokolwiek pachnie buntem przeciw „niezmiennej Rosji" (czyli jej kolejnym władcom), jest z natury rzeczy „szaleństwem" i „działaniem na szkodę Polski". Tej nowej symbiozie komunistyczno-endekoidalnej zawdzięczamy odruchy „zgrozy narodowej i patriotycznej", ilekroć mowa o najskromniejszych choćby fermentach rewolucyjnych w Rosji albo o tendencjach odśrodkowych wśród Ukraińców, Białorusinów czy narodów bałtyckich. „Dobrze rozumiana polska racja stanu" dyktuje przekreślenie takich „awanturniczych rachub". Drżenie zamienia się w wiernopoddańczy i czołobitny pokłon: przy Tobie najjaśniejszy suwerenie niezmiennej Rosji stoimy i stać będziemy, czy jesteś carem w koronie na imperatorskim stolcu, czy *gensekiem* w futrzanej czapie na trybunie mauzoleum Lenina... Sprawiedliwość każe przyznać, że po załamaniu się planów Piłsudskiego i jego wychowankowie uderzyli w podobną strunę, co dowodzi jak miłe było i jest polskim umysłom („zatrutym niemożnością absolutną") to co Stanisław Stempowski nazywał dosadnie „endectwem". W *Gazecie Polskiej* z 21 grudnia 1929 roku ukazał się artykuł pod adresem emigracji rosyjskiej: „Musimy się rachować z opinią sowiecką, bolszewicy w krwawych walkach ugruntowali władzę swoją; władzę tę przyjęły szerokie masy ludowe, my zaś, przyjmując to do wiadomości, uszanować powinniśmy wolę narodu,

który chce mieć nad sobą swoich dzisiejszych władców, nie zaś jakichś tam carskich generałów. Nie chcemy i nie mamy prawa wtrącać się w jego sprawy wewnętrzne i gdyby, przypuśćmy, zwalenie rządu sowieckiego było w naszym interesie, a w Europie powstał antysowiecki blok, my do niego nie przystąpimy nigdy; dajemy tym dowód istotnego szacunku dla narodu rosyjskiego i to nasze stanowisko oceni dzisiejsza i przyszła Rosja". Dziewięć lat wcześniej (według informacji Zdziechowskiego), w styczniu 1920 roku, Piłsudski prosił Czajkowskiego i Sawinkowa o interwencję u endeków: bał się ich „grawitowania ku Sowietom".

„Odkąd przyjechałem do Rosji (pisał De Custine), widzę w ciemnych barwach przyszłość Europy. Moja opinia jest tu kwestionowana przez niektórych bardzo mądrych i doświadczonych ludzi. Utrzymują oni, że przesadzam potęgę Rosji. Każde społeczeństwo, mówią, przeżywa swoje potknięcia, a przeznaczeniem tego jest rozprzestrzeniać się na Wschód i dopiero wtedy samemu się podzielić". Żeby nie było wątpliwości, Kennan zaopatruje przytoczony fragment w odsyłacz: „Współczesny czytelnik nie omieszka zauważyć aktualności tych słów w odniesieniu do konfliktu chińsko-sowieckiego". Była to bodaj jedyna w całej podróży chwila, gdy markizowi dano do zrozumienia, że mało jest w historii rzeczy tak zmiennych jak „niezmienność".

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

NA ANTENIE

PRZYNOSI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOŚNIĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn. MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. *Prenumerata roczna z przesyłką* £ 2.2.0 lub $ 5,00, F. 25,00.

Stalinowska przygoda literatury polskiej

W kraju, gdzie najpierwszym zadaniem była materialna jego odbudowa oraz przebudowa z państwa o charakterze w zasadzie rolniczym w nowoczesny organizm przemysłowy, gdzie trzeba było zorganizować sprawną służbę zdrowia i naprawdę powszechny system oświatowy oraz zlikwidować analfabetyzm — i gdzie rzeczywiście wszystko to w miarę sił i z koniecznymi, bo narzuconymi z zewnątrz zniekształceniami robiono, w tym kraju postronnemu obserwatorowi mogło się na pierwszy rzut oka wydawać, iż pracą naczelną jest katechizacja całego społeczeństwa: słowo stało się zasłoną dymną i słowu poświęcano najwięcej uwagi i ludziom słowa zaczęło się podówczas wieść osobliwie — i to niekoniecznie wbrew ich woli: nawet tak bardzo niekoniecznie, że trzeba ich było czasami w skrajności operowania słowem powstrzymywać. Powstawały dziwolągi, ponieważ słowo rodziło słowo i nic już nie miało wspólnego ani z materialnym, ani z duchowym życiem społeczeństwa.

Stalinowska przygoda literatury polskiej, krótka i z paroksyzmami, warta jest, by poświęcić jej nieco uwagi.

Usiłowano już niejednokrotnie wyjaśnić ten szczególny szereg pytań, gdzie nie tylko odpowiedzi, ale i same stojące obok siebie pytania wywołać mogą niejaką konfuzję; i właściwie dotąd jeszcze nie bardzo wiadomo, jak je stawiać w sposób racjonalny, ponieważ samo zjawisko trudno jest sklasyfikować: artystycznie, socjologicznie, metafizycznie, psychologicznie; w każdym razie dziś już staje się jasne, że fenomen sam w sobie nie był jednolity, był sprzeczny wewnętrznie i wykazywał swoistą własną i w relacji ze światem zewnętrznym dialektykę.

Chodzi, jak się czytelnik zapewne domyśla, o zjawisko, zwane realizmem socjalistycznym, czyli o kierunek artystyczny, którego sama już nazwa jest na tle historii sztuki i stosowanej w niej terminologii niebywałym dziwactwem. Do tej pory istniały w sztuce style, epoki stylistyczne, rodzące się, rozwijające i odchodzące wedle praw innych, aniżeli zasady rozumowania w kategoriach politycznych i w jednej i tej samej epoce stylistycznej można było znaleźć artystów i pisarzy o różnorodnych i często przeciwstawnych politycznych postawach: tak się miała rzecz — chociażby w czasach nowszych — w okresie renesansu, baroku, rokoko, klasycyzmu, romantyzmu, realizmu i tak dalej; także i określenia brały się z autonomicznej istoty sztuki w większej mierze, niźli ze źródeł ogólnie światopoglądowych. Tutaj natomiast — w realizmie socjalistycznym — najsamprzód została narzucona nazwa, związana z doktryną polityczną, później zaś na podstawie tej nazwy miano stworzyć sztukę i jej styl; napisano w tej materii olbrzymią bibliotekę bałamuctw, gdzie jeszcze można było zrozumieć, co oznacza tradycyjne określenie realizmu wobec literatury narracyjnej czy dramatycznej, czy wobec malarstwa i rzeźby, ale co to jest realistyczna muzyka lub wiersz liryczny, tego nikt nie mógł z sensem dojść: — przymiotnik: socjalistyczny był już bardziej zrozumiały, choć kameleonowaty, treść jego bowiem zmieniała się wraz z każdą nową uchwałą partyjną, za uchwałą partyjną zaś stała moc policyjna.

Ograniczając się do literatury, można powiedzieć w wielkim skrócie, że: po pierwsze, funkcja jej miała być nade wszystko agitacyjna; po drugie, miała ona dawać obraz życia społecznego zgodny nie z rzeczywistością, lecz z doktryną — obojętnie, czy doktryna miała jakiś związek z rzeczywistością, czy nie; po trzecie, miała w niej obowiązywać estetyka normatywna, wywiedziona głównie z tradycji dziewiętnastowiecznej z pewnymi ustępstwami na rzecz tradycji osiemnastowiecznej. Wszystko to oczywiście spowodowało niesłychany rozgardiasz — ale o tym nieco później.

Na razie postawmy kilka serii zapytań.

Seria pierwsza: Jak to się stało i jak to się stać mogło, że skoro tylko w roku 1949 zorganizowano monstrualny spęd literacki w Szczecinie, na którym uchwalono obowiązującą moc „metody realizmu socjalistycznego"wobec literatury polskiej, olbrzymia większość, i to niezależnie od rangi, nie tylko że przyjęła, chciałoby się rzec — łapczywie — ten nakaz idący od władzy, ale nadto, jeśli chodzi o pisarzy w wieku dojrzałym, odcięła się w potoczystej retoryce od swych dotychczasowych postaw? Dlaczego wtedy właśnie, kiedy partia nakazała im się zaprzeć własnego dorobku lub z nim publicznie polemizować, postarali się o przyjęcie do partii i bez wielkich trudności do partii zostali przyjęci? Dlaczego, kiedy partia poszła świadomie i prawdopodob-

nie ze względów taktycznych za daleko, tak wiele świetnych talentów parło jeszcze dalej?

Seria druga: Dlaczego pokolenie młode, wzrosłe w czasie wojny i które, jak to się wówczas zwykło było mówić, weszło w życie zarażone śmiercią, tak nagle się tego zarażenia, będącego przecież wielką szansą pisarską, wyzbywało lub wyzbyć się chciało? Dlaczego ochoczo zrezygnowało z przynależnej młodości chętki eksperymentu formalnego? Dlaczego młodzi partyzanci Armii Krajowej, rozgoryczeni widomym sprzężeniem wschodniego i zachodniego sąsiada w roku 1939 i w roku 1944, poddali się tak szybko narkozie sąsiada wschodniego? Czy tylko z nienawiści do zachodniego?

Seria trzecia: Dlaczego ludzie, którzy w roku 1947 publicznie nawoływali, aby „demokracji patrzeć na palce", czyli ludzie, którym odwagi cywilnej nie zbywało, po dwóch latach z równą odwagą cywilną od tego nawoływania się odżegnywali? Dlaczego ci, dla których w roku 1945 za mało było swobód obywatelskich, teraz godzili się — i nie tylko godzili, ale i uznali to za rzecz godną — aby te pomniejszone swobody obywatelskie jeszcze bardziej umniejszyć?

I seria ostatnia: Czy były to postawy szczere? Czy było to nałożenie maski? Czy było to samoistne nałożenie maski? Czy też pozwalano sobie maskę nakładać? Czy chciano odegrać pewną rolę i — wedle wyrażenia Mickiewicza — „łudzić despotę"? Czy był to ów Wallenrodyzm, o którym Słowacki powiadał, że rodził „zdrajców sto tysięcy"? Co miał rzeczywiście na myśli pisarz o poglądach liberalnych, nie młody już, który powróciwszy z emigracji na Zachodzie, mówił, że „źle zrośniętą rękę trzeba po raz drugi łamać"? Dlaczego, póki nie nastał stalinizm, pisarze nie wykazywali entuzjazmu, węsząc powszędy despotyzm, a kiedy despotyzm się rzeczywiście ujawnił, iskra entuzjazmu zabłysła?

Odpowiedź najprymitywniejsza będzie brzmiała: po co tak gmatwać sprawę? Za wszystkim tym stała moc policyjna, własna i cudza, i własna napędzana przez cudzą. Otóż, trzeba powiedzieć otwarcie, że moc policyjna do pisarzy jako do pisarzy się nie wtrącała; terror policyjny skierowany był przeciwko politykom zawodowym w pierwszym rzędzie, przeciwko wojskowym z własnych (komunistycznych) i nie własnych szeregów, przeciwko opornemu, zatrwożonemu wizją kołchozów chłopstwu, przeciwko sobie samemu wreszcie, to znaczy: policja terroryzowała policję i w tym może była jej największa siła i gwarancja skuteczności jej działania. Ale właśnie pisarzy jako pisarzy nie terroryzowała, chyba że który zaplątał się przypadkowo do innej grupy; tak było w Polsce i terror policyjny zjawisk w dziedzinie

kultury nie tłumaczy. Owszem, zastosowano przymus, ale był to przymus zupełnie innego rodzaju.

Pierwsze sensowne określenie tego przymusu będzie chyba to, że był to przymus zaczadzenia. Ale jakiego rodzaju było to zaczadzenie i skąd dobywał się czad? — Otóż wydaje się, że w polskim wariancie stalinowskiej literatury czad dobywał się ze słowa, produkującego słowo: w stworzonych z zewnątrz warunkach społecznej izolacji pisarzy (i innych artystów) pisarze zachłystywali się własnymi wytworami słownymi i wyobrażali sobie, że to zachłystywanie się jest swoistym procesem puryfikacji duchowej i najwyższą formą służby społecznej zarazem; grupowy solipsyzm izolowanego środowiska dawał złudzenie autentycznego kontaktu z rzeczywistością, ponieważ powiadomienia o tej rzeczywistości jak i jej wykładnię otrzymywano w kształcie werbalnym, spoistym i wyzbytym sprzeczności, czyściutkim w rozumowaniu i utwierdzającym we wszystkich intencjonalnych szlachetnościach. Powiadomieniom i abstrakcyjnej wykładni należało więc nadać możliwie doskonałą formę, nasycić emocjonalnie i rozwinąć w sugestywne obrazy. Pierwszy więc bodziec, kierowany ku zamkniętemu, izolowanemu środowisku, biegł od innego środowiska — też swoiście odosobnionego — to jest od środowiska zawiadowców politycznych i wpadłszy w obszary literatury, działał już samoistnie na zasadzie słoworództwa.

Tak, ale była mowa jeszcze i o puryfikacji. Z czego to pisarze chcieli się oczyścić, gromadnie lub pojedynczo, czy też każdy pojedynczo, ale i zarazem w gromadzie? Jakie było ich poczucie winy i jakie poczucie grzechu? Myślę, że to było właśnie w owym czasie nieokreślone i przez tę mglistość potrzeba puryfikacji stawała się szczególnie przemożna: była bowiem potrzebą bezpieczeństwa, i to szczególnego rodzaju bezpieczeństwa: politycznego mianowicie i to w pewnym bardzo niebezpiecznym kontekście. Po doświadczeniach drugiej wojny światowej, w czasie której pisarze jako pisarze — nie jako żołnierze, tacy także byli i ginęli nawet w boju — czuli się bezradni, ani nie mając wpływu na bieg wypadków, ani nie mając w zasadzie kontaktu z tymi, którzy ten wpływ na bieg wypadków wywierali — to znaczy: nie będąc w stanie kształtować wyobraźni polityków — po tych doświadczeniach więc, uznawszy widocznie swoją bezradność za winę lub grzech, odczuli potrzebę oczyszczenia. Ponieważ wina była jawnie polityczna, i ona to wywoływała poczucie niebezpieczeństwa i zagrożenia — nie osobistego, lecz literatury czy w ogóle całokształtu kultury narodowej — bezpieczeństwa jęto szukać w polityce właśnie; poprzez postulat służebności sztuki wobec polityki, czyli poprzez uznanie nadrzędności polityki wobec wszystkich innych zjawisk życiowych.

Wynik okazał się odmienny od naiwnie przewidywanego. Wypełniając postulat służebności wobec polityki, nieuchronnie poddano się niejakiej ukrytej manipulacji, polegającej na podstawieniu tej służebności — służebności innej: wobec polityków. Ulegano przy tym złudzeniu, że politycy służą pewnej nadrzędnej prawdzie albo wierze, idei, ideałowi czy choćby tylko realistycznej doktrynie; tymczasem rzecz miała się zgoła przeciwnie: to politycy tworzyli lub raczej wytwarzali idee, ideały i doktryny, po to aby one im były służebne. Tu kryła się zasadzka niełatwa do wypenetrowania i było to tym trudniejsze, że niejednokrotnie idee, ideały i doktryny, produkowane przez polityków miały im służyć jako zasłony dymne, jako zwody taktyczne, jako wybiegi, pozwalające im raczej się oddalać, niźli zbliżać do głoszonego oficjalnie celu.

Czy pisarze — a mówię o utalentowanych i wrażliwych — nie znali otaczającej ich rzeczywistości? Czy nie wiedzieli, co się dzieje po więzieniach i że tam gruchocze się kości celem wykrycia nieistniejących spisków i fabrykowania kłamliwych oskarżeń? Czy nie wiedzieli, co się dzieje po fabrykach, gdzie robotnik był w imię tak zwanej akumulacji socjalistycznej wyzyskiwany gorzej jeszcze, niż za czasów kapitalizmu; i że ulega demoralizacji, ponieważ zmuszony jest kraść, aby żyć? Czy nie wiedzieli, co się dzieje na wsi, ogarniętej trwogą przed przymusową kolektywizacją i gdzie w trwodze tej chłop ukrywał zboże i na własny użytek i po to, aby go nie sprzedawać poniżej ceny kosztów własnych? Czy nie wiedzieli, że w imię doktryny uniwersytety polskie zostały wydrążone i wyjałowione, i że pozbawiono możności wykładania wielu uczonych o światowej niejednokrotnie sławie? Czy nie wiedzieli, że po szkołach uczy się dzieci zafałszowanej historii ojczystej i powszechnej, zafałszowanej powszechnej i ojczystej literatury? — To znaczy: czy rzeczywiście nie wiedzieli, jaki jest dzień powszedni stalinizmu? Czy też nie mogli się tego dowiedzieć, ponieważ przed nimi było to ukryte?

Pewnych rzeczy naprawdę nie wiedzieli, bo całe społeczeństwo dowiedziało się o nich znacznie później; ale to nie były sprawy dnia powszedniego, to były elementy tajnej gry politycznej, akt nieujawnionych, układów nie publikowanych. Ale dzień powszedni, który całe społeczeństwo znało z własnego doświadczenia, czyżby był dla pisarzy niedostępny? Tak jest, był dostępny, ale dotrzeć do niego nie chciano, broniono się przed jego dostępnością, wtargnięcie bowiem dnia powszedniego do owego schronienia przed bezradnością, jakie dawała literaturze służebność wobec nadrzędnej polityki, musiałoby odnowić i poczucie winy, i poczucie zagrożenia. Więcej, rozpoczęła się osobliwa maskarada pozorów — myślę o lekturach i o reakcjach na nie.

Potajemnie wypożyczano sobie i czytano książki takie, jak „Rok 1984" Orwella, „Ciemność w południe" Koestlera, zbiór „Bóg który nie był bogiem", „Zniewolony umysł" Czesława Miłosza czy w końcu napisaną jeszcze w latach dwudziestych „Śmierć komandarma" Borysa Pilniaka, za którą autor w latach trzydziestych nałożył głową. Wypożyczano sobie, czytano i rozprawiano o tym prywatnie — z jakim skutkiem? — Po przeczytaniu „Roku 1984" ktoś wszczynał kampanię przeciwko Eliotowi, przedstawiając go jako zajadłego militarystę; po przeczytaniu „Ciemności w Południe" załamany czytelnik-pisarz koncypował brawurowy atak na Ernesta Hemingway'a; po przeczytaniu „Zniewolonego umysłu" powstawał esej przeciwko nieżyjącemu Josephowi Conradowi, który postawą swoją zdemoralizował młodzież roczników 1920 i przywiódł ich do reakcyjnych szeregów Armii Krajowej. Tamte bowiem książki, tytuły i problemy obłożone były tak wielkim i magicznym tabu, że nie mogła się o nich ukazać wzmianka publiczna, nie dawało się powiedzieć, że takie sprawy istnieją i że ktoś daleko w świecie o nich mówi.

Powstała literatura, w której słowo rodziło słowo, ale w sposób opaczny, przewrotny, sztuczny i przez natężenie intencji mimo wszystko autentyczny. Jeśli padło tu już słowo „zaczadzenie", to teraz da się określić: zaczadzenie czym i skąd się czad dobywał. Czad dobywał się z trwogi przed tym, czego się doświadczyło przed kilku laty; czad dobywał się z trwogi przed utratą schronienia, które wynikało z dobrze i prawomyślnie pojętej służebności politycznej; czad dobywał się z trwogi przed wewnętrzną koniecznością napisania samemu „Ciemności w południe". Ale czad dobywał się także i z rozkoszy, jaką dać może sytuacja graniczna na granicy zakłamania, ściślej: granicy wytrzymałości własnej na zakłamanie, tej wytrzymałości, która sprawia, że zakłamanie jest w pewnym wymiarze, innym niż dzień powszedni, prawdą i czymś autentycznym. — Proszę mnie źle nie rozumieć, nie mówię o cynikach i obłudnikach, a także nie mówię o ubogich duchem; raczej o tych, co utalentowani są w pysze.

Jaka powstawała w tych okolicznościach literatura?

Otóż wszystko, co zostało powiedziane o trwodze i rozkoszy spowodowało, że była to literatura ucieczki — od trwogi i rozkoszy mianowicie na planie psychologii twórczości, oraz, na planie tradycyjnie pojętej realistycznej treści — w sensie owego stendhalowskiego, przechadzającego się po drodze zwierciadła — ucieczki przed owym zwierciadłem właśnie. Ożywały nagle dawno zapomniane gatunki: moralitetu, przypowieści, wolterowskiej przypowiastki filozoficznej; ody dworskiej; prozy powieściowej, w której racje były przedstawiane w całkowitej niezgodzie z oczywistościami psychologicznymi, (uchybienie takie bowiem nazy-

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

wałoby się psychologizmem i byłoby natychmiast zganione), akcja zaś — mówię o powieściach lub opowiadaniach o tematyce współczesnej — rozgrywała się w warunkach nieistniejących, pośród nieistniejących środowisk społecznych, ale — w Polsce; rzecz oczywista — w Polsce *de nomine*, nie — *de facto* (gdyż uchybienie, którego źródłem byłby stan faktyczny, zganione byłoby natychmiast pod nazwaniem naturalizmu). Tak powstawało piśmiennictwo, które później ktoś określił jako frywolny surrealizm, wyrastający na glebie realnej grozy. Osobiście byłbym raczej skłonny określić je jako piśmiennictwo abstrakcyjne, nie wyrastające z żadnej realnej gleby, lecz z zalewu słów gazetowych, broszurowych i oratorskich, słów podawanych do wierzenia, mających zastąpić rzeczywistość i zarazem kształtować życie. Słowa te ani nie zastępowały, ani nie kształtowały, ale miały tę właściwość, że istniały.

Przyrodzony niejako nominalizm polskiego życia literackiego sprawił wszelako, że w owym okresie — mowa wciąż o okresie stalinowskim, to znaczy o latach 1949-1954 — powstawały utwory wybitne i o wartości w historii polskiej literatury trwałej. Jeden z najwybitniejszych liryków ówczesnego średniego pokolenia, zmarły w roku 1953 Konstanty Ildefons Gałczyński, potrafił napisać okazjonalny wierszyk, z którego niedwuznacznie wynikało, że bohater liryczny nie miałby nigdy rodzonej babki, gdyby nie Armia Czerwona. Była to zapewne niezamierzona niedorzeczność, ale ją wydrukowano i oficjalnie chwalono, i nieoficjalnie śmiano się w kułak. Jednocześnie jednak, w roku 1950 powstaje wielki poemat „Niobe", o rozmachu przypominającym najlepsze czasy poezji romantycznej, o takich na przykład subtelnych strofach:

Co się łzą oświeciło,
to słońcem wschodzi.
Co się w ziemię wrzuciło,
to się urodzi;

co się w wiatr rozmotało,
to się zmota.
Za pagórkiem
cicha woda.

Poemat zamówiony został przez polityków i sławić miał stalinowską akcję obrony pokoju, czyli wielkie oszustwo polityczne; napisał go Gałczyński w komnatach poradziwiłłowskiego pałacu w Nieborowie pod Łowiczem; pałac zamieniony został w muzeum oraz w miejsce pracy i odpoczynku dla uprzywilejowanych gości, obsługiwanych przez dawnego książęcego kamerdynera, który pozostał na miejscu i przemienił usłużność wobec dawnych magnatów na usłużność wobec magnaterii nowej. Kiedy się po dwudziestu latach czyta poemat Niobe, widać wyraźnie, że stalinowska obrona pokoju z tekstu wyparowała, zostały natomiast wartości ogólnoludzkie i duża energia poetycka.

Ślady energii artystycznej pozostały w wielu utworach ówczesnych — może dlatego, że wiele energii wymagało balansowanie w sytuacji granicznej zakłamania. Niektóre powieści zwłaszcza nadają się dzisiaj jeszcze nie tyle do czytania, co do przeróbki: zmiany, wprowadzone w miąższ narracyjny przekształciłyby je w normalne powieści realistyczne, nie naruszając struktury oraz przebiegu napięć między bohaterami. Nikt ich wszelako nie przerabia — tkwią po półkach bibliotecznych jako dokumenty socjologiczne swego czasu, jako dokumenty okaleczonych od wewnątrz i zewnątrz talentów i zdeprawowanego, świetnego niekiedy rzemiosła. I oto w czasie nabrzmiewania i zagęszczania się tego procesu nastąpiła — na półtora roku przed śmiercią Stalina — katastrofa, która wstrząsnęła środowiskiem literackim i stanowiła być może zalążek późniejszego otrzeźwienia.

Niespełna trzydziestoletni Tadeusz Borowski — ten sam, który w czasie okupacji napisał ową pamiętną strofę gdzie powiedział, że „zostanie po nas złom żelazny i głuchy, drwiący śmiech pokoleń" — popełnił samobójstwo w niesłychanie zawikłanych i tragicznych okolicznościach. Warto, myślę, nakreślić po krótce niektóre aspekty jego życiorysu osobistego, politycznego i artystycznego, aby ukazać ową granicę wytrzymałości, którą prawdopodobnie naruszył i która poraziła go tak, jak raziły prądem wysokiego napięcia druty kolczaste obozów koncentracyjnych.

Tadeusz Borowski należał w czasie wojny do jednej z grup konspiracyjnych Armii Krajowej, uczęszczał na polonistykę podziemnego uniwersytetu, wydawał tajnie na powielaczu tomiki wierszy. Gdyby w ten sposób przeżył wojnę nienaruszony, byłby jednym z wielu. Ale jednym z wielu nie był — na nim właśnie skrupiło się tak wiele i tego, co wojny, i tego, co po wojnie, po części jawnie, po części w sposób ukryty, po części w zagadkowy, że stał się dla średniego dziś w Polsce pokolenia pisarskiego i symbolem, i przestrogą, i owym biblijnym ościeniem, który zarazem i każe wierzgać przeciw sobie, i wierzganie czyni daremnym.

◆

Tadeusz Borowski poszedł do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu z własnej woli. Najpierw zaaresztowano jego narzeczoną, po czym on sam, wkładając w to wiele przemyślności i wysiłku, uczynił wszystko, aby aresztowano i jego i wywieziono

także do Oświęcimia: postanowił w śmiertelnym zagrożeniu spróbować swej narzeczonej pomóc, pomóc zaś jej mógł tylko wówczas, kiedy sam się w sytuację śmiertelnego zagrożenia wmanewrował. Udało mu się — udało mu się właściwie wszystko: i to, że wywieziono go do Oświęcimia, i to, że wkręcił się do komanda roboczego, dającego mu możność odwiedzania obozu kobiecego, i to, że rzeczywiście mógł pomóc swojej narzeczonej, przemycając żywność i lekarstwa (chorowała na tyfus) — i wreszcie i to, że oboje wydostali się żywi z tego piekła: on do Monachium, ona do Szwecji. Zmierzył siły na zamiary i sił — z łutem szczęścia — na tę romantyczną przygodę starczyło.

Po powrocie do Polski opublikował dwa tomy znakomitych opowiadań, o Oświęcimiu właśnie („Pożegnanie z Marią") i o tym, co się działo zaraz po wojnie („Kamienny świat"). Niezależnie od wielkiej wartości artystycznej tych utworów, przekazał w nich prawdę o mechanice i technologii człowieczego upodlenia upodlonych; był to wstrząs, który wywołał oburzenie obu sentymentalnych skrzydeł krytyki: zarówno katolickiej, jak i marksistowskiej; oskarżono go o cynizm, podczas gdy on sam był właśnie namiętnym oskarżycielem czegoś znacznie od cynizmu gorszego i bardziej jeszcze przerażającego. Zajął obronną postawę nieufności i zwątpienia; w roku 1947 na wielkim publicznym zebraniu w gmachu sejmowym w Warszawie, powiedział, że „demokracji trzeba patrzeć na palce". Była to intuicja i był to gest, już nie pisarski, być może jeszcze obywatelski — po czym siły obronne go zaczęły opuszczać. Zaczął wierzyć, czy zaczął chcieć wierzyć, czy może doszedł do przekonania, że należy zacząć chcieć wierzyć, że wzbudzenie w sobie tej woli jest powinnością — trudno odtworzyć rzeczywistą chemię tego procesu, zakładając rzetelność talentu i szczerość wysiłku w realnej sytuacji osaczenia — iż marksizm i komunizm, nawet w wydaniu stalinowskim, są jedyną dopuszczalną alternatywą wobec tych układów społecznych, jakie spowodowały (a w jakimś sensie zapewne i spowodowały) zwyrodnienia, których doświadczył i którym dał świadectwo.

Ożenił się, to było oczywiste. Wstąpił do partii i odszedł od pisarstwa w pełnym znaczeniu tego słowa; albo może to pisarstwo od niego odeszło, tak, jak gdyby opuściła go muza. Jął się parać reportażem i publicystyką, bogaty dotychczas jego język, sonda wykrywająca głębokie pokłady czyhającej na własne swe wyzwolenie nikczemności — ten język zdrętwiał, stał się płaski, zaskorupiały i w pewien przewrotny sposób starczy, i ta starcza skorupa językowa przykryła zarazem i to, czego dostrzec nie chciał, jak i to, co dostrzec mógł. Pod koniec życia pisywał już właściwie tylko felietony gazetowe na poziomie drugorzędnego

dziennikarza, z tą może różnicą, że wyczuwało się w nich zajadłość i zacietrzewienie niewspółmierne do płaskości, które wypisywał; zajadłość ta była czegoś świadectwem i znowu trudno wykryć, czego: czy, używając metafory Majakowskiego, „nadeptywania na gardło własnej pieśni", czy, parafrazując, nadeptywania na strunę własnej wrażliwości moralnej, czy wreszcie niepokoju i domysłu sprzeniewierzenia dokonanego wbrew sobie i w imię przemożnych sił.

Latem 1951 roku nastąpiło załamanie. Że było to załamanie, i to załamanie się ostateczne, o tym świadczy moment, w y b r a n y przezeń świadomie na dokonanie samobójstwa: żona jego znajdowała się jeszcze w klinice z kilkudniową córeczką; on wypił kilka kieliszków wódki (a znane było, że raczej wódki unikał), poszedł do domu, połknął kilka proszków nasennych, otworzył w kuchni gaz — mieszkanie było małe, jednopokojowe — upozorował wykipienie czajnika z wodą i położył się w ubraniu, z otwartą książką, na nieposłanym łóżku. Kiedy nazajutrz rano sąsiedzi poczuli na klatce schodowej ulatniający się gaz i wezwali pogotowie, i kiedy pogotowie wyłamało drzwi, Tadeusz Borowski żył jeszcze; umarł dopiero w szpitalu — lekarze nie wiedzieli, że prócz gazu zatruły go nadto barbituraty i alkohol, nie mogli więc zastosować wszystkich środków ratunku. Prawda ujawniła się dopiero po sekcji zwłok.

Społeczeństwu powiedziano nieprawdę; gazety doniosły o wypadku. Przyjaciele domyślali się samobójstwa, ale nie byli pewni swego, to znaczy: wyczuwali prawdopodobieństwo targnięcia się na własne życie, ponieważ byli w stanie odtworzyć mechanizmy psychologiczne, które do tego m o g ł y doprowadzić, gdyż w pewnej mierze znali te mechanizmy z introspekcji, jednocześnie wszakże bronili się przed przyznaniem się wobec siebie samych, że *to* może zajść aż tak daleko; zatrzymywano się wewnętrznie w połowie drogi, zwłaszcza, że intuicja podszeptywała jedno jeszcze: j e ż e l i to naprawdę jest samobójstwo, to jest to tajemnicą państwową.

I rzeczywiście było to tajemnicą państwową, a ściśle mówiąc: policyjną. Powiadomienie społeczeństwa o samobójstwie pisarza aż tak zaciekle zaangażowanego politycznie po stronie państwa, a tym samym i policji, musiało w okresie stalinowskim pozostać tajemnicą. Prawda o śmierci Tadeusza Borowskiego spoczywała w aktach policji politycznej, prawdę znało kilku lekarzy i kilku polityków, pogrzeb był państwowy i pompatyczny, jeden z pierwszych w świeżo urządzonej Alei Zasłużonych na Cmentarzu Wojskowym; w prasie ukazały się sążniste artykuły żałobne oraz rozliczne, omijające istotę zagadnienia wspominki hagiograficzne, pisane przez kolegów po piórze: gdzie pod spodem tętniło nie-

czyste sumienie policji, polityków i pisarzy, dające się mimo wszelkie gesty obronne odczytać w połyskliwej, lecz wydrążonej warstwie stylistycznej. Wydawnictwa przystąpiły do pełnej, pięciotomowej edycji dzieł wszystkich, które po latach okazały się niezupełnie wszystkimi: brakowało kilku gorzkich wierszy okupacyjnych, rozprawiających się i z własnym narodem, i z własnym pokoleniem.

Śmierć największego talentu w prozie polskiej młodego pokolenia nie znalazła szerokiego oddźwięku społecznego. Ponieważ samobójstwo było dobrze strzeżoną tajemnicą państwową, prawdziwy dramat pisarza nie stał się dramatem całego narodu, a choćby i nawet jego części bardziej wykształconej. W zatomizowanym przez system stalinowski społeczeństwie świadomości publicznej nie mógł kształtować fakt, że tragedia jednostki może być upostaciowaniem tragedii zbiorowości, że może mieć wartość symboliczną i jako symbol przydać spoistości i siły. Ten nieszczęsny życiorys pozostał znaczący po dziś dzień dla ograniczonego kręgu osób, jest wartością wewnętrzną pewnej bezradnej grupy społecznej.

Kiedy umarł Józef Stalin i kiedy zabito Wawrzyńca Berię ukradkiem podano do wiadomości publicznej, że Tadeusz Borowski popełnił samobójstwo. Ale już rosły wówczas nowe napięcia społeczne i tamta sprawa zapadła w przeszłość tak ciemną, że zdawałoby się, iż jest na nowo nie do wywołania. Borowski do tej pory nie pokazuje się na scenie narodowej jako duch Banka, choć miałby po temu szanse, nawet gdyby nie stało Szekspira.

Witold WIRPSZA

Przypowieść o stu sprawiedliwych

„W Polsce, czyli nigdzie" toczy się opowieść o królu Ubu; nie opowieść właściwie, lecz przedstawienie — tekst przedstawienia, jego scenariusz. Z tego scenariusza weźmy sobie słówko „nigdzie" jako pojęcie nadrzędne: wtedy „nigdzie" będzie mogło znaczyć również i „wszędzie", ale mimo tej dwuznaczności pozostańmy przy „nigdzie", dla uproszczenia i wygody własnej.

Zaczynamy od zdania: „Nigdzie był pewien kraj".

Otóż nigdzie rzeczywiście był pewien kraj, gdzie możni władcy i wychowawcy doszli pewnego dnia do wniosku, że ponieważ rządzili dostatecznie długo i dostatecznie sprawiedliwie swym społeczeństwem, a ponadto: ponieważ sami byli bez skazy i zmazy, czyli sprawiedliwi absolutnie, przeto mogą bez obawy popełnienia błędu założyć, że społeczeństwo dobrze już zostało wychowane, że jest bez skazy i zmazy oraz sprawiedliwe.

— Zapewne — powiedział przewodniczący władców — jest ono sprawiedliwe nierównomiernie, jeden jest bardziej sprawiedliwy, drugi mniej, sprawiedliwi wszelako są wszyscy.

Pozostali członkowie kongregacji możnych władców i wychowawców, znając swe miejsce i dyscyplinę, przytaknęli: jedni bardziej skwapliwie, drudzy mniej skwapliwie, skwapliwie wszelako wszyscy.

Dlaczego nazwaliśmy zrzeszenie władców i wychowawców kongregacją? — Oto dlatego, aby uzmysłowić czytelnikowi, że zrzeszenie to miało po trosze znamiona zbiorowości ni to zakonnej, ni to rycerskiej, ni to harcersko-chłopięcej.

— Wobec tego — ciągnął dalej przewodniczący — wypada się nam zastanowić, jaką nagrodę należy dać temu naszemu społeczeństwu.

— Podwyższyć wszystkim dochody — przedłożył nieśmiało zawiadowca gospodarki.

— Wszystkim? — zadziwił się zawiadowca finansów. — Nie możemy. Skarb nie wydoła.

— Wszystkim? — zdumiał się zawiadowca edukacji. — Nie wypada. To nie wychowawcze.

— Nagrodę — powiedział przewodniczący — musimy dać nagrodę.

— Tak, ale nie wszystkim — odparła szara eminencja. — Nagroda jest wyróżnieniem, a więc wszyscy jej dostać nie mogą.

Przewodniczący przytaknął skwapliwie. Pozostali po kolei, każdy wedle swej skwapliwości.

— Może ordery — powiedział któryś.

— Chyba nie ordery — rzekł zawiadowca kultury. — Raczej przywileje. Przywileje moralne, nie materialne.

— Jeśli przywileje, to komu? — zapytał zawiadowca komunikacji.

— Jak Bóg da — przedłożył zawiadowca religii.

Szara eminencja obruszył się:

— Nie Bóg, lecz my. Albo: i Bóg, i my.

Zawiadowca policji:

— Bóg i ojczyzna.

Zawiadowca wojskowości:

— Honor.

— Zgoda, ale komu? — zastanowił się zawiadowca edukacji. — Trzeba wśród wszystkich sprawiedliwych wybrać najsprawiedliwszych.

Przewodniczący:

— Wybrać? — Pod żadnym pozorem. Należy ich wyznaczyć. Jeśli mają być odznaczeni przywilejem, to najpierw muszą zostać wyznaczeni, według rangi swej sprawiedliwości. Moi panowie! Sprawa jest prosta: jeżeli już uznaliśmy, że dzięki naszej zapobiegliwości całe społeczeństwo jest bez wyjątku sprawiedliwe — ilu tam siedzi jeszcze po więzieniach? — zwrócił się do zawiadowcy wymiaru.

— Stu złodziei chleba.

— Złodziei chleba? — To znaczy: stu głodnych, czyli, innymi słowy: stu niezaradnych, czyli, jeszcze inaczej: stu sprawiedliwych, którym dzieje się niesprawiedliwość. Czyż to nie jest omen? Czyż to nie jest znak? Czyż to nie palec boży nas upomina, że są to wśród sprawiedliwych najsprawiedliwsi i że należy wydobyć ich z poniżenia?

— Skazać na wywyższenie — powiedział zawiadowca wymiaru.

— Dać im przywileje — potwierdził zawiadowca kultury.

— Jakie? — zapytał zawiadowca komunikacji.

— Broń — powiedziała szara eminencja. — Broń palną, szybkostrzelną, wraz z amunicją i bez obowiązku rozliczania się.

— Tak jest, broń — podjął bezzwłocznie myśl szarej eminencji przewodniczący. — Logika tego jest nieodparta; bo jeśli całe społeczeństwo jest sprawiedliwe, to złodzieje chleba są najsprawiedliwsi, są sprawiedliwi absolutnie z przyczyny swej krzywdy i poniżenia. A jeśli są sprawiedliwi absolutnie, to tym samym mamy absolutną pewność, że i wszystkie ich poczynania będą absolutnie sprawiedliwe. Bo proszę panów, jeśli by nawet się zdarzyło, że kogoś tytułem swego przywileju zastrzelą, to zastrzelą tylko takiego człowieka, którego by sądy nasze i tak za wielką zbrodnię skazały na śmierć. Ale ponieważ nasze społeczeństwo jest sprawiedliwe, więc nawet i tego obawiać się nie ma przyczyny. Przywilej ich pozostanie w sferze czysto moralnej.

— A więc broń dostaną ode mnie — powiedział zawiadowca policji.

— Nie ode mnie? — zdziwił się zawiadowca wojskowości.

— Od byle kogo — powiedziała szara eminencja. — Czy istnieje lista tych absolutnie sprawiedliwych złodziei chleba?

— Oto lista.

Zawiadowca wymiaru położył na stole cztery kartki maszynopisu. Wszyscy pochylili się nad nimi.

— Przecież — powiedział przewodniczący.

— Tak jest — powiedział zawiadowca wojskowości.

— To są nasi — powiedział zawiadowca policji

— To nasi — powiedział zawiadowca kultury. — Patrzaj Basiu, to są nasi, biją w tarabany.

— Cicho — odezwała się szara eminencja. — Pamiętajcie, że nasze motywy ostateczne nie powinny być wiadome.

Widome jednakże było głębokie wzruszenie szarej eminencji: odwróciła twarz.

Nigdzie w stolicy wydano bankiet. Pałac kongregacji władców świecił się i jarzył, a blask jego budził trwogę nigdzie w stolicy: pogłoska rozpełzła się błyskawicznie po mieście, wbrew założeniom kongregacji, ale i nie bez jej udziału — to należało do technologii władzy. Sprawiedliwe społeczeństwo zdjęte było lękiem przed setką swych uprzywilejowanych, absolutnie sprawiedliwych rodaków.

— Towarzysze broni otrzymują broń — mówiono; motywy więc stały się wiadome.

— Towarzysze broni, dostajecie broń — rozpoczął swe przemówienie, czy toast przewodniczący. — Jesteśmy świadomi, że przekazujemy ją absolutnie sprawiedliwemu waszemu sumieniu, ufamy wam tak, jak sobie samym i tak, jak od jutra, po wydaniu obwieszczenia, całe nasze sprawiedliwe społeczeństwo wam będzie ufało.

Za oknami pałacu rozprysnęły się z trzaskiem i sykiem ognie sztuczne; w pałacu tego nie było widać, ponieważ okna pałacowe kryły ciężkie zasłony. Poza pałacem można to było zobaczyć, jeśli ktoś patrzył przez swoje okno; na ulicach nikogo nie było.

Zawiadowca policji rozdawał broń i naboje:

— Bierzcie do woli — mówił — to wprawdzie nie ode mnie, lecz od zawiadowcy wojskowości, ale bierzcie z mojej ręki.

W tym momencie, ponieważ wszystko było dobrze zgrane, rozległ się za oknami łomot salwy karabinowej — na wiwat; po czym dalej szły ognie sztuczne. Nigdzie w stolicy stawało się coraz jaśniej, chociaż mrok już zapadł gruby, elektrownia zaś działała słabo i napięcie prądu spadło do połowy.

Teraz zawiadowca wojskowości rozdawał broń i naboje:

— Bierzcie dowoli — mówił — to wprawdzie nie ode mnie, lecz od zawiadowcy policji; ale bierzcie z mojej ręki.

Kiedy zaś już wszyscy złodzieje chleba o sumieniach absolutnie sprawiedliwych obwieszeni byli bronią i szczękali, zaproszo-

no ich do obficie zastawionych stołów, po czym szara eminencja poprosiła o głos i głos zabrała:

— Wzięliście broń i róbcie z nią co chcecie; jeśli komuś z was nie starczy nabojów, niech się zgłosi po nowe — przyrzekam wam, że zostaną wydane bez pytania o nic. A teraz wznieśmy ten kielich na zdrowie i za cześć naszej setki absolutnie sprawiedliwych! Niech nam żyją i niechaj się mnożą!

Znowu huknęła honorowa salwa za oknem, po czym bawiono się beztrosko do białego rana. O świtaniu z pałacu kongregacji zaczęły wymykać się po jednemu postaci obarczone bronią, sprawiedliwością i absolutem, przy wyjściu zaś każdego z nich i na cześć każdego z nich osobno rozlegał się strzelisty łoskot salwy honorowej.

Nigdzie w stolicy ludzie nie spali. Mówiono sobie:

— Złodzieje chleba mają już broń w ręku.

Ale nigdzie się tej nocy nic nie stało; za mało było widocznie tej nocy — nigdzie w stolicy; zaraz bowiem nastał zwykły, nieświąteczny dzień.

Nigdzie zaczęło się to dziać zaraz następnej nocy, po przedmieściach, w źle oświetlonych ulicach, po zakamarkach i zza węgła. Jak na złym filmie widać było pomykające i skradające się cienie; rozlegały się pojedyncze strzały: tylko na peryferiach — w śródmieściu był spokój. Ludność wszelako i na przedmieściach, i w śródmieściu była niespokojna. Kto strzelał, było wiadome, do kogo strzelano — nie. Na razie nie.

Po tej nocy bowiem żadna policja nigdzie żadnych zwłok nie znalazła. Po nocy następnej na którymś z przedmieści śmieciarze albo też dozorcy odkryli ślady krwi, okazało się więc, że nigdzie ktoś został zraniony; i znowu nie wiadomo było, kto został zraniony — kto zranił, dobrze było wiadomo. A potem działo się tak, jak gdyby strzelający i raniący ćwiczyli się i wprawiali w swoim rzemiośle i stawali się coraz bardziej wprawni i sprawni: ślady krwi zdarzały się coraz częściej, pewnej nocy odkryto je w dwóch miejscach, następnie w trzech, jeszcze później w dziesięciu — po przedmieściach, ciągle po przedmieściach, ale ktoś bystry spośród policjantów, śmieciarzy lub dozorców łatwo mógł zauważyć, że dawała się nigdzie wykreślać spirala czy raczej ślimacznica, zmierzająca ku śródmieściu.

I tak to trwało czas pewien: strzały conocne, ślady krwi co poranka, niepewność ludności, bo nigdzie było wiadomo, kto strzelał i nigdzie nie było wiadomo, kto jest celem strzelania. Zastanawiające było jedynie, że żaden ranny nie zgłaszał się do chirurga ani też żadnego chirurga do nikąd nie wzywano.

Pogłoski też zaczęły krążyć, po torze spirali czy ślimacznicy, w odwrotnym wszelako kierunku: od śródmieścia ku peryferiom. Ale pogłoski nie dotyczyły strzelających; tematem ich były wydarzenia, zachodzące nigdzie w pałacu kongregacji władców i wychowawców. Opowiadano sobie na przykład, że szara eminencja miała powiedzieć do przewodniczącego:

— Złodzieje chleba jednak przelewają krew; wracają do dawnej symboliki i nie wiem, jaki to jest objaw: uspakajający czy niepokojący?

Inna wersja brzmiała (tym razem adresatem miał być zawiadowca wojskowości albo, być może, policji):

— Czy zwrócił się już któryś z nich do pana z podaniem o uzupełnienie amunicji? Przewiduję, że to może nastąpić i proszę pamiętać, że moje zaufanie do nich jest nadal bezgraniczne.

Nastąpił wreszcie dzień, poranek właściwie, kiedy policjanci, śmieciarze i dozorcy dokonali podwójnego odkrycia, które rzuciło na całą sprawę nowe światło. W samym śródmieściu, na placu centralnym, ukazały się plamy krwi, na jednym z przedmieść natomiast znaleziono zwłoki. Czas wprawek najwidoczniej dobiegł końca — dawni towarzysze broni odzyskali utraconą sprawność. Odnalezienie zwłok zahamowało zarazem falę niepokoju wśród ludności, wiadomo już było bowiem — co dotychczas było zagadką — kto jest celem strzelectwa: strzelcy strzelali do strzelców.

Nigdzie nastąpił pewien rytm. Najprzód był trup co tydzień; potem co trzy dni; jeszcze później każdego dnia tygodnia; aż w końcu, kiedy spirala i ślimacznica zbiegły się dośrodkowo, pewnego świtania leżało siedmiu zabitych na placu centralnym (w nocy panowała gęsta strzelanina), na przedmieściach natomiast i peryferiach stwierdzono całkowity spokój. Wówczas policzono tych, co legli: dziewięćdziesięciu i dziewięciu absolutnie sprawiedliwych rozstało się z życiem. Zwłoki ostatnich siedmiu pochowano demonstracyjnie na koszt skarbu kongregacji, tłumy na pogrzebie nie posiadały się z radości: przewodniczący kongregacji nie wygłosił na cmentarzu przemówienia, zarządził jedynie minutę ciszy, ale z tego nic nie wyszło. Zamiast ciszy rozlegały się wiwaty; nie wiadomo czy na cześć stu absolutnie sprawiedliwych, czy też na cześć kongregacji władców i wychowawców. Wiwatowało wszelako, i o tym należy pamiętać, społeczeństwo wychowane w prawości i sprawiedliwości.

Następną noc spędziła szara eminencja samotnie i rozeszła się pogłoska, że do nikogo nic nigdzie nie powiedziała.

Tę samą noc ktoś jeszcze spędził samotnie, w izdebce na

podstryszku, przy mizernej żarówce bez osłony, obandażowany w kilku miejscach własnym przemysłem. Siedział nad stolikiem czy biureczkiem, trochę smutny i zrezygnowany, ale i zarazem jakby w chwili wewnętrznego przełamywania się. Ze smutku i rezygnacji jęły się dobywać siły twórcze; świadomości, że: *consumatum est* towarzyszyć zaczęła nowa świadomość i nawet nad poprzednią przeważać.

Trzeba było nigdzie zaczynać od nowa. Temu celowi miała służyć kartka papieru, butelka atramentu i pióro, a także bardzo realistyczna, rzucona bezładnie na kupę broń szybkostrzelna — sztuk dziewięćdziesiąt i dziewięć; setna sztuka broni wisiała na wbitym w ścianę gwoździu, obok wizerunku Matki Boskiej; amunicja była powszędy, na podłodze i na sprzętach.

Nigdzie znaleźć da się wciąż jeszcze stu absolutnie sprawiedliwych — takie założenie zrodziło się w głowie setnego absolutnie sprawiedliwego; społeczeństwo nasze wychowane jest idealnie i konieczną jest rzeczą przystąpić do czynu. Pochylił się więc setny absolutny nad kartką papieru, chwycił za pióro, umaczał je w atramencie i nakreślił pierwszą linijkę tekstu:

„Nigdzie nowa i udoskonalona lista stu absolutnie sprawiedliwych".

Po nakreśleniu tej linijki podkreślił ją, po czym postawił liczbę porządkową: jeden, kropka; po kropce wypisał własne imię i nazwisko, i od nowego wiersza liczbę porządkową: dwa.

Tak doszedł do liczby porządkowej: sto. Po każdej liczbie imię i nazwisko. Czyje to były nazwiska? Wszystkie te nazwiska były wymyślone, ani jedna z tych osób nie istniała rzeczywiście, ani nie była przez piszącego wyobrażana, choć dobrze zdarzyć się nigdzie mogło, że wymyślone nazwisko do kogoś istniejącego naprawdę przypadkowo przynależało. O tym przecież piszący nie wiedział, skąd miał wiedzieć: tworzył czyn na papierze i zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, komu będzie musiał nigdzie powierzyć broń.

Także i z tego, że nigdzie nie było już nikogo, kto by siedział w więzieniu jako złodziej chleba, czyli absolutnie sprawiedliwy.

Witold WIRPSZA

* Fragmenty te są wzięte z książki W. Wirpszy, która ukazała się w Verlag C. J. Bucher, Luzern 1971 w przekładzie p. Christy Vogel.

Państwo wieloetniczne czy wielonarodowe ?

Angielskie słowo *nation* jest wieloznaczne. Czasami znaczy „państwo" lub „rząd", czasami „naród". Świetna książka Floriana Znanieckiego *Modern Nationalities* (Współczesne Narody) była, niestety, nieudaną próbą wytłumaczenia amerykańskim socjologom (a poprzez nich i nie-socjologom) tej bardzo ważnej i dla każdego chyba Polaka jasnej różnicy między państwem i narodem. Nie chcąc, przypuszczalnie, wprowadzać drugiego w języku angielskim wieloznacznego terminu *state* (państwo lub stan), Znaniecki zaproponował termin *nationality* (dosłownie narodowość) dla polskiego „naród", zachowując dla „państwa" tradycyjne *nation*.

Mimo to, że książka W. I. Thomasa i F. Znanieckiego *Polish Peasant in Europe and America* stała się jednym z klasyków socjologicznej literatury amerykańskiej, *Modern Nationalities* jest książką prawie nieznaną i rozróżnienie między „państwem" i „narodem" jest nadal dla socjologów amerykańskich niezrozumiałe, tak jak jest niezrozumiałe dla przeciętnego Amerykanina, któremu istotnie bardzo trudno wytłumaczyć że istniały i nadal istnieją narody (narody, nie społeczności etniczne!), które albo nigdy niepodległości nie miały albo tę niepodległość utraciły.

◆

Niedawno pokazano mi studencką gazetkę jednego z amerykańskich uniwersytetów z artykułem o emerytowanym profesorze tego uniwersytetu, Polaku, który przed wojną pracował na polskiej placówce dyplomatycznej w Stanach „i po zajęciu Polski przez Niemców" — wedle tej gazetki — „otrzymywał jeszcze przez jakiś czas pensję od rządu nazistowskiego" (!). Polka, która pokazała mi z oburzeniem ten „przykład typowej antypolskiej propagandy" zastanawiała się jakiej narodowości był autor tego „szkalującego artykułu"... Osobiście jestem przekonana, że nie była to żadna „szkalująca propaganda" lecz po prostu głęboka

nieznajomość historii i typowy amerykański styl myślenia: ahistoryczny i upraszczający. Dla autora tego artykułu po prostu w Polsce zmienił się wówczas rząd: najpierw był rząd, który się jakoś tam nazywał (może nawet wiedział, że rząd ten nazywano czasem „rządem pułkowników"), no a potem był „rząd nazistowski" i już... Gdy zmienia się rząd z republikańskiego na demokratyczny czy odwrotnie, też nie wszyscy urzędnicy tracą posady... niektórzy przecież zostają...

◆

Gdyby Stany Zjednoczone były jakimś małym nieznanym kraikiem, ignorancja tego rodzaju i tego typu rozumowanie, nie miałyby wielkiego znaczenia. Gdy jednak Amerykanin ze średnim wykształceniem, a czasem nawet i z początkami uniwersyteckiego wykształcenia, myśli w ten sposób, konsekwencje dla reszty świata mogą być wręcz tragiczne.

Znanieckiemu nie udało się przekonać nawet większości socjologów amerykańskich o istnieniu narodów, takich jak Ukraina, Łużyce, Puerto Rico, Indie pod okupacją brytyjską czy Polska pod wieloma okupacjami. Nie udało mu się mimo świetnej analizy socjologicznej formowania się młodych narodów, które państwowej struktury nigdy nie miały i podziemnego funkcjonowania tych, które niepodległość utraciły; mimo jednej z najlepszych w literaturze socjologicznej analizy roli społecznej intelektualistów, naukowców, artystów w formowaniu się i podtrzymywaniu istnienia narodowego. Narody bez struktury państwowej to dla Amerykanów po prostu grupy etniczne!

O nie tak dawnym jeszcze okresie walk o amerykańską niepodległość — który był przecież pierwszym okresem formowania się narodu amerykańskiego i w którym wielką rolę odegrali intelektualiści — Amerykanie już dawno zapomnieli. Zapomnieli o roli tych pierwszych amerykańskich intelektualistów i o swojej kolonialnej przeszłości. Ich „pamięć historyczna", ich mitologia narodowa, uwypukla natomiast inne, późniejsze etapy konsolidowania się niepodległego już narodu amerykańskiego ze szczególnym naciskiem na procesy amerykanizacji coraz to nowych emigrantów. W socjologicznej analizie tych procesów podkreśla się przede wszystkim integrację emigrantów najróżniejszego pochodzenia do struktury państwowej Stanów Zjednoczonych, podkreśla się znaczenie wychowania obywatelskiego (raczej niż narodowego) oraz cnoty obywatelskie, które niewiele mają wspólnego z patriotyzmem, gotowością poświęcenia się dla kraju, dumą z języka amerykańskiego czy amerykańskiej literatury.

Model państwowości amerykańskiej jest w tym kraju ekonomiczny raczej niż polityczny. Duma z osiągnięć ekonomicznych jest powszechna i na tym polega chyba głównie swoisty patriotyzm amerykański. Bo patriotyzm w naszym tego słowa znaczeniu utożsamiany jest tu zwykle z nacjonalizmem lub z szowinizmem...

Podczas mojej naturalizacji, już prawie 11 lat temu, sędzia amerykański z Chicago wygłosił przemówienie w którym powiedział coś w tym rodzaju: „Stany Zjednoczone są wielką korporacją ekonomiczną. Pamiętajcie, że przyjęcie obywatelstwa amerykańskiego to dobra inwestycja ale jedynie dla tych którzy zainwestują dużo. Jedynie ci bowiem mogą się spodziewać dochodów współmiernych z inwestycją".

Dla emigrantów politycznych obywatelstwo amerykańskie jest rzeczywiście najłatwiejszym obywatelstwem nikt bowiem nie spodziewa się tutaj po nas amerykańskiego patriotyzmu!

◆

Światopogląd przeciętnego Amerykanina w średnim wieku jest światopoglądem, powiedziałabym ewolucjonistyczno-ekonomicznym i extra-narodowym.

Dla farmerów amerykańskich z „Dalekiego Zachodu" nad którymi przeprowadzałam socjologiczne badania w 1956 i 1957 roku, Stany Zjednoczone były „takie same jak każdy inny kraj, tylko, że dużo lepsze" bo umieszczone na najwyższym szczeblu drabiny ewolucyjnej. Niemcy, Holandia, (o Anglii prawie nie mówili) kraje skandynawskie, Rosja (mniej więcej w tej kolejności) były „naturalnie" poniżej Stanów, ale też bardzo „zaawansowane w rozwoju", podczas gdy Francja na przykład była na szarym końcu, tuż przed Afryką i Azją, o których ci farmerzy myśleli jako o niezróżnicowanych kontynentach. O Polsce i Polakach nic w tej części Stanów nie wiedziano. Słowo „Polska" było dla tych farmerów równie tajemniczym słowem jak były dla przedwojennych polskich chłopów „Azory" czy „Zanzibar"...

Powszechność masowego wykształcenia, ogólny poziom ekonomiczny i technologiczny kraju — to były kryteria według których ci amerykańscy farmerzy oceniali poziom rozwoju danego kraju. Mimo to, że byli oni głównie angielskiego i skandynawskiego pochodzenia i że wielu z nich walczyło podczas ostatniej wojny w Europie, podziw dla Niemców był wśród nich ogromny, głównie ze względu na „świetne szosy", „doskonałe urządzenia sanitarne" i to, że „wszyscy oni tacy porządni i czyści"... Bardzo na ogół tych „porządnych i czystych" Niemców żałowali bo... „biedni, mieli przecież taki okropny rząd i tyle się pod tym Hitlerem nacierpieli"...

◆

Wielu spośród tych farmerów amerykańskich było zresztą niewiadomego pochodzenia i niektórzy nawet trochę się tym martwili. Mówili, że chcieliby wiedzieć, „tak jak inni" skąd wyemigrowali ich przodkowie i że „byłoby przyjemnie mieć jakieś własne potrawy czy tańce", jak ich sąsiedzi „Szwedzi" czy „Finowie". Piszę te słowa w cudzysłowie bo ci farmerzy szwedzkiego czy fińskiego pochodzenia nie tylko, że nie mówili już po fińsku czy szwedzku ale nie wiedzieli prawie nic o Szwecji czy Finlandii

i nie mieli ochoty czegokolwiek się dowiedzieć. Ich etniczność (słowo które z etnografii przeszło do socjologii i dopiero niedawno się spopularyzowało) polegała głównie na kilku etnicznych potrawach, kąpielach, szybko zanikających tańcach i zwyczajach związanych ze ślubami i pogrzebami.

Wśród farmerów angielskiego pochodzenia było trochę potomków wydziedziczonych arystokratów, młodszych czy starszych synów, którzy zdecydowali się wyemigrować. W domach tych farmerów oglądałam fotografie pięknych rodzinnych dworów i czasami także pożółkłe fotografie pradziadków czy dziadków emigrantów. Prócz tych fotografii nic jednak więcej nie przechowało się u nich z tej arystokratycznej angielskiej przeszłości. Byli rzeczywiście bardzo podobni do innych farmerów z tej części „Dalekiego Zachodu", tych angielskiego i tych nieangielskiego pochodzenia. Nie chwalili się swoim pochodzeniem i nie interesowali się w ogóle ani historią Anglii ani współczesną Anglią. Mimo że, podobnie do farmerów niewiadomego pochodzenia, nie mieli żadnych odrębnych zwyczajów, kultura ich nie była bezbarwna i jedynie częściowo była ona zestandaryzowaną kulturą masową. Wszyscy farmerzy z tej części „Dalekiego Zachodu", niezależnie od pochodzenia klasowego, narodowego czy etnicznego, mieli w sobie nadal coś pionierskiego: lubili rozległe przestrzenie, bawiło ich ryzyko, marzyli o podróżach na Alaskę, nie znosili jakiejkolwiek kontroli narzuconej z zewnątrz, z nieufnością odnosili się do wielkich miast. Regionalna kultura amerykańska i do pewnego stopnia kultura rolnicza (farmerska) wysuwały się tu na pierwszy plan, podczas gdy kultura etniczna albo nie istniała w ogóle albo miała w ich życiu minimalne znaczenie.

◆

Międzywojenna Polska miała mniej więcej 30 % „mniejszości narodowych", termin równie wieloznaczny i upolityczniony jak „grupy etniczne". Rozróżnienie między kulturą narodową a kulturą etniczną jest tu zasadnicze dla wprowadzenia jakiego takiego porządku do etnicznej problematyki i etnicznych polemik.

W swojej książce *Modern Nationalities* Znaniecki wprowadza rozróżnienie między społeczeństwami:

1) o kulturze typu tradycyjnego *(traditional culture societies)*, które dzieli z kolei na:
   a) społeczeństwa o kulturze szczepowej *(tribal culture societies)*,
   b) społeczeństwa o kulturze ludowej *(folk culture societies)*;
2) *literary culture societies* czyli społeczeństwa cywilizowane o kulturze przekazywanej z pokolenia na pokolenie przy pomocy wielkich dzieł:
   a) religijnych — w społeczeństwach o kulturze religijnej, takich jak społeczeństwa żydowskie czy muzułmańskie,
   b) narodowych *(national culture societies)*; w społeczeństwach tego typu „wielkie księgi cywilizacji" są typu świeckiego raczej niż religijnego, jak np. Amerykańska Konstytucja czy Pan Tadeusz.

O ile terminy „ludowy" i „etniczny" uznamy za równoznaczne wówczas powiedzieć możemy, że w Polsce międzywojennej mieliśmy (1) *mniejszości religijne* (np. niezasymilowani Żydzi żyjący w zamkniętych społecznościach żydowskich, czasami niepowiązanych a czasami powiązanych organizacyjnie czy ideologicznie z innymi społecznościami żydowskimi w tak zwanej „Europie Wschodniej" i na szerszym świecie). (2) *mniejszości etniczne*, np. Białorusini, przeważnie chłopi, żyjący lokalną kulturą ludową, ze słabo narastającą świadomością narodową, dopiero powstającą własną literaturą i minimalną ilością intelektualistów. (3) *mniejszości narodowe* (na przykład Ukraińcy, którzy mieli nie tylko kulturę ludową ale rozkwitającą kulturę narodową, bardzo czynne na terenie Polski własne środowiska intelektualne, własną literaturę, sztukę i byli w całym tego słowa znaczeniu młodym narodem, aspirującym do niepodległości.

Zaliczanie natomiast do „mniejszości narodowych" zasymilowanych Żydów, którzy języka żydowskiego nie znali, byli katolikami czy wolnomyślicielami i za Żydów się nie uważali, było oczywiście absurdem o rasistowskim podłożu! Byli to zwykle albo Polacy (czasem sławni polscy pisarze czy naukowcy) albo kosmopolici, ludzie kultywujący często ten najlepszy typ kultury międzynarodowej, której tak brak w Narodach Zjednoczonych!

◆

Aparat administracyjny w Stanach Zjednoczonych był zawsze nastawiony przede wszystkim na absorbowanie emigrantów pochodzenia chłopskiego czy robotniczego, ludzi którzy przywieźli ze sobą kulturę ludową czy etniczną a nie przywieźli przeważnie kultury narodowej swoich krajów. Natomiast wydziedziczony syn arystokratów angielskich tę kulturę narodową z pewnością przywiózł, walcząc jednak ciężko o byt nie miał przypuszczalnie czasu na podtrzymywanie więzi z Anglią i kulturą angielską, tak, że w przeciągu dwóch, trzech dekad był już prawdopodobnie wynarodowiony i zamerykanizowany. Sądząc z historii rodzin tych farmerów pochodzących z angielskiej arystokracji, pradziadkowie ich czy dziadkowie nie tylko się wynarodowili i zamerykanizowali ale i zdeklasowali w całym tego słowa znaczeniu, bo straciwszy kontakt z narodową kulturą angielską, nie nawiązali w ciągu dwóch a czasem trzech generacji kontaktu z narodową kulturą amerykańską... nie czytali amerykańskiej literatury, nie znali amerykańskiego malarstwa etc. Żyli oni w pierwszych dwóch generacjach co najmniej kulturą ludową amerykańską i zwykle dopiero w trzeciej generacji zdobyli szersze narodowe horyzonty poprzez uniwersytety, podróże i środki masowego przekazu.

Farmerów pochodzenia angielskiego czy niewiadomego nie nazywa się zwykle w Stanach „etnicznymi Amerykanami" podczas gdy farmerów pochodzenia fińskiego zwykle tak się dzisiaj na-

zywa, nawet jeśli nie mówią już w ogóle po fińsku, nie mieszkają w etnicznych gettach czy grupach lecz rozproszeni są po farmach i za Finów się nie uważają. Bo przecież tych resztek fińskiego folkloru, który zwykle nie wpływa ani na styl życia ani na osobowość ani na światopogląd, nie możemy w żadnym wypadku nazwać odrębną kulturą etniczną!

◆

Przy obliczaniu „etnicznych" Norwegów, Finów czy Polaków w Stanach Zjednoczonych, trzeba więc odjąć tych wszystkich, którzy są jedynie norweskiego, fińskiego czy polskiego pochodzenia, nawet gdyby w domu mieli nadal saunę czy umieli jeszcze tańczyć krakowiaka. O ile ich zaczniemy „na siłę" włączać do grup etnicznych będzie to podobnym zniekształceniem historii jak zaliczanie do Żydów czy Niemców tych Polaków żydowskiego czy niemieckiego pochodzenia, którzy czasem już od bardzo wielu pokoleń Żydami czy Niemcami nie są.

◆

Emigracja wykształconych Europejczyków do Ameryki powiększyła się jak wiadomo znacznie wskutek zwycięstwa Hitlera, Drugiej Wojny Światowej, okupacji: niemieckiej i rosyjskiej i wcielenia do sowieckiego imperium krajów wschodnio-europejskich. Gdy jeden z socjologów amerykańskich[1] zaczął badać europejskich emigrantów z końca lat 30-tych, znalazł wśród swych „danych" coś około 14-tu laureatów Nobla.

Mimo to, że charakter emigracji do Stanów zmienił się tak bardzo, sposób przyjmowania tych emigrantów, podejście do nich ludności i co najgorsze, aparat administracyjny urzędów emigracyjnych nie zmienił się zasadniczo i do dziś nastawiony jest głównie na przyjmowanie emigrantów pochodzenia ludowego i traktowanie emigrantów z wyższym wykształceniem tak jakby tego wykształcenia w ogóle nie mieli. Wielu europejskich intelektualistów, profesorów, prawników, artystów zaprzepaściło w tym kraju wielkich możliwości i zdrowie i talent i nadzieję na zbudowanie lepszego świata.

Gdy w latach 50-tych przeprowadzałam w Chicago badania socjologiczne nad inteligentami polskimi, którzy spędzili 3 do 5-ciu lat w niemieckich obozach koncentracyjnych, parę lat w obozach przesiedleńczych a potem znaleźli się się na emigracji w Ameryce, byłam tak bezsilna wobec tragedii tych ludzi, którzy przetrwali to co najgorsze i naprawdę mieli prawo oczekiwać tu jakiejś pomocy... Nikt im jednak takiej pomocy, jakiej potrzebowali, nie udzielił: ani filantropijne, humanitarne, religijne organizacje ani stowarzyszenia zawodowe ani urzędy emigracyjne. Posłano ich *en masse* do fabryk chicagowskich, a w posyłaniu tym przewodziły

1. Donald Kent, *Intellectual Refugee.*

polonijne grupy wśród których, niestety, wylądowali ci, przeważnie nie znający angielskiego, kacetowcy. Gdy jeden z nich — pamiętam — malarz i poeta poprosił kogoś z chicagowskich działaczy polonijnych o skontaktowanie go z *Arts Institute*, usłyszał typową, podobno, w tym czasie uwagę: „A co to... fabryki amerykańskie dla was nie dość dobre?".

Emigranci z krajów młodych, okupowanych i tych których niepodległość jest zagrożona wynaradawiają się przypuszczalnie trudniej niż emigranci z innych krajów. Polak, zwłaszcza Polak z inteligencji, który przyjechał po Pierwszej czy Drugiej Wojnie Światowej wynaradawia się, mam wrażenie, bardzo wolno... chyba, że osiedli się w polskim getcie etnicznym co niewątpliwie ułatwia i przyspiesza, niezauważone często przez samego emigranta, procesy wynaradawiania, amerykanizacji i deklasacji zawodowej. Mimo zachowanego w takiej czy innej wersji języka polskiego, inteligenci polscy mieszkający w gettach etnicznych, zatracają stopniowo kulturę narodową, adaptując w większym czy mniejszym stopniu lokalną emigracyjną kulturę etniczną, która jest mieszaniną polskiej kultury ludowej z XIX czy początków XX wieku z ludową czy masową kulturą amerykańską.

Wykształcony emigrant ma przed sobą w Ameryce zwykle trzy drogi czy ścieżki:

1) drogę adaptacji kosmopolitycznej — dostępną tylko dla tych, którzy mają pracę i kontakty pozwalające na częściowe choćby obracanie się w międzynarodowych środowiskach:

2) drogę kontynuowania przywiezionej do Stanów kultury narodowej (bogata kolonia francuska w San Francisco, zamknięta na cztery spusty i utrzymująca podobno od kilku generacji, stałe kontakty z Francją, jest przykładem jednego typu tego rodzaju adaptacji; emigracja polityczna stwarzająca środowiska pozwalająca na funkcjonowanie i stwarzanie nowych dzieł kultury narodowej na emigracji, jest drugim przykładem tego rodzaju adaptacji);

3) drogę amerykanizacji: całkowitej na zasadzie zupełnego wynarodowienia (o ile to jest w ogóle w pierwszej generacji możliwe...) lub amerykanizacji częściowej, polegającej na zaabsorbowaniu pewnych cech kultury amerykańskiej i zachowaniu pewnych cech kultury narodowej, przede wszystkim jednak na podwójnej identyfikacji narodowej.

Sądząc z nazwy, *Polish Institute of Arts and Sciences in America*, Instytut ten jest kulturalną placówką emigracyjną, bo gdyby stał na stanowisku podwójnej identyfikacji narodowej powinienby się chyba nazywać *„Polish-American Institute of Arts and Sciences"*? Nazwy zresztą niezawsze odpowiadają zmieniającej się działalności i kategorie klasyfikacyjne, jak wiemy, z konieczności upraszczają rzeczywistość społeczną... Drogi i ścieżki adaptacyjne wiją się, łączą i przecinają...

◆

Mimo to, że farmerzy zachodnio-amerykańscy wśród których przeżyłam cały rok, nie mieszkali w skupiskach etnicznych to jednak konfliktów, nieporozumień i nawet może dyskryminacji, było między nimi sporo a były to konflikty typu etnicznego, religijnego i do pewnego stopnia klasowego. Amerykanie szwedzkiego pochodzenia wymyślali na Amerykanów fińskiego pochodzenia, nieliczni katolicy krytykowali protestantów a liczni protestanci opowiadali niesamowite wręcz bzdury o księżach katolickich i katolickich nabożeństwach. Konflikt klasowy natomiast — nieistniejący wśród samych farmerów — objawiał się czasem bardzo silnie w stosunku ich do „intruzów z miasta", inspektorów czy instruktorów Stacji Rolniczych *(Agricultural Extension Service)*... Jednemu z takich rolniczych instruktorów stale wypominano — pamiętam — „akcent harvardzki", chociaż taki akcent w Stanach w ogóle nie istnieje...

◆

Podczas pierwszych lat nauczania na uniwersytecie chicagowskim, miałam, jako tak zwany *teaching fellow* (rodzaj uczącego asystenta), bardzo małą pensję i mieszkałam w wielkiej starej kamienicy dzieląc łazienkę i telefon z robotniczą rodziną amerykańską, anglosaskiego chyba pochodzenia. Nie znałam jeszcze wówczas terminu WASP *(white Anglo-Saxon protestant* — biały anglosaski protestant) i nie wiedziałam o tym, że „Polack" jest słowem obraźliwym. Dowiedziałam się natomiast bardzo szybko, bo trudno się było tego nie dowiedzieć, że Uniwersytet Chicagowski znienawidzony był przez większość mieszkańców Chicago głównie chyba ze względu na wysokie czesne, bardzo wysoki naukowy poziom i kosmopolityczną atmosferę, odbijającą bardzo od atmosfery miasta. Moi sąsiedzi wiedzieli gdzie pracuję, bo nasza kamienica była blisko uniwersytetu i oprócz mnie mieszkało tam jeszcze kilku studentów i asystentów. Prawdziwe konflikty zaczęły się jednak dopiero wówczas gdy pomalowałam na jaskrawo żółto drzwi mego mieszkania, co obraziło okropnie moich sąsiadów robotników. Wówczas po raz pierwszy nazwali mnie „Polack", ponieważ nie wiedziałam jednak, że jest w tym coś obraźliwego, ucieszyłam się nawet i powiedziałam im, że będąc kobietą jestem „Polka" a nie „Polak" i żeby na przyszłość nazywali mnie Polką.

Podając ten przykład nie chcę bynajmniej powiedzieć, że konfliktów etnicznych w Stanach Zjednoczonych nie było i nie ma. Jest ich na pewno wiele, zazębiają się jednak z innego typu konfliktami i kto wie czy na przykład konflikt klasowy w amerykańskim swoistym stylu, nie jest tu znacznie silniejszy od konfliktu etnicznego.

Przed dyskryminacją etniczną trzeba się naturalnie bronić tak jak powinniśmy się bronić przed każdą niesprawiedliwością. Sądzę jednak, że w Stanach Zjednoczonych najlepszą techniką walki przeciw dyskryminacji etnicznej jest albo ignorowanie obra-

żających, albo humor, albo odwoływanie się do amerykańskiej ideologii i amerykańskich praw. Gdy moi sąsiedzi, robotnicy, przy innej okazji nazwali mnie „prostytutką, która rozprzestrzenia we wspólnej wannie choroby weneryczne" (a chodziło tu o biały proszek, którym umyłam wannę po kąpieli), wówczas podeszłam do wspólnego telefonu mówiąc im, że dzwonię na policję... no i awantury skończyły się raz na zawsze, mimo nadal pomalowanych na żółto drzwi. Protestowanie przeciw dyskryminacji etnicznej (która zresztą czasem jest w gruncie rzeczy innego rodzaju dyskryminacją) może mieć zupełnie odwrotne rezultaty. Może się przyczynić do rozprzestrzeniania stereotypów etnicznych.

◆

Pojęcie emigracji politycznej jest w Stanach Zjednoczonych prawie nieznane; nie zostało ono przez amerykański system kulturalny zaabsorbowane mimo tylu emigrantów politycznych! Dla przeciętnego Amerykanina każdy cudzoziemiec, w każdym razie europejski, który tu przyjeżdża lub nawet przez ten kraj przejeżdża jest albo emigrantem albo chciałby do Ameryki wyemigrować, ale z jakichś względów nie może. I każdy emigrant, z wykształceniem czy bez powinien „tak jak inni zacząć od samego początku: od zmywania podłóg, talerzy czy pracy fabrycznej".

Tego rodzaju amerykańskie podejście do emigrantów zaobserwowałam w silniejszej jeszcze wersji, wśród Amerykanów polskiego pochodzenia, mieszkających w tak zwanym „Chicagowie".

Nie wiem do jakiego stopnia zmieniła się kompozycja społeczna przywódców polonijnych mas etnicznych w Chicago. Dwadzieścia lat temu, gdy przeprowadzałam tam badania nad kacetowcami z polskiej inteligencji, przywódcy ci byli na ogół typowymi reprezentantami tych mas, byli jednak bardziej od nich zamerykanizowani, wykształcenie ich zwykle było przynajmniej trochę wyższe i kontakt z kulturą amerykańską przez duże „K" mieli większy niż przeciętny mieszkaniec „Chicagowa". Znajomość jednak polskiej kultury przez duże „K": historii, literatury, sztuki, była u nich nie większa a czasem nawet mniejsza niż u niektórych polskich robotników, którzy po wojnie wylądowali w „Chicagowie".

◆

Na ostatnim Kongresie *Polish Institute of Arts and Sciences in America*, odniosłam wrażenie, że niektórzy spośród polskich inteligentów i nawet intelektualistów z tak zwanej „nowej emigracji", którą — może niesłusznie — uważałam za emigrację polityczną, identyfikowało się znacznie głośniej z polsko-amerykańskimi grupami etnicznymi niż z samą Polską. Chęć obrony tych polskich mas etnicznych przed dyskryminacją ze strony WASP-ów i innych grup etnicznych, wysuwała się często w dyskusjach na pierwszy plan, podczas gdy sprawa obrony Polski przed histo-

rycznymi niesprawiedliwościami ze strony wrogów i aliantów usuwała się, na pewnych przynajmniej odcinkach, tak jakby na drugi plan. (Prace prof. Janusza Zawodnego o Katyniu są przykładem emigracyjnej działalności politycznej w najlepszym tego słowa znaczeniu).

Zastanowiło mnie to i zaalarmowało. Czyżby wczorajsi emigranci polityczni zmienili się z potencjalnych choćby działaczy niepodległościowych w przywódców polskich grup etnicznych? Czy rzeczywiście walka o podniesienie prestiżu polskich grup etnicznych w Ameryce zaabsorbowała ich tak całkowicie, czy też może między podniesieniem prestiżu polskich mas etnicznych a polską ideologią niepodległościową widzą oni jakiś związek, którego ja nie spostrzegam?[2]. A może ta działalność społeczna wśród polskich grup etnicznych jest jakąś próbą kompensacji za niesprawiedliwości społeczne, za to, że polscy chłopi emigrujący do Ameryki nie mieli rzeczywiście wielkiego oparcia w polskiej kulturze przez duże „K" że nie z własnego wyboru kultura ich była jedynie kulturą ludową bez szerszych horyzontów? A może ten szał proetniczny — myślałam — oparty jest na czymś głębszym niż zwykle krótkotrwała w Ameryce „moda polityczna"? Na czymś bardziej przyszłościowym? Może ci pro-etniczni intelektualiści z nowej emigracji wymarzyli sobie wielonarodowościowe raczej niż wieloetniczne Stany Zjednoczone przyszłości i rozdmuchując wśród polskich mas etnicznych polskie poczucie narodowe o takie Stany Zjednoczone walczyli?

◆

Na to aby Stany Zjednoczone z kraju wieloetnicznego zmieniły się na kraj wielonarodowościowy, taki jak Szwajcaria czy Belgia szanse są rzeczywiście minimalne zaś walka z niesprawiedliwościami społecznymi w Ameryce ma chyba znacznie większe szanse powodzenia w oparciu o związki zawodowe niż poprzez rozdmuchiwanie poczucia narodowego polskich mas etnicznych, które tym szybko amerykanizującym się masom może w gruncie rzeczy bardzo zaszkodzić, opóźniając ich pełny udział w kulturze amerykańskiej. Kultura ta zresztą nie jest już od dawna jedynie kulturą WASP-ów ale specyficznie amerykańskim, etnicznym narodowym, religijnym „związkiem chemicznym", który tak doskonale opisali Robert Lynd, Ralph Linton i Clyde Kluckohn[3]. Prawa grup etnicznych do samostanowienia o swoim losie są oczywiście jednymi z Praw Człowieka, chodzi jednak o to żeby to było prawdziwe, spontaniczne samostanowienie a nie polityczne misjonarstwo czy manipulacja uprawiana przez przywódców z zewnątrz!

2. To co obserwuję od wielu lat w Ameryce to raczej podniesienie prestiżu grup etnicznych na skutek osiągnięć w obrębie danego państwa czy nowo zdobytej niepodległości.

3. Robert Lynd, *Knowledge for what?;* Ralph Linton, *Study of Man;* Clyde Kluckohn, *Mirror for Man.*

Zaprojektowane niedawno przez *Polish Institute of Arts and Sciences in America* badania nad polskimi grupami etnicznymi w Stanach Zjednoczonych są świetnym pomysłem i o ile zostaną przeprowadzone bez pośpiechu i naprawdę naukowo, mogą rzeczywiście wyprodukować takiego klasyka socjologii światowej jak *Polish Peasant in Europe and America,* W. I. Thomasa i Floriana Znanieckiego lub *American Dillema* Gunnara Myrdala. Trzeba jednak zaznaczyć, że oba te wielkie dzieła są dziełami trudnymi i przez to nienadającymi się do natychmiastowej masowej konsumpcji i szybkiego rozwiązywania palących problemów społecznych. Ich naukowość, ich obiektywność jest ostrożnie zaplanowana. *Polish Peasant* był rezultatem współpracy między amerykańskim i polskim socjologiem; *American Dillema* napisane jest przez szwedzkiego ekonomistę i socjologa, z którym współpracowało szereg amerykańskich socjologów, białych i czarnych. Sądzę, że do współpracy nad polskimi grupami etnicznymi w Ameryce Instytut powinien zaprosić socjologa z któregoś z neutralnych krajów europejskich, kogoś powiedzmy à la Myrdal, w ten sposób bowiem można zapewnić sobie większą obiektywność i szeroką perspektywę potrzebną przy interpretacji tego rodzaju danych. Bardzo ważny jest również sam poziom takiej pracy, która nie powinna być pracą popularną, służącą rozbudzonym grupom etnicznym, polityce etnicznej rządu amerykańskiego lub co byłoby najgorsze... przedwyborczym interesom amerykańskich polityków.

Alicja IWAŃSKA

Albany, 26 stycznia 1972 r.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC"

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT" — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI" — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU"

Skrzynia

Człek człekowi nie dorówna,
nie poleci orzeł w gówna...
St. Wyspiański, *Wesele.*

Ogólny klimat opinii o mym poprzednim artykule „Freedom on Freeway" najtrafniej ujął w liście prywatnym mój przyjaciel Andrzej Mróz z Paryża: „Onegdaj parę osób tu przebąkiwało: — „Ty, Głogoczowski napisał artykuł w *Kulturze*"[1]. Po intonacji tych przebakiwań mogłem nawet uważać, że Głogoczowski napisał artykuł-potwór; była w nich mieszanina ironii i niezdrowego błysku w oku. Ale ja się na szczęście nigdy w życiu na żadnych przebąkiwaniach (ludzkich) nie opieram. Jeno mnie one w końcu zmobilizowały, zaopatrzyłem się w *Kulturę* i Twój artykuł przeczytałem. Przyznam Ci się, że to zupełnie dobry artykuł! Ubawił mnie, może nawet powiedziałbym, że bardzo dobry"...

Czytając zamieszczone w *Kulturze* polemiki, dochodzę do wniosku, że to co mi oponenci zarzucają można by uogólnić następująco:

1) że autor się nie zna na sprawie, o której pisze;
2) że z jednej strony gloryfikuję komputer, a z drugiej go atakuję;
3) że przedstawiam rzeczywistość nierzetelnie;
4) że piszę subiektywnie;
5) że piszę z pasją;
6) że piszę niepoważnie.

1. *Kultura* Nr 7/286-8/287. A. Mróz, aktualnie chyba najlepszy alpinista na terenie Francji *(Le Monde* z połowy września 1971).

Ad 1) Z artykułu p. Siemaszko wynika, iż autor sądzi, że jestem nie-technikiem, humanistą — czyli kimś, kto się na nauce i technologii nie zna, więc lepiej, aby o tym nie pisał.

Taki osąd zmusza mnie do podania kilku autobiograficznych faktów, które mogą wnieść trochę światła w tej sprawie:

a) Kiedyś ukończyłem studia fizyki (i to z wyróżnieniem, można sprawdzić w „Kalendarzu Studenckim na rok 1966").

b) W swej karierze pracowałem naukowo w dziedzinie fizyki i geofizyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, A.G.H. w Krakowie, Uniwersytecie Kopenhaskim, a ostatnio na Uniwersytecie Kalifornijskim.

c) W ramach tych prac wyprodukowałem trochę (5 sztuk) utworów, które bym nazwał „makulaturą naukową", czyli tym co robi większość naukowców, aby nie wylecieć z pracy i zarobić na życie.

W tej sytuacji branie mnie za nie-technika, to kompletny nonsens, natomiast epitet „humanista" może mi tylko schlebiać — chciałbym być humanistą, a w pewnym sensie czuję się nim także. Już w Polsce, znudzony karierą w naukach ścisłych, studiowałem Studium Afrykanistyczne, a w Berkeley miałem możność uczestniczenia w całkiem pokaźnej ilości wykładów z nauk społecznych.

Jednak zarzut mych oponentów — że nie mam odpowiednich kwalifikacji aby się wypowiadać, jest bardzo ważnym zarzutem. Dla wielu ludzi (powiedziałbym — większości) myśl nie poparta autorytetem — nie jest jeszcze myślą. Dlatego donoszę, że znalazłem autorytet w mej sprawie. Ma 71 lat, kilka miesięcy temu dostał Nobla z fizyki za odkrycie holografii. Jest nim Dennis Gabor — uczony angielski pochodzenia węgierskiego. Z jego wypowiedzi, które zdarzyło mi się niedawno przeczytać wynika, że sądzi on mniej więcej to samo co ja. Że na Zachodzie najważniejszymi problemami są: nuda, depersonalizacja życia i zanik potrzeby inteligencji.

Ad 2) Sprawa, która najbardziej wzruszyła moich oponentów: że z jednej strony gloryfikuję komputer, a z drugiej go atakuję („szamotanie" jak to celnie nazwał pan Boniecki). Tu przyznaję, rzeczywiście można odczytać w takim sensie to co napisałem — że ja sobie sam ustawiłem posąg Boga — *computer* i zarazem go wyznaję i nienawidzę. Dla tych, którzy mieli z tym trudności wykładam kawę na ławę: to mnie próbują tutaj ustawić ten posąg. Jest to coś w rodzaju niewidzialnej atmosfery, kierującej postępowaniem ludzkim, ja próbuję ją uchwycić, nadać ziemskich kształtów, świadomie przerysować — po to by z niej zadrwić.

A o możliwościach komputera (przewidywanie, kontrola)

miałem możność wielokrotnie czytać w uczonych książkach, osobiście słyszałem o nich z ust profesora nauk komputerowych i nikt z moich amerykańskich kolegów ich nie kwestionował. A działo się to na uniwersytecie uważanym przez autorytatywne ciała za „najlepszy" w Ameryce — co pozwala sądzić, że tak uważa się w „większości" tego kraju. Skądinąd, moi oponenci w swoich wypowiedziach sami te poglądy w pewnym sensie potwierdzają.

Pragnę dodać, że komputer (Bóg-niewolnik, określenia moje własne) to nie jest jakaś moja pół-literacka wizja. Zaczyna to być zupełnie naukowy model współczesnego społeczeństwa amerykańskiego! — ale o tym za chwilę.

Ad 3) Że jestem nierzetelny. Oczywiście, że tak. Mogę wszystkich zapewnić, że jedyny rzetelny obraz Ameryki, to jest sama Ameryka i jeśli ktoś chce sobie jej własny obraz wyrobić, musi ją sam poznać.

Zresztą widzieć „zewnętrznie" jakieś zjawisko nie oznacza jeszcze wcale, że się rozumie mechanizm jego działania. Każdy może zobaczyć, że patyk nie tonie w wodzie, dopiero Archimedes wytłumaczył dlaczego tak się dzieje. Moje artykuły są próbą zrozumienia, dlaczego najbliższy, namacalny świat wygląda tak a nie inaczej, i co jest motywacją naszego w nim postępowania.

Ad 4) A to, że moje spostrzeżenia są subiektywne? Każde spostrzeżenie jednostki może być traktowane jako subiektywne. Dopiero potwierdzone przez innych nabiera rangi „obiektywności". Ponieważ jesteśmy mali i omylni, staramy się publicznie unikać wypowiadania spostrzeżeń, których nie moglibyśmy „obiektywnie" potwierdzić. W dodatku nasze zmysły mają bardzo ograniczony zasięg, gdy tymczasem technologia dostarcza wspaniałych urządzeń pozwalających nam „widzieć" w nieporównywalnie większym polu[2]. Za to sztuczne „poszerzanie" zmysłów płacimy tym, iż nie są to już nasze bezpośrednie, pięciozmysłowe doznania, ale odpowiednio wybrane i przygotowane „widowiska", preparowane przez odpowiednich specjalistów „widzenia innym". Przekazywane są one nie jednostkom ale szerokim masom, nabierają przeto charakteru „publicznego", co powoduje iż stają się niejako bardziej „obiektywne" od normalnego, jednostkowego postrzegania.

W miarę jak środków przekazu jest więcej, te sztuczne doznania coraz bardziej wypierają nasze własne, małe, ponoć subiektywne spostrzeżenia. Pomaga tu niewątpliwie fakt, że nasze codzienne życie jest naprawdę niezbyt ciekawe, za to w szerokim świecie dzieje się tyle pasjonujących rzeczy. W tej sytuacji, żyjemy coraz bardziej tym, co się dzieje gdzieś daleko, i na co nie mamy wpływu. Naukowo nazywa się to „świadomość masowa".

Ze znanego czytelnikom podwórka — na przykład artykuły Z. Byrskiego (m.in. o „Czarnych Panterach") pisane są w takim właśnie „obiektywnym" stylu. Naprawdę nic im nie mogę zarzucić, wszystko to co p. Byrski pisze mogę sobie sprawdzić w odpowiednich gazetach. Ale z jego artykułu nie wynika, czy autor kiedykolwiek widział „ż y w ą" Czarną Panterę. Skoro (jak wnoszę z artykułu) p. Byrski ich nigdy osobiście nie widział, to dlaczego pisze o nich? Tłumaczy nam to sam: bo się boi, że dzięki środkom masowego przekazu ich sprawa została rozdmuchana do niebywałych rozmiarów. Ale przecież *Kultura* to też masowy środek przekazu. A zatem pisząc „obiektywnie" sam p. Byrski przyczynia się (choć może nieświadomie) do nadymania tego papierowo-elektronowego stracha. I wpadamy tu w „błędne koło".

A ja Pantery widziałem i słyszałem. Nawet ż y w ą Angelę Davis. I co mogę o niej powiedzieć? Że mówiła niezbyt inteligentnie, w czym mnie zawiodła, bo Herbert Marcuse, który ją wprowadzał powiedział że jest inteligentna. A kim są Pantery dużo mi powiedział artykuł dziennikarza z warszawskiej *Kultury* o tym jak go Pantery nacięły na dwa dolary.

Ad 5) że piszę z pasją — co sugerowałoby nieobiektywność. Gdy w Berkeley *smog* mnie drapie w gardło i szczypie w oczy mam trudności z racjonalnym ustosunkowaniem się do tego. Gdy ucieknę przed nim w góry Sierra Nevada, to nad głową mam prawie nieustanny ryk odrzutowców — a przeciwko nim nie mam nic, tylko swoje pasje. Zresztą ton listów moich oponentów nasuwa mi podejrzenie iż oni też mają pasje. I to całe szczęście, właśnie przez te pasje odróżniamy się od tego pudła, do którego nowoczesna nauka usiłuje nas przyrównać.

Ad 6) że piszę niepoważnie. Nie mam zamiaru zwalczać nudy pisząc nudne artykuły. A błazen jestem, to fakt. Choć i to już bywało. Na przykład Król Polski miał swego błazna — Stańczyka. Po to aby mu ktoś myślał.

◆

Chciałbym trochę rozszerzyć sprawę, o której nie myślałem

2. Tu polecam bardzo dobry artykuł Al. Hertza na ten temat w październikowej *Kulturze*.

zbytnio, pisząc poprzedni artykuł, a która wydaje mi się dość istotna dla zrozumienia mej postawy. P. Siemaszko pisze, że tacy jak ja chcieliby mieć tylko przywileje (ściślej wolność), bez żadnych obowiązków (ściślej nie chcą sobie nikim porządzić). Jest to dla niego *novum*. Jest to *novum* zależnie od tego gdzie się kto wychował. Na mym rodzinnym Podhalu śpiewano:

Panowie, Panowie
bądźcie se Panami,
hej, ale nie będziecie
panować nad nami!

Nad problemem czy chciałbym sobie porządzić, już się kiedyś zastanawiałem. Chyba rzeczywiście niezbyt. W socjalizmie kojarzyło mi się to zawsze z takimi drzwiami obitymi skórą, za którymi miałbym siedzieć, zamiast na przykład pojeździć na nartach[3]. W demokracji zaś z tym cyrkiem, o którym pisał p. Hertz. Cyrk amerykański różni się od rzymskiego tym, że w rzymskim na arenie byli niewolnicy, a cesarz decydował o ich losie, w amerykańskim zaś, na arenie jest cesarz a poddani decydują o jego losie. A jeśli już nazwiemy nowoczesne społeczeństwo „baranami", to nie wiadomo — czy to baca wiedzie stado, czy stado bacę.

◆

Osobną sprawą są osobiste uwagi pana Byrskiego pod moim adresem. Pisze on: „W Ameryce mnóstwo ludzi młodych i w średnim wieku włóczy się bez celu. Bez własnych środków lokomocji, korzystając tylko z auto-stopu lub chodząc pieszo. Włóczą się jak Marki po piekle. Marek Głogoczowski mógłby też, ale nie chciał. Może dlatego, że woli jeździć samochodem". Tu obiektywnie muszę sprostować: samochodu w ciągu ponad dwuletniego pobytu nie udało mi się nabawić, używam roweru. Nie przeszkodziło mi to jednak wejść na większość gór na tym kontynencie, włączając w to Mt. Mc Kinley na Alasce. A ilość ludzi, która tego dokonała w tym najbogatszym, ponad 200 milionowym narodzie, można by z powodzeniem zmieścić w niewielkiej salce wykładowej. Natomiast liczbę alpinistów, czy choćby tylko „turystów pieszych" można w tym ogromnym kraju porównywać właśnie z Polską. Czuję się tutaj autorytetem. Zainteresowani mogą sobie to sprawdzić w numerach „Taternika" czy „American Alpine Journal".

3. Aby nie było dalszych nieporozumień. Jeżdżenie na nartach to sprawa patologii rodzinnej. Na przykład brat mej matki (Mieczysław Gąsienica-Samek) był kiedyś trzecim w zjeździe na Akademickich Mistrzostwach Świata.

Odnośnie insynuacji, że kusi mnie kariera naukowa, to polecam p. Byrskiemu przeczytanie wstępu. A na me obniżone ambicje w tym kierunku wpływa także fakt, że mój własny ojciec jest już zacnym profesorem chemii, ponoć dobrym specjalistą. Zaś będąc wychowany w duchu naukowym (choć jeszcze tym przestarzałym, bardziej humanistycznym) mogę obserwować wewnętrzną degenerację Imponującej Wielkiej Nauki, zanik wolności samodzielnych poszukiwań, zacieśniania horyzontów przez specjalizację, czy wręcz zupełne wypaczenie nauk społecznych (o czym dalej).

Z kolei, ze swej strony mogę p. Byrskiego pocieszyć, że jego sąd o mnie nie jest odosobniony. Bardzo podobnie wypowiedziało się o moich przyjaciołach i o mnie (wymieniany z nazwiska) warszawskie *Prawo i życie,* (Nr 4 i 5/1970) organ „Wydziału Gniewu Ludu"[4] — gratuluję towarzystwa.

◆

Dlaczego dzwon głośny?
Bo wewnątrz jest pusty.

Z „Bajek" Ignacego Krasickiego

Zanim przejdę do dalszych rozważań nad uwagami mych oponentów, chciałbym zająć się sprawą, o której już wspominałem — Komputerowym modelem współczesnego społeczeństwa.

Kiedy pisałem: „Z kim przestajesz, takim się stajesz" nawet nie przypuszczałem jak blisko trafiłem. Niedawno czytałem w *Le Monde* wzmiankę, że w Paryżu odbyła się specjalna konferencja na temat „Społeczeństwo a komputer". Jeden z dużych autorytetów powiedział w zagajeniu: „Nie jest niebezpieczeństwem to, że komputer zacznie imitować człowieka, ale niebezpieczeństwem jest to, że człowiek zacznie imitować komputer". Autorytet, który to powiedział, krygował się że to co mówi brzmi niepoważnie, ale właśnie to jest aktualnie największe niebezpieczeństwo cywilizacji. (Tu nasunęła mi się myśl — że skoro zarówno autorytet jak i ja nie potrafimy mówić o tym poważnie, to może właśnie brak powagi jest najskuteczniejszą bronią w walce z tym najpoważniejszym problemem).

Człowiek imituje komputer... Na campusie słyszałem, że miejscowy profesor filozofii Dreyfus ma niedługo ogłosić książkę na temat komputerowego modelu społeczeństwa. Zacząłem się nad tym zastanawiać i przekazuję tutaj garść mych rozważań na ten temat.

4. Tak ktoś tę instytucję w *Kulturze* nazwał. Może nawet sam p. Byrski.

Przede wszystkim komputer. Z zewnątrz skrzynia, a w środku latają krasnoludki — elektrony. Co je motywuje, że latają tak a nie inaczej? Odpowiednio przyłożone impulsy napięcia. Ogólnie biorąc, wystarczą tylko dwa: impuls — krasnoludek leci tam gdzie trzeba; brak impulsu — krasnoludek nic nie robi. Krasnoludek to idealny niewolnik. Niezawodny. Kto kieruje ruchami krasnoludka? Zazwyczaj inny krasnoludek. Czasem ten inny krasnoludek jest stymulowany przez poprzedniego krasnoludka. Wtedy to się elektronicznie nazywa układ o sprzężeniu zwrotnym. Wtedy krasnoludki-niewolnicy stają się jednocześnie własnymi panami.

Przy odpowiednio dobranych parametrach to sprzężenie może być dodatnie — impuls w nim rośnie, albo ujemne — maleje. Czasem jest stałe.

Te krasnoludki mają kilka innych ważnych cech. Reagują tylko na elektryczny impuls, na wszystko inne są głuche, ślepe. Gdy się stanie coś nieprzewidzianego, drucik gdzieś pęknie, to koniec, klapa. Nic same nie wymyślą. Jeśli inteligencję zdefiniujemy jako umiejętność wyjścia z nowej, niespodziewanej sytuacji (słownik Webstera), to krasnoludki są kompletnie głupie. Komputer nie posiada inteligencji. Zero. Ale komputer potrafi się uczyć. Gdy już ktoś inteligentny z zewnątrz naprawi w nim błąd i napisze o tym książeczkę-program, którą krasnoludki sobie przeczytają przy pomocy odpowiedniego mechanizmu, to już następny taki błąd same sobie naprawią. Nawet mogą sobie naprawić inny błąd, podobny, metodą prób i błędów — jeśli tylko ktoś dodatkowo napisał im instrukcję jak próbować i błądzić. Jest to metoda bezmyślnego uczenia się, kujona. Jeśli potrafią się uczyć, to tylko w zaprogramowym kierunku.

Co to ma wspólnego z ludzką rzeczywistością? Bardzo wiele.

Najpierw chciałbym zwrócić uwagę na pewną sprawę, w Ameryce bardzo istotną. Tak zwane „urzeczowienie" stosunków międzyludzkich. Wynika ono zarówno z konkurencji, technicznej łatwości przenoszenia się, jak i z ogromu kraju. Na przykład na Uniwersytecie bardzo się dba, aby ocena studenta była „obiektywna". Dlatego specjalnie eliminuje się egzaminy ustne, aby nie „zakazić" wyniku osobowością zdającego. „Obiektywny" papier jest środkiem wymiany myśli, nie zaś swobodne, choć szybko zanikające, słowo. Na mój wydział przychodzą listy z zapotrzebowaniem na specjalistów. Zamawia się ich jak belkę o ściśle określonej specyfikacji, która ma pasować do danej konstrukcji i spełniać określone zadania. Gdy ktoś pisze pracę naukową (to jest szczególnie ważne w naukach społecznych) stara się jak najbardziej ukryć swą osobowość[5], by nie popsuć „obiektywności". Na gigantycznym rynku ważny jest produkt, nie sam twórca.

Tę cechę świetnie wyczuł Jan Lechoń w swym kapitalnym spostrzeżeniu: „W Ameryce liczą się rzeczy, nie ludzie", po czym skoczył z okna w Nowym Jorku, co było logicznym wnioskiem — do pejzażu amerykańskiego pasuje lepiej jako martwa natura, niż jako żywy człowiek.

Ale wróćmy do naszego „idealnego" modelu. Zastanówmy się jaki jest „idealny" kodeks etyczny, motywy postępowania naszych czasów. Na Wschodzie jest to dążność do zdobycia siły, pozycji w biurokracji. Na Zachodzie najwyższym celem jest też siła, choć trochę bardziej zakamuflowana, na przykład w postaci pieniądza. Najlepsze pieniądze robią *businessmen*'i. Ulepmy sobie model „Idealnego *businessman*'a". Materiału do jego opisu może dostarczyć książka W. J. Whyte'a „The Organization Man". Przyjrzyjmy mu się dobrze, to postać kluczowa do zrozumienia współczesnej cywilizacji.

Idealny *Businessman* maksymalizuje swój zysk. Ma to robić w sposób bezwzględny. Żadne obiekcje natury uczuciowej czy estetycznej nie mają wpływu na przebieg transakcji. Kupuje towar po najniższej cenie, nie patrząc od kogo. Gdy buduje dom, to tak, by z najmniejszego weń wkładu wycisnąć najwyższy dochód. Podejmując jakąkolwiek decyzję Idealny *Businessman* musi mieć w głowie tylko jedną ideę: jak zmaksymalizować zysk. Wartości pieniężne łatwo przedstawić w postaci impulsów elektrycznych. Dobrze zaprogramowany komputer potrafi podjąć równie dobrą decyzję jak Idealny *Businessman*. Elektronicznie nazywa się to „optymalizacja procesu". Oznacza to, że praca Idealnego *Businessman*'a nie wymaga żadnej inteligencji. Mniej od najgłupszej bakterii. *Automatic*. Idealny bęcwał. Tyle samo co skrzynia. Ale bogaty i potężny.

Wielu ludzi zazdrości *businessmen*'om. W praktyce każdy z nich stara się być małym idealnym *businesman*'em. Są oni członkami Idealnej Klasy Robotniczej. Podejmują pracę tam, gdzie więcej płacą, nie patrząc na nic, maksymalizują profit. Są członkami Idealnego Społeczeństwa. Między nimi występuje ogromna ilość połączeń — „rzeczowych relacji", o których pisałem — łatwo wymiernych w pieniądzach a więc w impulsach. Są one wszystkie sprzęgnięte zwrotnie. Te sprzężenia to są te błędne koła o których mówiłem. Wszystkie one są dodatnie. Ekspansują. Społeczeństwo trudni się produkcją rozmaitych rzeczy podnoszą-

5. Do jakich bzdur to doprowadziło w wypadku autora, widać po zamieszczonych w *Kulturze* krytykach.

cych jego potęgę i bogactwo. Robi to w sposób optymalny. Najbardziej optymalnym kształtem rzeczy jest skrzynia. Z zewnątrz rozwój współczesnej cywilizacji można porównać do pełzania ogromnej, samo-odtwarzającej się skrzyni. Kto myśli, że to wizja, niech popatrzy na nowe dzielnice wszystkich miast na świecie. Wygodne skrzynie. Bogate, potężne. A w środku pusto. Idealni *businessmen*'i. Idealne bęcwały.

Taki system nigdy by nie zadziałał, gdyby nie jeden niezmiernie ważny element. Na jego krańcach znajduje się pewna ilość ludzi myślących (wystarczy bardzo niewielka), choć też *businessmen*'ów. Jeśli wymyślą coś nowego, to piszą o tym książki-instrukcje. Aby dać zysk, książki te są powielane w milionach egzemplarzy. Ludzie wewnątrz systemu bezmyślnie wyczytują instrukcje („podnoszą wiedzę"). Samoczynny mechanizm wybiera myśli „dobre" czyli takie, które podnoszą potęgę i bogactwo. Na przykład ktoś odkrył: „Nauka to potęga", sprawdziło się. i już mamy miliony naukowców pracowicie podnoszących potęgę w tysiącach laboratoriów.

W tym modelu można jeszcze zmieścić całą nową grupę „anty". Nazwałbym ich „dziećmi idealnych *businessmen*'ów". Pracy myślowej również nie potrzeba żadnej. Wystarczy robić dokładnie przeciwnie niż „idealni *businessmen*'i". Jak jedni jedzą befsztyki to drudzy wegetarianie. I tak dalej. P. Byrski w swym liście podaje właśnie dokładnie taki obraz tej „różnorodności". Być może, te „anty"-prądy rozsadzą kiedyś komputer. — Oby.

Jak komputer do ich powstania dopuścił? Dla niego tajemnica. Ja wierzę, że to jest ingerencja z zewnątrz. Palec Boży, czyli po prostu Życie.

No i ostatnia grupa. Tacy którym się już nic nie chce. Po prostu nawalony komputer. Ucieczka przed impulsem w narkotyczne otępienie.

To tylko szkic tego wspaniałego modelu. Czytelnikom polecam spróbować go sobie samemu rozwinąć i pogłębić. Na przykład skąd się to bierze, że turyści (masowi) grupują się w pewnym miejscu a nie innym. W jaki sposób produkuje się doznania estetyczne (bardzo ważne! — tłumaczy zanik wrażeń estetycznych u *hippies*'ów).

A twierdzenie pana Byrskiego, że standart życiowy wpływa na rozwój inteligencji? Wygląda to bardzo atrakcyjnie, ale jest to zupełny nonsens. Diogenes mieszkał w beczce i myślał o filozofii, zaś *businessman* mieszka w siedmiu łazienkach (sam liczyłem) i ogląda kolorową telewizję. Wzrost inteligencji zależy od zupełnie innych czynników — np. że raz jest nam dobrze, a raz źle i ciągle się (w rzeczywistości, nie na ekranie) coś dzieje. To właśnie Polska spełnia te warunki. Nawet spróbowałbym zaryzykować, że być może produkt kulturalny małej i biednej Polski nie jest mniejszy od ogromnej Ameryki. To tylko te milionowe nakłady i rury telewizyjne sprawiają wrażenie bogactwa. A w środku bieda. Pusto.

◆

Skąd się bierze ten model? Wynika on z zasady doskonałej racjonalności. Jeśli nic się nie zmieni, to wszystkie przesłanki wskazują na to, że w przyszłości będziemy zbliżać się do tego ideału. Pracowicie bezmyślnego krasnoludka, będącego sobie jednocześnie panem i niewolnikiem.

Czy jest jakieś wyjście z tego błędnego koła? Oczywiście że jest. Jesteśmy przecież obdarzeni inteligencją, czyli potrafimy znajdować wyjście z trudnych sytuacji. Wyjście jest banalne — trzeba dosłownie — Wyjść!

Zanim jednak dam instrukcje jak to się bezkarnie robi, pozwolę sobie wyrazić opinię o przekonaniach mych oponentów:

1) że postęp (rozumiany jako postęp techniczny) być musi,
2) że standart życiowy ma rosnąć,
3) że nauka i technika rozwiążą nam wszystkie problemy,
4) że te problemy rozwiążą nam specjaliści,
5) że przyszłość można przewidzieć (wynika to logicznie z punktów poprzednich).

Od razu powiem co sądzę o powyższych poglądach: Jest to zbiór prawd wiary zmechanizowanego ludu XX wieku. Wierzeń jakościowo takich samych, jak wiara w niebo i piekło. Czyli po prostu najzwyklejsza religia. Nazywa się ona „Światopogląd Naukowy". Występuje w dwu głównych wersjach: Marksizm w krajach komunizmu i mniej znany Pozytywizm na Zachodzie.

U podstaw światopoglądu naukowego leży wiara, że rozwój ludzkości przebiega według tak zwanych „obiektywnych Praw Natury". „Obiektywne" oznacza, iż są one niezmienne w czasie (historii) i przestrzeni. Prawa te podobne są do praw rządzących światem materii nieożywionej, np. fizyka. Takim na przykład „obiektywnym" prawem jest darwinowska „walka o byt". Praw tych, ze względu na ich obiektywność, nie możemy zmienić. Możemy je tylko poznać i ich znajomość wykorzystać do własnych celów. Tak jak to się robi z prawami fizyki.

Tu chciałbym wypowiedzieć swój własny sąd na ten temat (doszedłem do niego w czasie kursu filozofii nauk społecznych): Prawa rządzące materią ożywioną są jakościowo zupełnie różne od praw fizyki. Wypowiedziałem nawet twierdzenie: „Z wyjątkiem elementarnych praw, tzw. egzystencjalnych[6]. nie ma żad-

nych 'obiektywnych' praw rządzących postępowaniem ludzkim[7].

— że brzmi to średniowiecznie? To właśnie średniowieczem jest sądzić, że są takie prawa. A teraz dowód tego:

Skąd się biorą prawa ludzkiego postępowania? Dawniej zasady te były podawane przez religię w postaci tzw. reguł etycznych. Jeśli przyjmiemy, że religie są wytworem ludzkiego umysłu, to ich kodeksy etyczne są takim samym wytworem. Niezależnie od tego, czy te kodeksy były mniej lub bardziej udane, ludzie postępowali według nich, opór przeciwko tym prawom był zamrożony strachem przed autorytetem religii.

Jest to zupełnie inna sytuacja niż w fizyce — nieudolnie sformułowane prawo nie ma żadnego wpływu na przebieg zjawiska fizycznego. Prawo, aby być „dobre" musi się „dopasować" do realności zjawiska. Tymczasem w wypadku człowieka jest odwrotnie. Zupełnie „fikcyjne", wymyślone prawo, poparte odpowiednim autorytetem potrafi doprowadzić do tego aby ludzie się do niego dopasowywali — a zatem „obiektywnie" je potwierdzali.

Tę samą zasadę stosuje się i obecnie. Wszyscy wiemy co jest dla nas autorytetem — Nauka. A jej autorytet jest poparty namacalnymi dowodami w postaci Technologii. Próba zwątpienia, czy obalenia „obiektywnych" praw naukowych, np. teorii grawitacji Einsteina, nie ma żadnych szans dla zwykłego śmiertelnika czy nawet profesora fizyki teoretycznej. Zafascynowani osiągnięciami nauk ścisłych zwykliśmy szukać takich samych praw dla naszego postępowania.

Marx podał takie jedno „naukowe" prawo — teorię rewolucji. Miała ona wszystkie cechy prawa naukowego, świetnie tłumaczyła przeszłość, przewidywała przyszłość — rewolucję. Znaleźli się tacy, którzy uwierzyli w to prawo i natchnieni przez nie zrobili w Rosji rewolucję. Do czego to doprowadziło wszyscy dobrze wiemy.

Co jest natchnieniem działalności ludzkiej na Zachodzie, zwłaszcza w Ameryce?

Oficjalna doktryna nauk społecznych (tak jak to się w Berkeley wyznaje) streszcza się do tego, że człowiek jest to istota pośrednia między nadrozwiniętym szczurem a powolnym komputerem. To może właśnie dlatego ulica Telegraph[8] zaczyna przypominać zwierzyniec, a centrum bankowe komputer. (Proszę pomyśleć nad tym, to niezmiernie ważne!)

6. Np. aby żyć trzeba jeść, że jesteśmy śmiertelni, etc.

7. Prawo to próbowałbym (w mniejszym stopniu) rozszerzyć na całą biologię.

8. Ulica *hippies*'ów w Berkeley.

Jakie są „akty wiary" światopoglądu naukowego?

Właśnie poglądy wyrażane przez mych oponentów. Postaram się podważyć trochę ich obiektywność.

Ad 1) Postęp — tu na razie postaram się omówić postęp najłatwiej widzialny i wymierzalny: Postęp techniczny. Na przykład komputer. P. Siemaszko celnie podaje przykład, jak komputer eliminuje ogłupiającą pracę rachmistrza kalesonów w zacofanej Polsce. Z kolei mogę opowiedzieć co ja robię przy pomocy komputera w super-nowoczesnej Ameryce. Przygotowywuję skomputeryzowany katalog ziarenek piasku z wybrzeży Kalifornii. Ich wielkość, wagę, skład mineralny. Jak dotąd około 350 tysięcy ziarenek, jeszcze ich dokładnie nie policzyłem. A praca ta przypomina mi żywcem wierszyk o Głupim Jasiu, który liczył ziarnka maku. Chociaż Jasio nie taki głupi — nieźle mu za to płacą. Na wszelki wypadek unikamy z moim profesorem rozmów po co to robimy. Po co podcinać sobie gałąź na której obaj siedzimy.

Inny mój kolega robi doktorat na wielkim cyklotronie w Berkeley. Zrobił już 50 tysięcy pomiarów. Zrobi jeszcze ze 30 tysięcy i dostanie doktorat. Ogólnie mówiąc (a wywodzę to z własnych dość bogatych doświadczeń i spostrzeżeń mych kolegów), Wielka Nauka zaczyna coraz bardziej przypominać gigantyczne prace dobrze płatnych Głupich Jasiów. I to tym lepiej płatnych i bardziej głupich, im większych maszyn używają, im większe projekty realizują. Działa tu zasada błędnego koła. Z oczywistych względów nikt tego nie śmie napisać w prasie fachowej.

Zresztą ten Głupi Jasio to nie mój wyłączny pomysł. Jest to tak zwana zasada instrumentu, znana wszystkim socjologom w Berkeley. Gdy dać dziecku młotek to nie oprze się by sobie nim postukać gdzie się tylko da. To jeszcze niegroźne. Groźniejsze jest, że młotek ten urósł do rozmiarów określanych w megatonach trotylu i miliardach operacji na sekundę. A umysł dziecka pozostał umysłem dziecka.

Skąd się bierze postęp? Gdy pytałem mojego kolegi, kończącego doktorat, co zamierza robić potem (aktualnie w Ameryce fizyków nie potrzebują), to powiedział, że to sprawa przejściowa. Niedługo Rosjanie znowu coś wymyślą (jakąś większą bombę) i znowu będzie praca. Czyli, jak to wszyscy wiedzą, najlepszy postęp rodzi się z prawa konkurencji, czyli z walki o byt. Jest to prawo obiektywne, a więc zawsze stosowalne. Na język prosty przekłada się ono tak: kto kogo w mordę, choćby tylko potencjalnie.

Tymczasem już obecnie prawo to dało sobie mata. Dalsza walka o byt na skalę super-potęg oznacza jednocześnie samobójstwo bądź degenerację strony zwycięskiej.

Ad 2) Jak wygląda to na mniejszą skalę, personalną? Triumfatorów walki o byt poznaje się w sposób prosty po tak zwanym „standarcie życiowym", czyli po ilości wygód dostępnych dla danego osobnika. Najważniejszą z wygód jest „wygódka", czyli ustęp. Jak zauważył jeden z mych amerykańskich kolegów, Ameryka to kraj najdostojniejszych na świecie ustępów. A w ustępach tych jest najmiększy na świecie papier toaletowy[9]. Kiedyś byłem w górach z synem siedmiołazienkowego *businessman*'a. Podcierał się on „organicznie" przy pomocy skałki. Ja zaś wciąż jestem na etapie papieru toaletowego — co chyba wynika z tego, że w zacofanej Polsce nie można go było czasem dostać. A o podnoszeniu standartu życiowego mogę sobie filozofować mrożąc siedzenie na skalnym biwaku.

Ale postęp ma być. Czy zawsze tak było?

Z okazji mych studiów afrykanistycznych zdarzyło mi się przeczytać historię wprost niewiarygodną. Dotyczy ona Chińczyków. Warto im się uważniej przypatrzeć. Chińczycy to najstarszy naród na świecie. Ma on ponoć prawie 7000 lat i ciągle jeszcze kontynuuje swą historię, a — jak widać z ostatnich poczynań — robi to nie najgorzej. Otóż pod koniec XV wieku Chiny były u szczytu swego rozkwitu. Posiadały najlepszą na świecie technologię. Dżonki chińskie były o klasę lepsze od statków portugalskich. Znali także doskonale nawigację (kompas), proch i dziesiątki innych rzeczy, w Europie podówczas nie znanych. Byli w pełni ekspansji, zakładali kolonie na wschodnich brzegach Afryki. Wszystko wskazywało, iż to oni odkryją drogę do Europy, a nie Portugalczycy do nich.

Tymczasem, dokładnie w roku 1500, stało się coś zupełnie niezrozumiałego. Wskutek przewrotu pałacowego stronnictwo eunuchów (popierające ekspansję) zostało odsunięte od władzy i zwyciężyło stronnictwo dworskie o programie izolacjonistycznym. Wspaniała, największa na świecie flota została spalona przez samych jej twórców. Chiny wycofały się z kolonii, odizolowały zupełnie od świata zewnętrznego, zakazano badań naukowych.

Na campusie przyglądam się mym chińskim kolegom. Są niewiarygodnie pracowici. Gdyby w ich kraju pracę zorganizować racjonalnie, to bez trudu przypracowaliby cały świat. Dlatego z niepokojem patrzę jak odbudowują uniwersytety, wystrzeliwują satelity i produkują bomby atomowe. Po cichu zaś marzę, aby jak najszybciej zrobili znowu „rewolucję kulturalną". Wysłali profesorów do pracy na roli. To nie taki głupi pomysł jeśli ma się zamiar przeżyć jeszcze następnych 7000 lat.

9. Zauważył już to zdaje się Cz. Miłosz w „Widzeniach znad zatoki San Francisco.

Ale my nie jesteśmy Chińczykami. Cóż nam więc pozostaje? Przypadkowo rozmawiałem z żoną znanego profesora fizyki w Berkeley. Gdy powiedziałem jej o mym znudzeniu nauką, odpowiedziała mi, że jej mąż czuje to samo i aktualnie zajmuje się lepieniem garnków. Dowiedziałem się także, że prawie połowa fizyków w Berkeley nie widzi w fizyce, zwłaszcza wysokich energii, żadnej przyszłości. Wielu z nich lepi garnki.

Wśród moich kolegów na geofizyce wielu zastanawia się co będzie robić jak „wypoci" doktorat. Werbownicy z kompanii naftowych (ciężkie tysiące dolarów!) odchodzą z niczym. Kilku myśli zupełnie serio o przeniesieniu się do „komuny", kupienia niewielkiej farmy i życia na niej. Zapewniam wszystkich, nie jest to takie straszne. Mój własny dziadek miał do niedawna „gazdówkę" w Zakopanem, na której często pracowałem. I nie ma porównania zwożenie końmi siana z Gubałówki z debilnym dziurkowaniem kartek do komputera. A więc moze, za kilka lub kilkanaście lat, zamiast produkować smog w miastach-molochach, Amerykanie wrócą z powrotem na wieś. I to dobrowolnie. Dla własnej przyjemności. Czego im szczerze życzę. Mam wszystkie dane po temu, aby wierzyć, że oni też chcą jeszcze przeżyć parę tysięcy lat.

Ad 3) Twierdzenie, że nauka i technologia rozwiążą nam wszystkie problemy.

Tu pragnę zauważyć, że te problemy, które ma nam obecnie nauka rozwiązać, to są problemy stworzone przez samą naukę. Znowu jesteśmy w błędnym kole. Oczywiście, nauka może nam wszystkie problemy rozwiązać — po prostu nas uśmiercić. Posiada już na to środki. Ale wątpię czy się komuś takie rozwiązanie podoba. Jest i drugie rozwiązanie, bardziej długofalowe, choć zmierzające do tego samego. Polega ono na zastosowaniu nauk ścisłych do nas samych.

By poznać siebie w „obiektywnych" terminach fizyki i chemii, musielibyśmy z siebie samych urządzić laboratorium. W pewnym sensie już się to dzieje, nie tylko w instytutach naukowych ale i w życiu. Po co wszędzie te kamery telewizyjne?

Tymczasem my posiadamy cechę zupełnie zdumiewającą, i dla specjalistów nie do pomyślenia. Zmieniamy się sami pod wpływem instrumentów, których używamy. Ponoć *hippies*'i są dziećmi telewizji. Zaś kontrola, o której się marzy specjalistom, to niebezpieczna wizja. W pełni kotrolować możemy tylko układ martwy. Zaś biologia jest zupełnie nieobliczalna. Nawet bakterie potrafiły wymyśleć coś przeciw penicylinie. A jako stworzenia żywe, zrobimy wszystko aby się spod tej kontroli wyrwać.

Niemożność zaś znalezienia uniwersalnych (obiektywnych)

formuł dla wyrażenia praw biologii wynika prosto z faktu, że formuła jest martwa, niezmienna, zaś biologia żywa! (Jest to drugi, chyba zupełnie poprawny, dowód bzdurności ścisło-naukowego gmachu nauk społecznych!)

Skądinąd, gdybyśmy nawet nasze problemy rozwiązali, to powstanie problem braku problemów, czyli po prostu nuda. A wtedy będziemy wynajdywać sztuczne problemy, by mieć o czym myśleć. Na przykład „Czarne Pantery". A jak za długo będziemy o nich myśleć, to pojawi się problem, że mamy sztuczne myśli. Tak w kółeczko. Coraz bardziej ponure.

Ad 4) Problem specjalistów.

Problemy ekologii są to po raz pierwszy w naszej historii problemy najzupełniej obiektywne i pozostawione „żywiołowi" grożą nam rzeczywiście raczej ponurą przyszłością. Powszechne w tym wypadku jest wierzenie, że rozwiążą nam te problemy specjaliści. A my będziemy patrzeć w telewizor i temu się przyglądać.

W jakimś piśmie intelektualnym czytałem poważne projekty takich rozwiązań. Aż ciarki mi po grzbiecie zaczęły chodzić. To prawie jak w Chinach. Jeśli zaś chodzi o moją opinię, to chciałbym po raz drugi postawić to zagadnienie na głowie i powiedzieć, że naczelnym problemem ekologii są sami specjaliści — ludzie, którzy w młodości zamiast używać życia, ochoczo się konformowali, zawężali i deformowali swój umysł, by sprostać wymogom specjalności. A czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Teraz zaś chcą oni nas i cały świat kontrolować i przewidywać.

Jeżeli zaś wierzę w dużą rolę ludzi nauki w rozwiązaniu tych problemów, to wierzę w nich jako w ludzi inteligentnych, a nie jako specjalistów (np. wymieniony Dennis Gabor).

Odnośnie tego jak nam specjaliści mogą pomóc, chciałbym opowiedzieć o pewnym skojarzeniu, które mi się niedawno nasunęło. Kiedyś, jeszcze w Krakowie, w Klubie „Pod Jaszczurami", odbywała się dyskusja na temat odpowiedzialności ludzi nauki za prowadzone badania. Jeden z profesorów (omalże mój własny wuj) powiedział, że naukowiec to jak niańka, która wychowuje dziecko, nie mogąc wziąć odpowiedzialności za to co z niego wyrośnie. Pomyślałem o ostatniej sztuce Mrożka, drukowanej w *Kulturze:* — No i wyrosło dzieciątko-wampirek!

◆

Ad 5) Sprawa przewidywania przyszłości.

P. Siemaszko intuicyjnie trafnie wyczuł, że to bzdura. Nigdy nie będzie można przewidzieć przyszłości. Nawet prawdopodobnej przyszłości. Ja sam, w poprzednim artykule, przeprowadziłem zupełnie poprawny szkic dowodu iż to jest nonsens. Nawet udało mi się do tego przekonać miejscowy, a może światowy, autorytet z tej dziedziny — prof. Scrivena (140 prac naukowych). Być może napisze on na ten temat 141-szą pracę.

Sprawa przewidywania przyszłości to sprawa o kapitalnym znaczeniu. Usunięcie tego filaru zamienia w makulaturę tony prac socjologicznych na ten temat. Na przykład relacjonowaną w *Kulturze,* wręcz niesmaczną książkę Tofflera „Szok przyszłości". Także podaje w wątpliwość te wszystkie „akty wiary", przytoczone poprzednio. Wszystkie one dotyczą przyszłości. I to że, „postęp (techniczny) musi być" staje się po prostu zwykłym „pobożnym życzeniem".

Dlaczego jednak pojawiły się ostatnio takie ilości „naukowych" prac na ten temat? To samo co w astrologii, lud chce znać przyszłość. Jeżeli ktoś już dorobił się jakiejś pozycji materialnej czy społecznej, boi się, że ją utraci. Dlatego chętnie postępuje według wskazań dobrze płatnych specjalistów, którzy mu pomagają daną pozycję zachować i rozwijać. Zaś stosując się bezkrytycznie do ich wskazań, sam staje się łatwy do przewidzenia, co z kolei służy do ugruntowania złudzenia, że przyszłość można przewidzieć. Znowu błędne koło. Sprowadza się ono do tego: Postęp, Postęp, ale taki, żeby nic się nie zmieniło.

Z takich złudzeń biorą się właśnie próby zastosowania komputera do przewidywania przyszłości. To, że z nami będzie nieklawo jeśli dotychczasowe trendy się utrzymają, to może zauważyć każdy inteligentny człowiek popatrzywszy np. na wykres wzrostu populacji. A więc po co specjaliści stosują do tego komputery? To jest sprawa psychologiczna. Wynik z komputera wydaje się bardziej „obiektywny" i autorytatywny od ponoć subiektywnej własnej wyobraźni. Ja sam podejrzewam natomiast, że są oni po prostu głupi.

◆

Co, w takim razie, ja sam, były fizyk, niedoszły humanista, chciałbym zaproponować w tej śmiertelnie poważnej, ekologicznej sprawie? — Mniej powagi w życiu!

Moja znajoma, z którą gram w tenisa, przyprowadza zawsze na kort swego 3-letniego, uroczego brzdąca. Mały ma mnóstwo zabawek, piłeczki, rowerek, ale gdy jest sam, wprost cholernie się nudzi i markoci. Kiedyś, przypadkiem, ktoś przyszedł na kort z innym chłopaczkiem. Bez żadnych zabawek, sami sobie wystarczali, by się bawić aż hej.

A może dorośli to też trochę jak te dzieci, nudzą się i markocą sami wśród niebezpiecznych zabawek, które sobie naprodu-

kowali? Dopiero bez nich mogą zauważyć innych ludzi, spróbować grać z nimi w różne gry, czasem się nawet pobić, zamiast przyglądać się tępo jak się im gra. Nie jest to taka utopia, jak by się zdawało.

Kilka miesięcy temu, zwiedzałem „Renaissance Pleasure Faire" pod San Francisco. Samochody zostały gdzieś daleko. W małym lasku. Ze smakiem odtworzono cały renesansowy jarmark, po którym przechadzały się tłumy przebierańców. No i tłumy artystów. Występowali za psi grosz, albo nawet za nic. Było ich tak dużo, iż czasem trudno było odróżnić kto jest widzem a kto aktorem. W dodatku każdy mógł zostać aktorem, wstępując na przykład, w szranki turnieju.

W pewnym momencie pomyślałem, że może dla wielu grających tych kilka dni w roku, na jarmarku wesołości, to jest prawdziwe życie, a tak zwane „nowoczesne" normalne życie — to zwykła zmora.

◆

Osobiście twierdzę, że zrozumienia naszych problemów trzeba szukać w nas samych, a nie w naukach ścisłych czy Kosmosie. To wymyślił już Sokrates. Jeśli zaś to stwierdzenie trzeba po z górą 2000 lat re-odkrywać, może to być dowodem, jakiego to niesamowitego postępu dokonaliśmy w ciągu tego czasu. Ci zaś, którzy myślą, że wystarczy aby prawdy tego świata odkrywali im specjaliści, nie zasługują na inną nazwę jak niewolników[10], którzy wykonują jakieś czynności zupełnie nie rozumiejąc po co. Jest to zdanie nie tylko moje ale i Arystotelesa — niegdyś także niezły autorytet. A stosowanie rozwiązań chińskich w stosunku do niewolników jest w pełni usprawiedliwione.

Od czego zacząć? Na przykład spróbować obalić moje poglądy. Ale zrobić to głową, nie pałą. A co potem? Można skrzyni zacząć robić dowcipy. Przecież i tak nie mamy nic do roboty, problemy egzystencjalne już nam dawno załatwiono. No ale skrzynia może przyskrzynić. To prawda, jest ryzyko. Choć podejrzewam że już z niej gaz uszedł. Moi koledzy są już w Polsce na wolności. A jak pisał Leszek Kołakowski — trzeba próbować.

Bo życie to gra[11]. No i oczywiście, komputery jeżeli już są, można je zostawić. Ale kazać im liczyć kalesony, nie naszą przyszłość. (Choć i tu mam obiekcję: co zrobimy wtedy z tymi którzy chcą być pożyteczni i liczyć? Może jednak te kalesony?).

A najważniejsze: dać spokój Chińczykom i przestać uszczęśliwiać bogactwem ludzkość. Sama sobie da radę. Spróbować zrobić weselszym życie swoje i swoich znajomych.

Jeżeli zaś ktoś chce otrzymać konkretną radę to podaję: Wyrzucić przez okno telewizor i zacząć lepić garnki — robią to już autorytety. Przecież „nie święci garnki lepią"!

Marek GŁOGOCZOWSKI

PS. Artykuł powyższy traktuję jako nieudolne dzieło sztuki satyrycznej, jako też najpoważniejszą w świecie pracę naukową.

P.S. Jako lekturę uzupełniającą polecam piękną książkę mego kolegi Piotra Wojciechowskiego pt. „Czaszka w czaszce".

10. Choćby nawet jeździli Cadillacami.
11. Polecam sprawdzić u Wittgensteina jak on definiuje „Grę".

NOWOŚĆ

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 214 — SERIA „DOKUMENTY"
ZESZYT 38

REWOLTA SZCZECIŃSKA I JEJ ZNACZENIE

Opracowała EWA WACOWSKA

Tom zawiera pełny tekst 9-ciogodzinnego spotkania Edwarda Gierka z załogą stoczni im. A. Warskiego w Szczecinie w styczniu 1971 roku, opatrzony komentarzami, oraz liczne aneksy.

Str. 256. Cena F. 25 (dol. 5,50; £.2.00)

Muza Teodora Parnickiego

„... majstrowie czy to przez duże EM czy przez małe, to jest coś, co realnie istnieje, a muz nie ma".
T. Parnicki *„Muza dalekich podróży".*

Gdyby muzy istniały — i gdyby liczbę ich można dowolnie mnożyć — dziełu Parnickiego patronować winna nie Klio, lecz Entropia: uosobienie wszechkomplikacji, miara przemiany kosmosu w chaos. Parnicki pisze powieści zwane historycznymi, lecz bardziej fascynują go uniwersalia: zmiana, współzależność, „jedność w wielości", niż konkretne „tu i teraz" i „tak, a nie inaczej" kronikarskiej historiografii. Historia jest u niego tylko pierwszym stopniem historiozofii, ta zaś — osobliwej dialektyki, władającej niemniej osobliwą czasoprzestrzenią, zbudowaną z dziejów ludzkiej cywilizacji, psychologii i fantazji. Dialektyka ta — bardziej spod znaku Heraklita niż „Anti-Dühringa" — to próba racjonalizacji mistycznego niemal poczucia jedności bytu, wszechobecnego wszechpowiązania w pozornej rozmaitości świata, a zatem umowności jedynie wszelkich barier: czasowych, przestrzennych, przyczynowych i modalnych. Zaciera się tu podział na to co *przedtem* i *potem,* na rzeczywistość i fikcję, na znak i desygnat; każda całość okazuje się tylko częścią, atman — brahmanem, a jedyną realnością — heraklitejska Rzeka, której szum wypełnia coraz szczelniej czasoprzestrzeń, stworzoną przez Parnickiego dla ilustracji takiej koncepcji świata. Praktyczną tego konsekwencją jest ewolucja jego dzieła ku zupełnej nieczytelności.

Niniejszy szkic bierze początek z mieszanych uczuć. Są rzeczy, które samym swym rozmiarem uniemożliwiają pokusę zignorowania, „odmyślenia precz", jak mawiał Witkacy. Można być w Harrisville, Ohio, i zignorować tę miejscowość — nie można,

mimo szczerych chęci, zignorować Nowego Jorku. Wędrując po literaturze polskiej, nie można przejść obojętnie obok *super-history-fiction* (analogia do *science fiction)* Parnickiego — trzeba „coś z nią zrobić" przez sam fakt, że jest, że *steht da (und kann nicht anders).* Ale co? Mowy nie ma o dokładniejszej analizie, czy choćby streszczeniu *(„Dziecko! Chciałby dobyć z wody twarz księżyca!").* Samo przeczytanie jest zadaniem problematycznym wobec faktu, że Parnickiego się nie c z y t a — można go co najwyżej, z lepszym lub gorszym rezultatem s t u d i o w a ć. Czytelnicy Parnickiego są albo specjalistami, piszącymi o nim prace doktorskie, albo członkami wtajemniczonego kręgu hobbystów, przypominającego masonerię. Żeby się tam dostać, trzeba lat terminatorstwa! Szkic niniejszy stawia sobie cele minimalne: wypunktowanie „o co chodzi" — według mego rozumienia — w całości dzieła, nakreślenie schematu orientacyjnego tego „mirabilium lingwistyczno-gramatycznego", jak utwory swe określa sam autor, oraz poczynienie uwag na temat ewolucji koncepcji dzieła. Ten ostatni punkt jedynie zbliża szkic niniejszy do tego, co Parnicki uważa za krytykę *(„Opowiadać genezę dzieła sztuki pisarskiej jest to obowiązek krytyka literackiego, a co najmniej już niepodlegające żadnym zastrzeżeniom prawo"* — „Muza", str. 422); reszta jest tylko próbą uporządkowania własnych myśli po pewnym okresie obcowania z *mirabilium* — w druku, bo z nadzieją, że może to być użyteczne dla innych początkujących czytelników.

Nawet pobieżny opis piórotworu Parnickiego jest trudny, ponieważ ca. 20 powieści, napisanych w ciągu ostatnich 35 lat stanowi części nadrzędnej całości, która jest — jak się wydaje — niezakończona, a na pewno niejednolita. Każda próba systematyzacji musi uwzględnić dwa niezależne od siebie kryteria: 1° — miejsce utworu w czasoprzestrzeni *„stworzonej — a także: dotworzonej i przetworzonej"* przez Parnickiego, 2° — jego miejsce w chronologii twórczości pisarza. Według kryterium pierwszego np. *„Aecjusz ostatni Rzymianin"* i *„Śmierć Aecjusza"* tworzą parę tematyczną, zaś według kryterium drugiego — są krańcowo różne: wydany w 1937 *„Aecjusz"* jest jeszcze dość konwencjonalną powieścią historyczną, raczej „odtwarzającą" niż „przetwarzającą i dotwarzającą" pewien wycinek historii (Rzym, V w. po Chr.) — natomiast druga powieść, z 1965 roku, należy już do etapu zaawansowanej „hermetyzacji" dzieła.

Przed zastosowaniem kryterium tematycznego konieczne jest zdanie sobie sprawy z wagi kryterium drugiego — bo ewolucja koncepcji: i historii i poświęconego jej dzieła, jest ważnym kluczem do Parnickiego. Mówiąc brutalnie, każda nowa książka Parnickiego jest ciemniejsza, zawilsza i mniej czytelna od po-

przednich — co nie dzieje się bez wiedzy autora: „... *takie się tu szykuje teraz wawiłonskoje stołpotworienije, że lada chwila, a o „Baśni nowej" jak o czymś w rodzaju „Kollokacji"* [...]*będzie się mówiło"* — czytamy na wstępie *„Muzy dalekich podróży"*. I rzeczywiście „romans" ten (tę nazwę gatunkową sugeruje sam autor) jest stopem trzech równocześnie prowadzonych wątków: dwóch powieści (historycznej: o słowiańskim państwie Samona z VII w., i historyczno-fantastycznej: o Królestwie Polskim, powstałym w wyniku *wygranej* Polaków w powstaniu listopadowym) — obu zresztą *in statu nascendi* jedynie — oraz opowieści autobiograficznej; wszystko to przy użyciu maszyny do podróży w czasie i mnóstwa postaci dodatkowych.

Cztery z tych postaci — personifikacje pojęć abstrakcyjnych mogą być użyteczne we wstępnej systematyzacji: mowa tam o czterech „metalach": rtęci — powieściopisarstwie fantastycznym, mosiądzu — autobiograficznym, srebrze — historycznym, platynie — metafizycznym.

Można spojrzeć na ewolucję twórczości Parnickiego jako na zmiany w proporcji wspomnianych „metali". Najogólniej biorąc, pierwsze powieści są „srebrne", z niewielką domieszką „rtęci", tj. fantazji historycznej. Należą tu *„Aecjusz ostatni Rzymianin"* (1937), najpopularniejsza chyba powieść pisarza *„Srebrne orły"* (1944-45) i *„Koniec 'Zgody Narodów'"* (1955); w późniejszych fazach udział „rtęci" stale rośnie i to zarówno w formie pośredniej, jako „dotwarzanie" powiązań między postaciami i wypadkami — mniej więcej — rzeczywistymi, jak i bezpośrednio — w 5-ym tomie *„Nowej Baśni"* otwiera się już świat całkowicie zmyślony. Żaden z „metali" nie występuje w czystej postaci (poniektóry zrozpaczony czytelnik gotów tu wykrzyknąć: „a cóż u Parnickiego występuje w czystej, jednoznacznej i wyraźnej postaci?!"). Począwszy np. od *„Słowa i ciała"* (1959) „rtęci" towarzyszy rosnąca przymieszka „platyny" czyli tego, co pisarz nazywa metafizyką. Odkładając na chwilę sprawę zawartości tej metafizyki zanotujmy tu uwagę pisarza (również z *„Muzy"*): *„Metafizyka — nawet choćby i upowieściowiona — nigdy i nigdzie nie jest władna zdobyć się na styl lekki i zwięzły i jasny"* — nie trzeba więc dodawać, że ewolucji materiału towarzyszy ewolucja stylu. Nie przypadkowo; ulubione słowo pisarza „władny" łączy w sobie dwa sensy: — możności i chęci. Styl Parnickiego jest z zamierzenia częścią *mirabilium* i tasiemce zdań przemyślnie złożonych i zmakaronizowanych biorą czynny udział w odtwarzaniu Rzeki. Czytelnicy — czytamy w „Muzie" — *o se rendan o se huyan* (hiszpański!): „niech się poddadzą lub zmykają".

Autobiografia jest ostatnim chronologicznie składnikiem i bezpośrednio występuje dopiero w *„Muzie"* — choć liczne refleksje nad własną twórczością i zapowiedziane w *„Zabij Kleopatrę"* (1968) przekroczenie granicy *„dzielącej świat spoza dzieła przez siebie napisanego od świata w dziele"* można już zaliczyć do składnika „mosiężnego". Pośrednio „mosiądz" Parnickiego był chyba od początku niebłahym czynnikiem, kształtującym jego twórczość. Podkreślił to Czesław Miłosz w swej *The History of Polish Literature,* pisząc o autorze *„Srebrnych orłów"*:

„Nawet jego biografia wydaje się predystynować go do podróży w czasie i przestrzeni. Urodzony w Berlinie [w 1908 r.] jako syn inżyniera, mieszkał w Rosji, uczęszczał do szkoły w Mandżurii, gdzie ogłosił pierwszy swój artykuł w polskim piśmie, studiował potem polonistykę, anglistykę i orientalistykę we Lwowie. [...] Wywieziony w czasie wojny ze Lwowa do Związku Sowieckiego Parnicki po zwoleniu z więzienia w 1941 roku dotarł do Teheranu i Jerozolimy, mieszkał przez pewien czas w Anglii, a następnie w Meksyku. Po kilku dłuższych pobytach w Polsce powrócił tam w końcu na stałe".

Metafizyka człowieka przemierzającego olbrzymie przestrzenie musi być różna od filozofii ludzi osiadłych. Ale podróże i melanż krajów — stale zresztą obecny motyw powieści Parnickiego — nie są jedynym źródłem tego, co można nazwać metafizyką jego dzieła. Przypuszczać można, że „platyna" pojawiłaby się samorodnie, jako produkt uboczny „srebra" — tj. fascynacji historią. Parnicki został pisarzem powieści historycznych z wyboru, dokonanego jeszcze w latach szkolnych; wspomniany u Miłosza artykuł był rozprawą pt. *„Henryk Sienkiewicz a Aleksander Dumas (ojciec)"*, a więc o dwóch klasykach określonego rodzaju powieściowego.

Powieść historyczna tym różni się od powieści *tout court,* że z dwóch klasycznych elementów powieściowych: akcji i wyniku akcji — drugi jest niezmienną stałą, „zadaną" przez historię. Wynik bitwy pod Grunwaldem jest faktem historycznym, toteż powieść, kulminująca tym faktem musi skoncentrować się na samej akcji poprzedzającej. To „skoncentrowanie" może polegać na prostym odtworzeniu, stworzeniu rodzaju żywego obrazu epoki — i tą drogą poszli obaj pisarze, o których w młodości pisał Parnicki — a może też polegać na próbie *wyjaśnienia* tego co zaszło. Tą drogą poszedł Parnicki i natknął się natychmiast na problemy — *sit venia verbo* — metafizyczne.

Wyjaśnić jakiś fakt, to ukazać związki przyczynowe z innymi, poprzedzającymi faktami; w pewnym sensie znaczy to: ukazać jego konieczność. W odniesieniu do historii jednak słowo „fakt" nie ma jasnego sensu — i dlatego historia nie ma dna. Bitwa pod Grunwaldem, nos Kleopatry, uwłaszczenie chłopów w Ga-

licji i wiara manichejczyków w upostaciowane zło — to fakty. Ale fakty te są z jednej strony tworami złożonymi (np. z indywidualnych uczestników bitwy, itp.), z drugiej zaś same stanowią tylko części składowe innych faktów (np. „sytuacji politycznej w 1-ej połowie XV w. we wschodniej Europie"). Fakty historyczne porównać więc można nie tyle do kul bilardowych, co do chmur (na niezbyt pogodnym niebie). Nie mają wyraźnych obrzeży. Historia bardziej przypomina meteorologię, niż mechanikę — choć i to porównanie jest zawodne. Meteorologia odwołuje się w ostatniej instancji do fizyki, historia zaś — do metafizyki. Dzieje się tak zapewne z powodu nadmiernej komplikacji przedmiotu i braku naszej wiedzy, ale faktem jest, że koncepcje historiozoficzne — jak dotąd — są zbiorami religiopodobnych przekonań i niesprawdzalnych uogólnień. A więc metafizyką. Odpowiedzialna historiografia, świadoma nieodpowiedzialności „koncepcji ogólnych" uprawia program minimalny: porusza się w sferze udokumentowanych ustaleń, traktując wyjaśnienia jako konstrukcje pomocnicze. Konstrukcje te zresztą odwołują się też do swego rodzaju „fizyki": motywacji psychologicznych, ekonomicznych, etc., niesprzecznych z całością ludzkiego doświadczenia. Ale nawet tu czyha dowolność. „Sfera ustaleń" jest kratą, pod którą rozwiera się otchłań. Między jednym a drugim faktem zieją przerwy, które przesadzić można jedynie susem domysłu — czyli „dotworzenia". Co więcej — w miarę zwiększania dokładności ustaleń, np. przy rozbiciu faktu „bitwa pod Grunwaldem" na jego komponenty: „uczestników bitwy", mnoży się niezmiernie liczba ciągów przyczynowo-skutkowych, składających się na końcowy wynik. Mam tu na myśli rozumowania typu: bitwa została wygrana, bo jedni zdążyli, inni nie zdążyli, komuś tam koń się poślizgnął, etc. Z uwagi zaś na nieostrość pojęcia „fakt" niesposób często ustalić, które czynniki były decydujące. Wiadomo, że coś zaszło, nie wiadomo dokładnie *dlaczego*. Uogólniając tę „niewiadomość", można dojść do zakwestionowania samej zasady przyczynowości w historii.

Przypomina to nieco sytuację w fizyce. W dobie królowania mechaniki traktowano wszechświat jako zbiorowisko małych kul bilardowych, potrącających się wzajemnie w sposób dający się — potencjalnie — obliczyć i przewidzieć. Laplace oznajmił, że demon, który byłby w stanie ogarnąć położenie i inne parametry cząstek w kosmosie, poznałby zarazem całą jego przyszłość. Ten ultra-deterministyczny pogląd zachwiał się po odkryciu, że np. zachowanie atomu można opisać jedynie statystycznie, bo elektrony przemieszczają się w sposób nieprzewidywalny. Kwestia: determinizm czy indeterminizm jako „zasada świata", nabrała statutu kwestii metafizycznej. Broniąc determinizmu Einstein

oświadczył, iż *wierzy* weń, bo *„Pan Bóg jest wyrafinowany, ale nie złośliwy"*.

Wydaje się, że Pan Bóg jest szczególnie wyrafinowany w zakresie historii. Fizycy mają do dyspozycji przynajmniej część rzeczywistości, układającą się deterministycznie — historycy nawet wśród makro-faktów skazani są na odmierzanie prawdopodobieństwa. Indeterminizm — lub przynajmniej jakaś historyczna „zasada nieoznaczoności" — są więc kuszącą hipotezą. Trzecim wyjściem jest agnostycyzm, czyli rezygnacja z wyjaśnień.

Parnickiego pociąga w historii ta właśnie metafizyka — docieranie do dna. W *„Zabij Kleopatrę"* Kalikrates przemawia do autora:

„... poznajesz bezużyteczność przyglądania się (choćby i z bardzo bliska) przeszłości minionej jako obrazowi, a i więcej: jako przedstawieniu teatralnemu. Tło, stroje, twarze, gesty, nawet słowa — niczego to wszystko nie uczy ciebie. [...] W prawdę przeszłości wnika się poprzez wmyślenie się w motywy, a myślowe też, postępowania; nie zaś patrząc na nią czy nawet w nią wsłuchując się.

Bo też to, na co patrzysz, jest prawdy maską; to co słyszysz, prawdy udawaniem".

I cała twórczość Parnickiego jest ciągiem prób zdarcia maski z historii, będącej najjaskrawszym przykładem *rzeczywistości podejrzanej*. Można się w tej twórczości dopatrzeć faz, odpowiadających wszystkim trzem stanowiskom metafizycznym: determinizmowi, indeterminizmowi i agnostycyzmowi. Doświadczenie zyskane w ten sposób posłużyło do konstrukcji owej dialektyki, o której wspomniałem na wstępie — można ją nazwać „metafizyką II" — a to pociągnęło za sobą rezygnację z prób rozszyfrowania historii wprost. Parnicki machnął ręką na historię „jako taką" i zabrał się do konstruowania własnego świata — *modelu* dziania się, zamiast nieosiągalnego wyjaśnienia pojęciowego. Miarą poszukiwanej prawdy stała się równoważność komplikacji modelu i wyrafinowania historii, nasycenie dzieła taką ilością informacji, która zrównoważyłaby entropię Rzeki.

Nastąpiło to, co nazwać można hermetyzacją dzieła. Czasoprzestrzeń „odtworzona, przetworzona i dotworzona" przez Parnickiego zaczęła zamykać się w sobie, a łańcuchy przyczyn i skutków przestały być euklidesowymi prostymi. Fakty, zjawiska i postacie rozrzucone na obszarze obejmującym w czasie wszystko pomiędzy ca. II w. przed Chr. i współczesnością, a w przestrzeni: Azję, Europę, Bliski Wschód i obie Ameryki zaczęły wiązać się coraz gęstszą siecią meandrujących relacji (pokrewieństw, podobieństw, „wspólnoty interesów", itd.), przy czym zróżnicowanie ich „statutu egzystencjalnego" osiągnęło niebywałe rozmiary.

W późniejszych powieściach Parnickiego rzeczą normalną stało się przemieszanie postaci z różnych epok *(vel:* z różnych powieści), przy czym zgodnie występują obok siebie osoby historyczne, domniemanie historyczne, fikcyjne, abstrakcje, marzenia senne i sam autor. Coś z Wyspiańskiego i coś z Lema. Super-powieść zaczęła też żywić się sama sobą i nowe powieści są kontynuacją, komentarzem i interwencją w powieści wcześniejsze — toteż są prawie niezrozumiałe dla czytelnika „z zewnątrz".

Rozplątanie tej czterowymiarowej sieci w normalnym „czasie czytelniczym" bez komputera wydaje się rzeczą prawie niemożliwą. Programy pomocnicze, ułatwiające lekturę, musiałyby obejmować: 1° — skorowidz wydarzeń, motywów i postaci; ich genealogie i pokrewieństwa wraz ze szczegółowymi odsyłaczami do poszczególnych powieści; 2° — zarys historii powszechnej (autentyczny materiał historyczny u Parnickiego jest też potężny); 3° — klasyfikację i uszeregowanie użytych technik pisarskich: Parnicki posługuje się chętnie palimpsestem nakładających się na siebie dialogów, dialogów „urojonych", zapisów, komentarzy do zapisów, komentarzy do komentarzy, itd.; ta „przeciwhistoria" zapisana jest metodą „przeciwźródeł" historycznych; 4° — filozofię historii autora — oraz historię tej filozofii; skromny zarys tego ostatniego problemu starałem się tu przedstawić.

Opis dzieła Parnickiego według kryterium tematycznego musi też z konieczności posługiwać się ogólnikami. Sam autor ma kłopoty z systematyzacją *mirabilium,* jak świadczy urwanie planowanego cyklu „Światy mieszańców" i niepewna przyszłość cyklu *„Nowa Baśń" (vide* refleksje w *„Muzie").*

W galaktyce tej super-powieści wyróżnić można kilka bądź to konstelacji, bądź to jedynie zgęszczeń „materiału czytelniczego" — takich jak wspomniana wyżej para powieści *„Aecjusz ostatni Rzymianin"* i *„Śmierć Aecjusza".* Podobną parę stanowią *„Koniec 'Zgody Narodów'"* (1955) i *„Koła na piasku"* (1966). Obie powieści dzieją się w II w. przed Chr.; pierwsza z nich, osnuta na dwóch wątkach: zabójstwie posła rzymskiego przez „mieszańca", syna Greka i Żydówki, oraz na spisku zmierzającym do przywrócenia w hellenistycznym królestwie baktryjskim (średni bieg Amu-Darii) hegemonii żywiołu greckiego — reprezentuje „deterministyczną" fazę twórczości. Właściwym przedmiotem historii jest tu jeszcze walka o władzę, a motorem napędowym dziejów — konflikty powstające na stykach politycznych, kulturalnych i psychologicznych. Stąd nazwa zamierzonego cyklu: światy mieszańców. Druga powieść — kontynuacja sprawy zabójstwa posła — reprezentuje fazę „indeterministyczną", a co najmniej agnostyczną: pozornie wyjaśniony już motyw zabójstwa (instynktowna wrogość spadkobiercy zagrożonych przez Rzymian kultur) okazuje się jedynie racjonalizacją niewyjaśnialnych w pełni odruchów woli i rozumu ludzkiego.

Podczas gdy w „deterministycznej" fazie twórczości historia traktowana jest jeszcze jako rodzaj mechaniki, zdolnej — choć nie zawsze „władnej" — do wyjaśnienia gry faktów różnego kalibru, przy czym człowiek odpowiada w niej atomowi, w fazie późniejszej pisarz zstępuje na poziom „sub-atomarny" i zajmuje się konfliktami na stykach wewnątrz osobowości ludzkiej. Demon Laplace'a ustępuje tu miejsca probabilistyce.

Cykl *„Nowej Baśni"* samym tytułem podkreśla wieloznaczność i umowność tego, co skłonni jesteśmy — jak sugeruje pisarz: *za płytko* — brać za pełną rzeczywistość minioną, czyli historię. Części tego cyklu — *„serii światów pewnych"*, jak powiada Parnicki — to jakby na chybił trafił rzucona w czasoprzestrzeń garść momentów, na których pisarz demonstruje co z nich *„mogłoby wyniknąć, musiałoby lub powinno byłoby".* Aktualność zostaje tu zastąpiona potencjalnością, co wyraża się dominacją elementów fantazji: w cz. I — *„Robotnicy wezwani o jedenastej"* (1962) Stanisław Szczepanowski przedstawiony jest jako nieślubny syn Bolesława Śmiałego; część II — *„Czas siania i czas zbierania"* (1963) — rozwija domysł, że Joanna d'Arc nie spłonęła na stosie, lecz została wywieziona (przez kogo?) do Przeciwziemi, tj. Ameryki, „tajnie" znanej już w Europie przed Kolumbem; cz. III — *„Labirynt"* (1964) — docieka związków między losami uczestnika wyprawy Corteza, a Polską Mieszka I; cz. IV — *„Gliniane dzbany"* (1966) — bada możliwość zamiany ról życiowych pomiędzy angielskim poetą Krzysztofem Marlowe, a (fikcyjnym) Polakiem Bonieckim; ubocznym wątkiem jest wysnucie z gąszczu tej powieści genealogii sienkiewiczowskiego Zagłoby, na prawach postaci historycznej; cz. V — *„Wylęgarnie dziwów"* (1968) — jest już czystą fantazją; są to właściwie dwie powieści, z których pierwsza pt. *„Księga nowa o misce soczewicy czyli Baśń nad baśniami"* (czyżby aluzja do poematu Wojciecha Dzieduszyckiego pod takimże tytułem?) stanowi fantastyczny „XVII-wieczny apokryf", opisujący utopijną Polskę XX-wieczną (dodajmy, że jest to istotnie baśń, bez aluzji do współczesności); druga zaś, o skomplikowanym tytule *„Urocza pani z napisu na kapeluszu i na sztandarze"* jest niemniej skomplikowanym dociekaniem, kto właściwie i po co napisał część pierwszą. Cz. VI — *„Palec zagrożenia"* — znana mi jedynie ze słyszenia (wspomina o niej W. Sadkowski w swej książeczce *„Parnicki — Wprowadzenie w twórczość powieściopisarską"*, Warszawa 1970, oraz sam autor w *„Muzie")* ma być rodzajem sądu postaci nad autorem; z uwag Parnickiego w *„Muzie"* wy-

nika, że z wydaniem *„Palca"* były jakieś kłopoty, niemniej *„Muza"* nawiązuje do tej powieści, zwłaszcza w dygresjach autora na temat własnej twórczości.

Podobnym do *„Nowej Baśni"* cyklem jest 3-tomowa *„Twarz księżyca"* (1961-1967) — rodzaj historyczno-mitologicznej sagi rodu, wywodzącego się od chorezmijskiej (kraj nad Morzem Aralskim) księżniczki Mitroanii, której potomkowie „opanowali, mogli opanować lub powinni byliby" kluczowe pozycje w polityce świata później starożytności i wczesnego średniowiecza: ukazane są w II-IV po Chr. (t. I), w V (t. II) — jest to epoka i splot wypadków związanych z Aecjuszem, lecz spoglądamy na nie od strony Bizancjum, oraz w. VIII (t. III) — są to niekończące się obrady zamaskowanych postaci, dyskutujących ewentualność wyjazdu do Przeciwziemi.

Wokół wymienionych powyżej „zgęszczeń tematycznych" krążą komety powieści, trudniej dających się przyporządkować — choć i one łączą się bezpośrednio lub *ex post* z całością superpowieści; są to: klasyczne już *„Srebrne orły"* (1944-45), ukazujące „sprawę polską" w niezwykle rozległej panoramie polityki cesarsko-papiesko-bizantyjskiej, dwie inne „powieści polskie": *„Tylko Beatrycze"* (1962) o w. XIV-ym i *„I u możnych dziwny"* (1965) o w. XVII-ym, oraz *„Słowo i ciało"* (1959); ta — jak głosi podtytuł: *Powieść z lat 201-203* — stanowi początek typowej twórczości „późniejszego Parnickiego": *opowiadanie* ustępuje całkowicie *mówieniu* poprzez postaci. Cała powieść napisana jest w formie korespondencji dwóch osób, przy czym po kilku listach czytelnikowi umiejętnie sugeruje się możliwość, iż całość jest sfingowana, a właściwi adresaci — być może — dawno już nie żyją.

Ostatnie chronologiczne powieści Parnickiego — jeśli jeszcze można je nazywać powieściami (autor proponuje nazwę *romans*, choć i ona nie oddaje istoty tego gatunku) — to owoc wzmożonego zafascynowania fantastyką, a równocześnie doprowadzenie „romantycznej ironii" do ostatecznych granic. „Fikcja fikcji" — czyli pozór samodzielności dzieła, granicy między autorem i powieścią — zostaje zlikwidowana ostatecznie. *„Zabij Kleopatrę"* (1968), *„Inne życie Kleopatry"* (1969) i *„Muza dalekich podróży"* (1970) to szkice powieści fantastyczno-historycznych — niekiedy ledwie wykraczające poza ramy pomysłu — oplecione dyskusją autora i postaci, swobodnie przenikających granice pomiędzy epokami, tematami i powieściami wcześniejszymi. Wszystko tu już dzieje się w „czasoprzestrzeni Parnickiego", czyli nigdzie. Bez znajomości wcześniejszych utworów — i bez sporej erudycji ogólnej — nieostrożny czytelnik legnie, zmiażdżony ciężarem „materiału czytelniczego" nie do ugryzienia. Do tego zwierciadlanego domu można się dostać tylko od środka, tzn. poprzez mniej hermetyczne części dzieła (gdzieś w okolicach *„Słowa i ciała"*).

By dać przykład uprawianej przez Parnickiego *estetyki erudycji* — oferowanej czytelnikowi trudnej przyjemności „ach!": rozpoznania, skojarzenia, złamania szyfru — zatrzymajmy się nad powieścią *„Tylko Beatrycze"*. Sam tytuł jest aluzją do wiersza Lechonia *„Spotkanie"*, zaś następujący fragment tego wiersza jest mottem powieści:

„Nie ma ziemi ni nieba, otchłani ni piekła —
Jest tylko Beatrycze... i jej także nie ma".

Aluzja tytułu jest wielostopniowa: 1° — podkreśla podobieństwo między miłością Dantego do Beatrycze, a miłością bohatera powieści, mnicha Stanisława do Reiczki, córki Przemysława II; 2° — odnosi się do fantastycznego motywu powieści, jakoby *„Boska Komedia" stanowiła* (być może!) poetycką transpozycję autentycznych przekazów (przedkolumbowych) podróżników do Przeciwziemi — w powieści rozważa się projekt wysłania Stanisława na poszukiwanie „góry czyśćcowej" za oceanem; nagrodą miałaby być ręka Reiczki; 3° — powieść misternie podaje w wątpliwość realność całego biegu wydarzeń związanych z Reiczką-Beatrycze (*„... i jej także nie ma"*); 4° — słowa *„nie ma ...nieba, otchłani ni piekła"* są kwintesencją koncepcji teologicznej papieża Jana XXII — ważnej postaci powieści — zakładającej, że losy duszy ludzkiej rozstrzygną się dopiero na Sądzie Ostatecznym, zatem „na razie" zaświatów nie ma. W tym miejscu zapewne należy postawić „itd.", bo aluzja na pewno ma dalsze stopnie: Parnickiego czyta się trochę tak, jak np. *„Jałową ziemię"* T. S. Eliota — bez pewności, że się kiedykolwiek dotrze do dna.

Skoro już jesteśmy przy postaci Stanisława: jego pochodzenie jest nie całkiem pewne, lecz sądząc z *„Zabij Kleopatrę"* i przewlekłych dociekań w samej *„Beatrycze"*, ojcem jego był statatyzowany Chorezmijczyk, daleki krewny Mitroanii z t. I *„Twarzy księżyca"*; tenże Stanisław, z przydomkiem Tarantula, pojawia się w *„Zabij Kleopatrę"*, gdzie grono postaci z t. II *„Twarzy księżyca"* dyskutuje nad losem Dionizji, wywodzącej się ze *„Śmierci Aecjusza"*... tu znów postawmy „itd.", bo streszczanie powieści Parnickiego jest albo niemożliwe, albo nielojalne — wydarte z otaczających je mgieł, aluzji i wielopiętrowych niedomówień poszczególne wątki i pomysły robią nieraz wrażenie dziecinnej zabawy; jest to zresztą niebezpieczeństwo, z którego autor niezawsze wychodzi zwycięsko (np. ta „maszyna do

podróży w czasie" i te „depesze ze statku pod banderą pani Zoe" w *„Muzie"* są nie do przełknięcia! — a listę zażaleń można by przedłużyć). Konstrukcja jednak samej mgły — jeśli wolno się tak wyrazić — jest pierwszorzędna! Jorge Borges (ten od *„Labiryntów")* wespół z naszym Janem Potockim (tym od *„Rękopisu znalezionego w Saragossie")* nie potrafiliby lepiej. Po dwudziestu stronicach Parnickiego czytelnik zaczyna powątpiewać we własne istnienie — i to *jest* niezwykłym przeżyciem!

Cokolwiek by się zarzucało tej przedziwnej kolekcji „materiału czytelniczego": anachronizm, barok, łamigłówka — trudno oprzeć się wrażeniu wielkości. To *mirabilium* zostało zmajstrowane przez duże EM. Parnicki nigdy nie błądzi w wyczarowanej przez siebie mgle — błądzi jedynie pozostawiony o kilka długości w tyle czytelnik, który nie jest w stanie wszystkiego zapamiętać, skojarzyć i powiązać. I tego się od niego oczekuje — *bona fide*. Niech zwątpi w możliwość dotarcia do dna — bo może naprawdę nie ma dna?! Niech zazna smaku nieskończonej wszechkomplikacji — bo może naprawdę wszystko jest nieskończenie skomplikowane?!

Parnicki jest wyrafinowany, ale nie złośliwy: jeśli nikt nie potrafi jego dzieła do końca „zrozumieć", a jedynie mniej lub bardziej n i e rozumieć, to znaczy, że cel założony został osiągnięty — jest ono poprawnym modelem ludzkiego losu.

M. BROŃSKI

Z Laczczyny

„Powiadali" — a było już o tym, nie? — „a powiadali że przywiózł ze sobą żonę, obcą, czarnobrewą, Greczynkę. Bo to miało należeć do tego orientalnego bagażu, bo jakże inaczej miałoby być? Taka spod dalekiego nieba, egzotyczna, zakwefiona, ognista i powłócząca spoza welonów spojrzeniem była pewnie tak nieodzowna jak kobierce wschodnie, jak bogactwa, srebra, wierzchowce, czwórki bałagulskie i smycze chartów. Wieść po prostu sama zaokrąglała w kompozycję tę historię powrotu.

A naprawdę jak to było? To pewnie nadąsana lewantyńska piękność, wywodząca się ze stambulskiego rynsztoka, paplająca rynsztokową francuszczyzną i w chwilach kłótni plująca lewantyńskim przekleństwem. Swoją nudę, chciwość, kaprysy, podejrzliwość i złość skupiająca na głuchawym starcu. Można się domyślić jak w długie jesienne, zimowe wieczory dojadała staremu za wygnanie, zamknięcie, niespełnione marzenia, niewyżytą młodość, jak pod pudrem i szminką pokrywającymi niedomytą twarz więdła szybko i jak w strachu przed nadchodzącą własną starością, przed zmarnowanym i nieuniknionym losem, umiała kąsać na ślepo i boleśnie.

Dodajmy do tego inne, nijakie towarzystwo. Będzie nim nieunikniony półprzyjaciel, półsługa, factotum, towarzysz wierny jak pies, uczepiony zawsze wielkości, cień i zaradny brat łata, zawsze taki jakiś adiutant, rękodajny, głupi, nudny i uczciwy, wierny psią wiernością do ostatka, *alter ego,* ludzki sprzęt przydatny w porę, człowiek-kij na którym wspiera się do ostatka, wyzbyty własnych ambicji i własnych pasji, echo powiedzeń, odbiornik, rezonujące pudło i kozioł ofiarny gniewów i kaprysów „szefa". To on zawsze przeżyje, choć niedługo, swego pana, ażeby przekazać o nim potomnym konterfekt, rozpływające się

w nicość, zacierające się we mgle zapomnienia rysy i linie twarzy. To on nie doje byle jego pan, generał, „wódz" miał co jeszcze do gęby włożyć, to on bierze na siebie odium cudzych pretensji skierowanych do tamtego, to on będzie pamiętać o terminach, tenutach, procentach, to on będzie zacierał ślady grzesznych postępków czy gorszych niż grzechy pomyłek tamtego, a wyolbrzymi, rozdmucha nikłe czy nawet urojone sukcesy, zdobycze i osiągnięcia swego ideału. To on będzie ujadać się z dłużnikami, kupcami, dostawcami siana i owsa, to on po nocy zwlecze się z łóżka do chorego konia, będzie pamiętać o tym żeby rzemienie uprzęży wyłatać, żeby dzwona kół wymoczyć we wodzie, żeby pozbyć się ochwaconej chabety i dopatrzyć złęgu suki.

A kiedy już mowa o suce to stawać będzie mężnie w chwilach kryzysu i kłótni pomiędzy tamtymi dwojgiem. Raczej na siebie ściągnie odium i pretensje tej nieszczęsnej pary, zniesie obrazy i zniewagi ze strony niegodziwców, aby jeszcze chętnie i poddańczo dla udobruchania starego przegrać do niego w „chapankę" grosze ze swej adiutanckiej chudoby.

To dzięki jego zapobiegliwości, chytremu gospodarowaniu pozory będą zachowane do ostatka. Będzie domagał się dla starego respektu, choćby przy tej okazji jego własną cześć sponiewierano. Ale tego nawet nie poczuje, bo to przecież nie ze ścirciałów się wywodzi i byle kto tej godności jego nie naruszy, nie nadweręży.

I córka..."

Nie, nie wychodzi. A pomysł już miałem, a także poszukałem za jakimś materiałem, porobiłem notatki. O tym jak ten niegdysiejszy porucznik Pułku Jazdy Wołyńskiej Karola Różyckiego, tudzież emigrant, a także i autor romantycznych opowieści („Kirdżali", „Ukrainki", i tak dalej), a potem Mahmud Sadyk, wreszcie Sadyk Pasza, twórca Pierwszego Pułku Kozaków Otomańskich (w którego drugiej sotni na liście wolontariuszy figuruje imię Adama Mickiewicza) powróci w 1872 roku do Kijowa, by z imperatorskim przebaczeniem dostać folwarczek Borki w guberii czernichowskiej, by za łaską cesarską zabezpieczyć wychowanie, posag i miejsce frejliny na dworze dla córki z drugiej żony Greczynki, by wreszcie starcem z górą osiemdziesięcioletnim, zgrzybiałym i głuchym odebrać sobie życie w tychże Borkach. Nawet miałem gotowe zakończenie:

„... w gęstniejącym mroku tli się w kącie kłak przybitki i skąpymi kroplami wycieka krew z przestrzelonej starczej skroni kiedy palce zmartwiałe obejmują ostatnim jeszcze kurczem kolbę stygnącego pistoletu".

Nie, nie wyszło. A pomysł już był, materiału się nazbierało,

na zakończenie makabra, już pisało się potoczyście, pewny samograj, no i nie wyszło.

A może zacząć należało w rodzaju tak zwanej „gotyckiej" opowieści, z jej znakomitym elementem nieoczekiwanego. Tym niespodziewanym bywa zawsze obcy, „niepilak", gość nie z naszego środowiska, tajemniczy przybysz, *outsider,* ktoś kogo przyniosło z innego klimatu, pojawiający się wpośród nudy i jednakowości naszego bytowania. Tak jak takim dziwnym przybyszem bywał wędrowny przekupień, Cygan, Słowak, góral, który z niesionej na plecach skrzynki wypakowywał i rozkładał chusty, korale, harmonijki, świecidełka, i kiedy mówił to jakby wobec zbiegłych do siebie dziewcząt, kobiet rozwijał z kłębków nici i kolorowe wstążki, albo jakby pokazywane przez niego święte obrazki i oleodruki nabierały z tym jego w łamanym języku zachwalaniem tym większego lśnienia. A słowa te, obce i nietutejsze, tym bardziej były podobne do paciorków, tombakowych medalików i cynowych kogutków.

Ale ten obcy który miał pojawić się w mym opowiadaniu miał być jeszcze bardziej inny, a i tło miało być odmienne nastrojowo.

„W taką zimę, straszną, mroźną, dującą śniegiem, oblodzającą gałęzie drzew, z jej czarnym niebem nad białą, śmiertelnie, od grudniowej pokrywy ziemią, w taką zimę, urodzone z jej pustki nadeszło niepokojące, przyprawiające o dreszcz zjawisko obcego. Spomiędzy jej kopnych zasp, od horyzontu czerwonego od zachodu kończącego się dnia, kiedy wszystkie szczeliny najbliższego życia pozatykane są jakby watą, tak że każdy głos brzmi osobno, bez perspektywy, jak głuchy, owinięty szmatami dzwonek u sań, albo martwy jak stuk laski ślepca, niespodziewanie zatrzymała się u wrót naszego podwórza czwórka jaką powoził.

Od parujących, zgrzanych boków końskich, od zgrudzonych gruzłów śniegu uformowanych u pęcin końskich, od grzyw i chmyzów i delikatnego, słodkiego dzwonienia sprzączek uprzęży, twardych od lodu postronków i słomy gubiącej się z siedzenia wymoszczonych nią sań i od „Prr...prrrru!" powożącego nią obcego, kiedy omotywał lejce o kół sztachetów, zaleciało oddalą i innością i tajemniczą obcością.

W czwórce dyszlowe różniły się maścią, podręczny był gniady a lejcowy skarogniady, a już orczykowe wporącz zaprzężonej czwórki, to jeden był siwy a drugi srokaty, wszystkie z wielkimi chmyzami na czole, głęboko wpadłymi kośćmi skroniowymi, z ogonami podwiązanymi w węzły i pianą u gryzionych wędzideł. Srokacz miał jedno rybie oko, mówiło się był „zerkaty" i chwytał zębami kiedy było podejść od strony tego ślepego oka. U kopyt dymiły się kupy świeżego końskiego pośladu i konie

niecierpliwie biły nogami kiedy nasz As próbował obwąchać ich pęciny. Zimowy włos koński stroszył się i rozczapierzał tam gdzie leżały obiegowe pasy i napiersniki prostej, z surowej skóry uprzęży, cuchnącej juchtem i smołą i tłuszczem, pociągowe postronki zwisały luźno łukami ku ziemi, lejce z postronków omotane mocno wokół słupa ogrodzenia..."

Tu spauzuję bo trzeba dobrze zastanowić się i namyślić się, kiedy mam opisać uprząż końską. Bo ubrać konia niewłaściwie to przy pięknej głowie końskiej byłoby tak, jakby to powiedzieć, to tak jakby to była śliczna dziewczyna i przybrano ją złośliwie i umyślnie, jakby jakaś zła macocha wystroiła ją na czupiradło i dziwoląga.

Nic sam nie wymyślę bo wychowałem się na Podolu galicyjskim wpośród tamtejszych Rusinów. W tamtych stronach to było jeszcze bardzo prymitywnie. Chłopi chodzili całe boże lato boso, w koszulach wypuszczonych na białe gacie. Było coś bardzo patriarchalnego w tym białym ich prymitywnym stroju. Nosili kapelusze plecione ze słomy. W podolskim słońcu, w lecie, kiedy było bardzo gorąco i upalnie wyglądało to bardzo pierwotnie.

Ale było to dawno i teraz to wydaje się to rodzajem raju, z aniołami w słomianych kapeluszach. Niech to nie wyda się zaraz jak jakaś scena z jasełek czy biblijnego widowiska. To było inaczej i broń Boże, wcale nie rodzajowo. Było daleko.

Ale teraz ma być zima i sanie przysypane wymykającą się z nich słomą i zapach rzemieni, niewyprawionej, surowej skóry i ten proustowski zapach przypomina mi jarmark ułaszkowiecki na Świętego Jura, zapach wapna świeżo wybielonych słupów podcieni „sklepów", warowny obóz wozów, szprych, kół, dyszli, drabin, kramy obwieszone festonami świecideł, kolorowymi frendzlami batów z żółtej skóry i znów niezapomniany zapach juchtu, garbnika, chromu, uprzęży, szlej szytych smołowaną dratwą, pozwory, sznury, postronki, kłaki konopi, srebrne i tęczowe, obręcze i dzwona kół, piramidy paszy, worki z owsem, mąką, góry harbuzów i kopce czereśni. I tłum.

Ale nawróćmy do podolskiej uprzęży. Ktoś tam gdzieś wymyślił że to chomąto miało być tym epokowym wynalazkiem i że to od niego, jako że umożliwić miało pierwszy racjonalny sposób na pociąganie ciężarów, że to niby od niego zaczęła się prawdziwa cywilizacja materialna. Ale przecież z wizerunków na płaskorzeźbach czy z monet rzymskich widać wyraźnie że tamte kwadrygi końskie ciągną nie jarzmem chomąta ale że ciągną piersią, na której leży rodzaj szorów czy szleji. Taką właśnie szleją jest chłopska uprząż podolska. Widać jak nakarcznik jej pionowy zbiega się z poziomym napiersnikiem w rodzaj ucha o które zaczepiony jest pętlą postronek. I żadne tam u nas hołoble, ale para

u dyszla. A hamowanie odbywa się w ten sposób że u końca dyszla zaczepiony pierścień rozdziela parę naszelników obejmujących szyje końskie, albo pasy obiegowe zawieszone na szelkach nośnych, pasy obiegające zad koński. I teraz już możemy puścić się na łeb na szyję z góry, gdy rozbiegane konie zapierają się zadami, ich szyje rozchylone, kiedy błyskają i toczą białkami oczu, kiedy strach, oszołomienie i pijacka radość z niebezpieczeństwa i wariackiej straceńczej jazdy.

Skóry na uprząż wyprawiano, garbowano wedle od wieków przyjętych sposobów, przepisów, tajemnic. Po zeskrobaniu od strony mizdry żył i tłuszczu moczono je w roztworach ałunu, saletry, bejcowano garbnikami, po czym szły na kołowrót, na którym ciężko obracająca się rama wykręcała i rozciągała tęgą skórę wołową, co nadawało jej miękkość i czyniło ją podatną. Od garbarni niosło ciężkim cuchem, tam na deskach rozpięte i rozkrzyżowane skóry schły. Po czym je rozcinano warstwami, krajano, cięto w pasy, rzemienie, troki, przystuły, puśliska, popręgi, baty.

Potem rósł gaj konopiany, dżungla podolska na wysokość podwójnego wzrostu człowieka, odurzająca wonią konopianą, męskich „płoskunów" i żeńskich „głowaczy", aż w żniwo wyrywano je z korzeniami i długo schły w polu, ich długie wiązki ustawione jak w kozły broń. Potem zwożono je nad rozciekłą spokojnymi wodami rzekę i kazano im kisnąć we wodzie przez dni całe, wpośród stojącej wody, przyciśnięte w niej kamieniami i rozchodził się po ich wyciągnięciu jakiś odór, ciężki jak haszysz. A potem schły w słońcu, bieliły się ich paździerze, kiedy na międlicy, z łamanych na niej łodyg oddzielano szorstkie włókna i kiedy wyczesywano je na żelaznym grzebieniu w długie, srebrne, konopiane włosy.

Kopyczynieckie powróźnictwo to na tyłach, zaułkach domów żydowskich długie pasaże, wzdłuż których wyciąga się i skręca sznury, postronki, liny konopne na uprząż. Tutaj pod dachem szopy spiętrzone motki kłaków. Kołowrót powroźniczy to kombinacja koła wprawianego w ruch korbą, przenoszącego swój ruch na kilka w trybach osadzonych haków. Nas tołeczku u koła siedzi mały Żydek, dziecko niedorosłe, o drobnej główce, którą obramiają wymykające się spod jarmułki pejsy. Dziecko cierpliwie i monotonnie obraca korbę warsztatu, mechanicznym ruchem rączki, zapatrzone niewidzącymi, słodkimi oczami w nicość i za sprawą tej powoli obracającej koło rączki, w migotaniu szprych wielkiego koła odbywa się obrzęd uplatania powrozu na uprząż.

Ojciec, wysoki, chudy Żyd jest przepasany workiem, który na brzuchu wypina mu zapas konopianych kłaków. Kroczy tyłem od warsztatu, wychodzonym śladem powroźniczej ścieżki i wyszarpuje z worka kłaki, których wysnuwany początek uwiązany

jest u obracającego się haka. Ręką nieomylnie wyskubuje i popuszcza z dłoni strzępiący się wątek, który w miarę odstępowania rzemieślnika skręca się w długi sznur. Już tuziny tych sznurów leżą wzdłuż całej długości chodnika by zostać z kolei splecionymi w powrozy o jednym, doskonałym, nieomylnym skręcie, ciężkie, solidne, gładkie i tęgie.

Krzywo na zawiasach wiszące drzwi kuźni otwierają się w jej czeluść. Jej zasmolone, zakopcone wnętrze rozświeca żar węgli na palenisku. W powietrzu rozchodzi się narkotyczny swąd spalonego koksu. Monotonnie chodzi dźwignia miechów i z ich świszczącym westchnieniem rozjarza się w półmroku rozpalona, w węglach zanurzona podkowa. Po kątach walają się kawałki żelastwa, obręcze, noże lemieszy, wszędzie żelaziwo powleczone rudą warstwą rdzy albo nowiutkie błękitne sztaby. Kowalskie kleszcze, cęgi, stągiew z wodą. I kowadło na potężnym pniu w pośrodku przestrzeni, która nawet teraz, w przerwie pełnej ciszy zda się drgać od rozjęczanego, metalicznego bicia młotów, jakim kuźnia wita i mówi na odległość.

Obrządek jaki się tu odbywa ma w sobie coś z magii czarów. Niedarmo kowalskim, konowalskim radom i zabiegom, doktorowaniu koniom, kazano rozszerzyć zakres i na ludzkie przypadłości. Tu nie tylko wyrywano zęby ale i odczyniane były tu i uroki. A także, za dawnych czasów kuźnie, jak świątynie pańskie, uważano za miejsce gdzie ścigany mógł znaleźć schron, azyl, w kręgu tym bezpieczny i pewny ocalenia.

Tutaj ocalenie przed nudą znajdzie ścigany nią przechodzień. Nigdy nie zabraknie gapia kiedy na niskim trójnogu koźle stawiają kopyto, któremu strugiem i raszplą przydaje się kształt, przypasowuje rozpaloną podkowę, aż róg skwierczy i swędzi się dymem. A kiedy wreszcie szybko przyklepywane podkowiaki wygładza się równo to pomaga przytrzymać, ściskając nozdrza wierzgającemu i cofającemu się koniowi.

I wozy. Szprychy, obręcze kół, przodki, rozwory, luśnie, wagi, szynkle, sworznie, kłonice, drabiny, półkoszki. A już wielkie, ciężarowe wozy towarowe przystosowane do dalekich, wielomilowych podróży po przestrzeniach Podola, z ich wysokimi plecionymi drabinami, ze specjalnymi pałąkowatymi zamknięciami przodu i tyłu wozu, podróżne, wyrobione z giętego drzewa, opływowe jak łodzie motorowe do pójścia na przestwory „suchego oceanu", z ich latarnią u osi hamulca z tyłu, jak pozycyjna latarnia na rufie galeony.

A ich przeciwnością „linijka". Po prostu deska położona na osiach czterech kół, z której powozi się przysiadłszy ją okrakiem. Konie pomimo niewielkiego ciężaru idą powoli, wyrzucając łbami i oganiając się od much siadających im na szyi i łopatkach. Koła z ich szprychami chropawymi od zaschłych grud błota obracają się powoli.

Kiedy zatrzymać je u skraju lasu chciwie, żarłocznie nurzają pyski w trawie przydrożnej, ich pyski ociekające zieloną śliną. Na porębie leży drzewo, pocięte i porządnie poukładane w sągi, niebo odbija się w spiłowanych tarczach pni, wokół stare już i fioletowe trzaski, wióry i odciosy tego leśnego gospodarowania. Las to las, „nie było nas był las, nie będzie nas — będzie las...".

Jakby tym wyczarowany, daleko na lizjerę wyszedł lis. Bieli się koniuszek jego kity, lis daleki, niezwyczajny, jakiś taki wężowy, lisi, taki jakiego nigdy nie widzieliśmy i nigdy już nie zobaczymy. Musi od niego śmierdzieć lisem, ale to tylko domysł, bo to daleko. Lisi i chytry, pewnie dlatego ma taką szpiczastą mordę, jakby uciekł z ilustracji do bajek La Fontaine'a, jeden, jedyny, ostatni z lisów...

A miałoż być przecież o tym „obcym". Otóż taki „obcy", „przybysz", gość z daleka pojawiał się w mym życiu kilkakrotnie. Przynosił ze sobą jakąś wieść, posłanie, powierzono mu jakieś szczególne zadanie, sekret który miał mi zakomunikować, ale to do mnie nie doszło. Kilka razy natknąłem się na niego samego, innym razem dobijał się po nocy do domu gdzie mieszkałem, jeszcze innym razem dawał znać o swym nadejściu przez kogoś innego. I nie doszło to do mnie. Być może że jakieś zakazy nie pozwalały mu na wypowiedź wprost, być może że hasło czy kod w jakim mi to miał przekazać były zbyt skomplikowane, być może że działo się to w okolicznościach wyjątkowo niesprzyjających porozumieniu, albo w warunkach kiedy groziłoby to całej sprawie niebezpieczeństwem, narażało ją na nieudanie. Nie wykluczam także tej możliwości że to może ja sam nie dopisałem, może byłem zbyt tępy, niedomyślny, bez daru zrozumienia języka jakim do mnie mówił.

. . . . . .

„Owej nocy wiosennej a było to z dnia 26 na 27 kwietnia w roku 1928 — spadł deszcz krwi...".

I tu urywa mi się od samego początku. Bo co? Czyż to i przedtem i potem nie zdarzały się sprawy na kosmiczną skalę, ale były najnaturalniejszymi. Był taki jeden wieczór, po krótkiej burzy. Zdarza się że nijakie, normalne, niskie niebo, zwykłe i po prostu, takie jakie miesiącami rozpinają się nad naszymi głowami, to niebo, dzięki szczególnie sprzyjającym warunkom po burzy przybierze obraz, który mnogością swego wyrazu sprawia że oczu od niego nie można oderwać.

Wieczór ciągnął się długo. Nad nim, pionowo, w górę wznosiły się zamki z chmur, postawione jeden na drugim. Pomiędzy

ich różowymi blankami przedzierało się niebo błękitne i fioletowe, w górę, a nad nim nowe kondygnacje murów, fos, przypór i baszt chmurowych. Pomiędzy zamkami otwierały się dalekie krajobrazy, w głąb i w górę i cieniowały się liliowo. Były wpośród nich drogi wijące się stokami wzgórz, urwiska, skarpy i przepaści. Pomiędzy murami wznoszącymi się na tych stokach wykwitały nowe widoki, dalekie i wysokie zbiorowiska chmur, jak szranki wojsk uszykowanych do szarży. Wymieniały się pomiędzy tymi widokami tęcze, mosty, łuki, fantastyczne akwedukty, gaje, fontanny, szpalery i perspektywy. I nagle wystrzelała ponad nimi w górę masa wieży aż czarnej od cienia, ażeby przez okna jej na przestrzał ukazać niebo tym różowsze i tym błękitniejsze. Pomiędzy tymi krajobrazami wojny i zawieruchy bitewnej jak strzały z armat i moździerzy oblężniczych wymieniały się błyskawice pozostałe po burzy. Te dreszcze błyskawic rozświetlały na mgnienie oka partie murów w cieniu i ukazywały ukryte dotąd dla oczu nowe krajobrazy i widoki.

Daję słowo honoru że wszystko inne, ziemia, pola, lasy, miasta, rzeki, tory kolejowe, ogrody, fabryki, wszystko wydawało się niczym, i znikomym, i niezauważalnym wobec tej olbrzymiej panoramy innego świata. Jakbym przez dziurkę od klucza oglądał jego stworzenie.

. . . . . .

No i cóż? Okazuje się że nie umiem opowiedzieć nawet jednej rzeczy, że nie ma we mnie materiału na Szeherezadę z jej bajkami z tysiąca i jednej nocy.

Zygmunt HAUPT

◆

Jerzy Stempowski
Nydeggasse 17
Berne

11 stycznia 1966.

Szanowny i drogi Panie,

Kiedy nachodzi mnie melancholia lub jakaś nudna choroba, zamykam oczy, wybieram jakiś dobry płaj i idę nim w myśli powolutku, zatrzymując się na zakosach ścieżki, koło drzew i kęp trawy, które mogę sobie przypomnieć. Ostatnio, z okazji zaburzeń nerwowo-mózgowych, przeszedłem tak granią od Delatyna przez Rokietę i Hordje aż do Kosmackiej Łysiny. Zależnie od ilości znaków zachowanych w pamięci podróż taka trwa dłużej lub krócej, czasami do 6 godzin. Kiedy wreszcie otwieram oczy, czuję się znów żwawy, wolny od ciężaru lat i klęsk. Moje ulubione wędrówki wiodą z Burkutu przez Budyjowską i Czywczyn

do Popadi i Albina albo przez Łukawicę i Babę Ludową do Szykmanów. Znam i inne mało dziś używane szlaki: z Odessy do Chadżybejskiego Limanu przez słony step z rdzawymi oparzeliskami obrzeżonymi kryształami soli; ze Żwańca do Chocimia z przeprawą przez Dniestr „z Laczczyny na Tureczczynu", jak mówili przewoźnicy, wreszcie z Baru do opisanej w Beniowskim Ladawy. Ta ostatnia podróż wymaga w istocie dwóch dni, ale znaki przydrożne przerzedziły się z czasem w mojej pamięci i starczy ich zaledwie na dwie godziny. Żadne jednak z tych imaginacyjnych wędrówek nie mają równie wybitnej siły leczniczej jak peregrynacje po Karpatach Wschodnich. Ostatni mój kontakt z nimi datuje z końca października 1939. Wyszedłem z karczmy Kamiela w Bohdan-Łuhy u źródeł Białej Cisy, wspiąłem się na Gutin Tomnatyk, nocowałem w niedźwiedzim barłogu, a potem wzdłuż południowego stoku Czarnohory i Pietrosa zszedłem na połoninę Szazul i lasem na Burkut-Kwasy nad Czarną Cisą. Pamiętam każdy szczegół tej drogi, ale trasa ta nie ma dla mnie leczniczych własności. Szedłem samotnie, głównie nocami przy pełni księżyca, walcząc z początkami zapalenia płuc, na które miałem chorować jeszcze przez trzy miesiące w Akna-Szlatina.

Piszę o tym dlatego, że Pan pewnie zna dobrze te podróże. Kto zresztą miałby je znać, jeżeli nie Pan? Różnica między nami polega być może na tym, że jako malarz o wyobraźni bardziej statycznej wywołuje Pan z pamięci oddzielne obrazy, nie zajmując się układaniem ich w serie ciągłe.

Magię tę znał Petrarka. Wszystkie miejsca pobytu opisał jak gdyby w ćwiczeniach topograficznych. Jego łacińskie listy zawierają dziesiątki takich dokładnych opisów. Petrarka uchodzi za pierwszego alpinistę, bo wszedł na Mont Ventoux — wówczas uchodzący za niedostępny szczyt, jakkolwiek liczy tylko 1900 m — bez żadnej potrzeby, tylko dla rozrywki.

Literatura jest dziś wybitnie omfaloskopiczna, brak jej wizji świata zewnętrznego. Dostojewski, który tyle jeździł koleją, nie wspomina nigdzie, aby widział coś z okna wagonu. Szum drzew pod deszczem słyszał u niego tylko Swidrigajłow, nocą przed samobójstwem. Przez pół wieku Dostojewski był ulubioną lekturą elity europejskiej, i od niego zaczęła się epoka omfaloskopii w literaturze. Zabieram się właśnie do czytania Mémoire sur les perceptions obscures *Maine de Birana, aby zobaczyć, jak wyglądały początki introspekcji, do której gust narodził się w czasach Napoleona.*

W tej perspektywie Pańskie opowiadania są rewelacją. Przynoszą ponowne odkrycie magii Petrarki. Petrarka był bardziej linearny, Pan jest bardziej impresjonistyczny, ale natura obu magii jest pokrewna. Myślałem o Panu w okresie świątecznym i chciałbym, przypominając się Pańskiej łaskawej pamięci, przesłać Panu najserdeczniejsze życzenia, szczerze oddany

Jerzy STEMPOWSKI

Wiersze

Pablo Neruda

Jesteśmy świadkami rosnącego znaczenia ekonomicznego i *powolutku, zatrzymując się na zakosach ścieżki, koło drzew i kęp* mienne, pierwszych dowodów artystycznej dojrzałości. Nie zapominając o kompromisach przy wyborze kandydatów do nagrody Nobla, trzeba zanotować żywotność i doskonałość literatury Ameryki Iberyjskiej, która nie tylko zyskała sobie rozgłos i poczytność w świecie, ale co było trudniejsze nawet, rodzimego czytelnika, hołdującego przedtem wyłącznie zagranicznym nowinkom. Kilka lat temu powieściopisarz z Gwatemali, Miguel Angel Asturias, zdobył najwyższe literackie wyróżnienie dla prozy. Wcześniej, bo w 1945, poetka Gabriela Mistral została pierwszą laureatką nagrody z Ameryki Łacińskiej. Obecnie Pablo Neruda, Chilijczyk jak ona, zdobył ten sam laur swoją poezją.

Urodzony w 1904 jako Ricardo Neftali Reyes od najmłodszych lat pisał wiersze pod pseudonimem, który miał się stać jego jedynym nazwiskiem. Wczesny zbiór erotyków „Dwadzieścia wierszy miłosnych i jedna pieśń rozpaczy" zdobył dlań sławę i niespotykaną poczytność: w sumie książeczka rozeszła się w milionie egzemplarzy. Zarzuciwszy modernizm, którego wpływy towarzyszyły jego debiutowi, Neruda w dalszych publikacjach osiągnął artystyczną dojrzałość i swój własny styl *(El hondero entusiasta; Residencia en la Etierra)*. Na placówce dyplomatycznej w Hiszpanii związał się z poetami hiszpańskimi a kiedy wybuchła wojna domowa stał się poetą politycznym. W 1945 wstąpił do partii komunistycznej. Kiedy jako senator wystąpił przeciwko polityce rządu, musiał uchodzić z Chile. W dalekich podróżach zagranicznych m.in. odwiedził Polskę, Sowiety i Chiny. W 1952 wrócił do kraju i za poparcie udzielone obecnemu prezydentowi został mianowany ambasadorem w Paryżu.

Najgłośniejszym utworem Nerudy jest „Pieśń powszechna", zbiór poematów opiewających piękno, przeszłość i aspiracje kontynentu Ameryki Łacińskiej. On to sprawił, że nazwano autora

„poetą pogwałconej godności ludzkiej". „Pieśń powszechna" została przełożona na język polski w 1954 r. przez I. Gałczyńskiego, J. Iwaszkiewicza, L. Pijanowskiego i J. Strasburgera. (Patrz omówienie w *Kulturze* nr 207/208). Pokazuje ona najdobitniej wzloty i upadki Nerudy, zwolennika poezji zaangażowanej uważającego, że poezja polityczna jest kulminacją poetyckiej sztuki. Bo z potrzasku estetyzmu schronił się w porcie ideologii, która mu daje poczucie bycia cząstką wielkich mas ludzkich walczących o swoje prawa.

Florian ŚMIEJA

Pablo NERUDA

DWADZIEŚCIA WIERSZY MIŁOSNYCH

1

Ciało kobiety, wzgórki jasne, białe uda,
gdy się oddajesz, jesteś do świata podobne.
Moje ciało szorstkiego chłopa ciebie drąży
i z trzewi ziemi na wierzch dziecko wydobywa.

Byłem sam, jak tunel. Lękały się mnie ptaki
i potężnym wyłomem wchodziła we mnie noc.
Ażeby przeżyć z ciebie broń ukułem sobie,
strzałę dla mego łuku, kamień w mojej procy.

Lecz pomsty godzina wybiła: kocham ciebie.
Ciało ze skóry, mchu, twardego mleka.
O kielichy piersi! O zachwycone oczy!
O róże sromu! Miarowy i smutny głosie!

Ciało mojej kobiety w twej zostanę łasce.
Pragnienie moje, łaknienie, niepewna drogo!
Ciemne łożysko, którym wieczne pożądanie
podąża i znużenie i boleść bez kresu.

8

Biała pszczoło, miodem spita, brzęczysz w mojej duszy
i wirujesz w powolnych spiralach dymu.

To ja jestem desperat, słowo bez odgłosu,
ten, co wszystko utracił, i ten, co miał wszystko.

Ostatnia cumo, w tobie trzeszczy lęk mój ostatni.
Na moim ugorze jesteś ostatnią różą.

O milcząca!

Zamknij oczy bez dna. Noc w nich skrzydłami bije.
Obnaż ciało twoje srogiego posągu.

Bezdenne masz oczy, w których noc bije skrzydłami.
Świeże ramiona z kwiatów i różane łono.

Twoje piersi podobne są do białych muszli.
Przyfrunął cienisty motyl usnąć na twym łonie.

O milcząca!

Dokoła samotność, której nie podlegasz.
Pada. Wiatr morski ściga rozproszone mewy.

Po mokrych ulicach biegnie bosa woda.
Tamtego drzewa liście skarżą się, jak chory.

Biała pszczoło, daleka, wciąż brzęczysz w mej duszy.
Z czasem budzisz się smukła i milcząca.

O milcząca!

20

Tej nocy mogę pisać najsmutniejsze wiersze.

Napisać dla przykładu: „Noc jest dziś gwiaździsta
i z zimna w dali gwiazdy błękitne dygocą".

Nocny wiatr w przestworzach wiruje i śpiewa.

Tej nocy mogę pisać najsmutniejsze wiersze.
Kochałem ją a czasem ona mnie kochała.

Nocami, jak dzisiejsza, miałem ją w ramionach.
Tylekroć całowałem pod niebem bezkresnym.

Kochała mnie, niekiedy ja ją też kochałem.
Jakże jej oczu dużych, spokojnych nie kochać.

Tej nocy mogę pisać najsmutniejsze wiersze.
Myśleć, że już jej nie mam. Czuć, że ją straciłem.

Słuchać nocy ogromnej, bez niej ogromniejszej.
Jak rosa na pastwisko, zapada w duszę wiersz.

Cóż, że jej nie umiała zatrzymać ma miłość,
gdy noc cała jest w gwiazdach, a jej przy mnie nie ma.

To jest wszystko. W oddali ktoś śpiewa. W oddali.
Smuci się moje serce, że ją utraciłem.

Jakbym przybliżyć pragnął, oczami jej szukam.
Serce moje jej szuka, a jej nie ma przy mnie.

Te same drzewa bieli znowu ta sama noc.
Ale my, z tamtych czasów, jesteśmy odmienni.

Już jej nie kocham, prawda, lecz jak ją kochałem.
Wiatrom podałem mój głos, aby mnie słyszała.

Do innego należy, jak przed śladem mych ust.
Jej głos, jej ciało jasne. Jej oczy bez kresu.

Już jej nie kocham, prawda, ale może kocham.
Miłość tak krótka jest, a tak długa niepamięć.

Bo nocami, jak dzisiaj, miałem ją w ramionach.
Smuci się moje serce, że ją utraciłem.

Chociaż ostatnia boleść to, którą mi sprawia,
i ostatnie już wiersze, które piszę dla niej.

Pablo NERUDA

(Przełożył z hiszpańskiego F. Śmieja)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 204 - WITOLD GOMBROWICZ

TEATR

TOM V „DZIEŁ ZEBRANYCH"
(IWONA KSIĘŻNICZKA BURGUNDA —
ŚLUB — OPERETKA)

Str. 224 Cena F. 18,50 (dol. 4,00; £ 1.60)

◆

TOM 205 - WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK (I)

1953-1956

TOM VI „DZIEŁ ZEBRANYCH"

Str. 304 Cena F. 25 (dol. 5,00; £ 2.00)

◆

TOM 211 — WITOLD GOMBROWICZ

1957 - 1961

DZIENNIK (II)

(TOM VII „DZIEŁ ZEBRANYCH")

Str. 256. Cena F. 25 (dol. 5,00; £ 2.00)

◆

TOM 213 — WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK (III)

1961 - 1966

(TOM VIII „DZIEŁ ZEBRANYCH")

Str. 224. Cena F. 22 (dol. 4,50; £ 1.75)

Archiwum polityczne

O banałach i "cudach" w polityce

Od czasów upadku pierwszej Rzeczpospolitej byliśmy zawsze pod czyimś wpływem lub zaborem. Klęska powstań nie załamała w nas wiary, że przy sprzyjających okolicznościach — wywalczymy status mocarstwowy, który się nam należy z tytułu historycznego dziedzictwa.

Polacy nie kojarzyli ekonomii z bojowością. Fakt, że Niemcy produkowali w 1939 r. dokładnie 10 razy więcej stali niż Polska — nie zachwiał naszej wiary w niezwyciężoną moc polskiej kawalerii.

Dziś w rozmowach z Polakami z Kraju pada często zdanie: „przed nami nie ma wyjścia". Powiedzonko z epoki Bieruta: „jedna bombka atomowa i wrócimy znów do Lwowa" — wydaje się również odległe i absurdalnie nierealne jak słowa pieśni, którą śpiewałem jako chłopiec: „Obok Orła znak Pogoni...".

Jedną z niewielu zalet historii jest fakt, że nie stoi w miejscu. Zegar dziejowy tyka bez przerwy i dlatego określenie „nie ma przed nami wyjścia" jest przykładem a-historycznego myślenia.

Niedawno jeden z emerytowanych dyplomatów brytyjskich podzielił się ze słuchaczami BBC garścią swoich pekińskich wspomnień. W czasie jakiegoś bankietu — rozmawiając chwilę z chińskim dygnitarzem — cytowany dyplomata zauważył, że i Europa miała kiedyś wielką rewolucję a mianowicie Rewolucję Francuską. Chińczyk uśmiechnął się i odpowiedział: „ach, to było zbyt niedawno by można było w pełni ocenić historyczne znaczenie tej rewolucji".

Ów dyplomata brytyjski dodał, że Chińczycy stale zarzucają Europejczykom, że myślą zawsze i o wszystkim w ramach jednego pokolenia. Chińskie poczucie historyczne jest zupełnie inne niż nasze. Dla nich 200 lat temu — to niemal wczorajszy dzień.

Polacy w jeszcze większym stopniu niż inni Europejczycy — myślą zawsze w ramach jednego pokolenia. Powiedzmy dla przykładu, że testament obozu legionowego dla następnego pokole-

nia stał się nie tylko programem niezastosowalnym — lecz balastem, który utrudniał i utrudnia formowanie nowego współczesnego konceptu politycznego.

Polityka musi być stale przekładana na język współczesności — ponieważ nic nie starzeje się równie szybko jak polityka. Tym polityka różni się zasadniczo od innych dziedzin działalności ludzkiej. O ile nawet arcydzieła literackie jak „Pan Tadeusz" trącą już nie myszką ale myszą o tyle wspaniała IX Symfonia Beethovena ukończona na kilka lat przed ukazaniem się Pana Tadeusza budzi identyczny podziw i zdumienie dziś jak w roku 1823. Jestem zamiłowanym melomanem i doświadczenia w tej dziedzinie streściłbym następująco: arcydzieła muzyczne nie starzeją się bo nie stawiają żadnych pytań a dają odpowiedzi na wiele z nich. Gdy w końcu roboczego dnia zamykam odbiorniki radiowe — w nagłej ciszy zawisa niepokonalny wręcz pesymizm. Wojny, rewolucje, mordy, zatrucie mórz i powietrza i jakieś masochistyczne wyczekiwanie klęski i upadku. Nieuchronny koniec, wydaje się, czeka na nas za następnym zakrętem.

W stolicy północnej Irlandii w Belfaście, gdzie od wielu miesięcy każdego dnia giną ludzie od kul i wybuchów bomb — według oficjalnych danych cyfra samobójstw w roku 1971 spadła o 48 % a cyfra chorób spowodowanych depresją spadła o 50 %. To są zdumiewające liczby. Czy człowiek staje się psychicznie zdrowszym gdy porzuca wszystkie „tranquilizer'y" i pastylki nasenne, naszą chemicznie regulowaną cywilizację i daje upust instynktowi walki i przemocy?

Słucham mojego ulubionego koncertu Mozarta (No 20 in D-Minor K 466). Pianistą jest znakomity Swiatosław Richter, urodzony w Żytomierzu i wykształcony w Moskwie. Towarzyszy mu orkiestra Warszawskiej Filharmonii a całość stereofonicznie wyprodukowała czołowa niemiecka firma „Deutsche Grammophon Gesellschaft". Koncert został napisany niemal... 200 lat temu.

Nie wiem co mną kieruje. Powrót do korzeni naszej kultury — chęć upewnienia się, że mimo wszystko ciągłość nie została przerwana. Myślę, że przede wszystkim szukam harmonii — anty-tezy chaosu. I jeszcze czegoś innego. Na ową płytę złożyły się: Ukraina, Polska i Niemcy. Mozart przekonuje mnie, że więzi kultury europejskiej sięgają znacznie głębiej i powszechniej niż dziś skłonni jesteśmy przypuszczać. Mimo wszystkich granic i „izmów" — wywodzimy się ze wspólnego pnia, który jest ciągle żywy — choć przysypany gruzem dwóch wojen światowych i rewolucji.

Niech mi Czytelnik wybaczy powyższą dygresję, która choć osobista wiąże się tematycznie z niniejszym artykułem.

Polityka, która nie stawia pytań jest złą polityką. Musimy stale wychodzić naprzeciw rozwojowi historycznemu by móc na niego wpływać. Trzeba przewidzieć dziesiątki wariantów — by przewidzieć ów jeden, który się sprawdzi.

Rozważmy wariant następujący. Stany Zjednoczone zaczną politycznie i wojskowo wycofywać się z Europy. Dogmat marksistowski zakładający jedność polityki, ekonomii i ustroju — nie wszędzie obowiązuje. Okazało się, że można być super-mocarstwem ekonomicznym nie mając broni atomowych ani ideologii — a natomiast mając cesarza.

Jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że EWG w okresie 10-ciu czy 20-tu lat — przekształci się w super-mocarstwo ekonomiczne — zachowując różnorodność ustrojów politycznych. W wielkich koncernach przemysłowych — w kierowniczych „boards of directors" — zasiadają panowie o różnych poglądach politycznych i ekonomicznych. Owa walka i ścieranie się różnych poglądów w kierowniczych komitetach wielkich kompleksów przemysłowych — nadaje gospodarce giętkość i zapewnia selektywność. Jeżeli ktoś w Anglii zarabia w przemyśle 15 czy 20 tysięcy funtów rocznie — można przyjąć za pewnik, że ów pan jest nie tylko „rekinem" lecz również człowiekiem wysoce uzdolnionym.

EWG będzie się rozwijała po liniach nowoczesnego kapitalizmu. Polityka polityką, a *business business*'em. W tym systemie jedność polityki i gospodarstwa — tak jak ją rozumieją komuniści — nie jest niezbędnym warunkiem sukcesu ekonomicznego.

Ameryka podchodzi do Europy podobnie jak Watykan. Chodzi zawsze o Rosję a nie o kogo innego. Rosja jest tym supermocarstwem, które stanowi super-zagadnienie. Tak Watykan jak i Waszyngton gotowe są dyskutować z Rosją ponad głowami Europejczyków. To nie jest zarzut, tym mniej oskarżenie. To jest polityka, która może wydawać się antypatyczna — niemniej z punktu widzenia tak Waszyngtonu jak i Watykanu — jest zrozumiała.

Watykan zawarł porozumienie z rosyjską (sowiecką) Cerkwią Prawosławną — dotyczące wymiany studentów teologii. Papież przyjął na audiencji (28. I. br.) czterech dostojników rosyjskiego kościoła prawosławnego.

Według doniesień zamorskich stacji radiowych (m.in. Montreal, 11. II. br.) rokowania pomiędzy Watykanem a rządem PRL toczą się tajnie lecz pomyślnie i przypuszcza się, że w kwietniu lub w maju br. zostanie podpisany odpowiedni układ.

Lecz to są tematy odrębne. Zakładamy, że Ameryka będzie się stawała w coraz większej mierze partnerem handlowym EWG — a równocześnie jej rola jako *leader*'a politycznego będzie topnieć.

Mówi się ciągle o Europejskiej konferencji bezpieczeństwa. Ameryce doktryna Breżniewa nie przeszkadza — lecz dla Europejczyków konferencja bezpieczeństwa, która nie zlikwidowałaby doktryny Breżniewa — byłaby operacją bez sensu i znaczenia. Fakt, że w zgodzie z tą doktryną Rosja może w każdej chwili zmasować olbrzymie armie dosłownie u bram Zachodniej Europy — posiada dla nas podstawowe znaczenie. Sowiety zrezygnują z agresji lecz nie zrezygnują z doktryny Breżniewa. Jeżeli NRD czy Czechosłowacja wezwą na pomoc wojska sowieckie — lub jeżeli na terytoriach państw paktu warszawskiego zostaną zorganizowane z udziałem Sowietów monstre-manewry — kto będzie mógł mówić o agresji?

Amerykanie muszą sobie zdawać sprawę, że w tej kwestii z Sowietami nigdy nie dojdą do porozumienia — choć dla Europejczyków jest to problem kardynalnego znaczenia. Jeżeli dojdzie do zorganizowania owej sławetnej konferencji bezpieczeństwa — Sowiety podpiszą pakty nie-agresji ze wszystkimi łącznie i z każdym z osobna lecz doktryna Breżniewa pozostanie nienaruszona. Sprawa nie może stanowić nawet tematu dyskusji z państwami kapitalistycznymi. Doktryna Breżniewa w zrozumieniu Kremla jest praktycznym instrumentem „proletariackiego internacjonalizmu". Jako dogmat ideologiczny nie może być poddawana w wątpliwość a tym mniej dyskutowana z imperialistami.

W prasie zachodniej wysuwano projekty ukoronowania europejskiej konferencji bezpieczeństwa — powołaniem stałej komisji kontrolnej. Komisja sprawowałaby nadzór i sprawdzała czy wszystkie postanowienia konferencji są ściśle przestrzegane. Wydawałoby się, że kompletne bankructwo wietnamskiej komisji kontrolnej, której członkami byli reprezentanci Kanady, PRL i Indii — powinno położyć kres tego rodzaju pomysłom.

W obrębie najbliższych lat może się stać wszystko — od rewolucji zacząwszy a na trzeciej wojnie skończywszy. Krytycy *Kultury* zarzucają nam często, że zbyt dramatyzujemy sytuację, że „lokalne" wydarzenia uważamy za zapowiedź wielkich przemian, że przewrotu oczekujemy z godziny na godzinę.

W niniejszym artykule wychodzę z całkowicie odmiennych przesłanek. Zakładam, że historia najbliższej dekady potoczy się niezmiernie banalnie. Nie można wyłączyć przewrotu lecz nie można wyłączyć i banału. Dodajmy jeszcze, że nie ma chemicznie czystego banału. Nieraz dramatyczne wydarzenia kończą się banałem a czasem banał przeradza się w dramat.

Zwyczajny rozwój sytuacji wyobrażam sobie w ogólnym zarysie następująco. Ameryka stopniowo coraz więcej skłaniać się będzie do dwustronnych rozmów z super-mocarstwami. Sprawy rozbrojenia, współpraca w dziedzinie kosmicznej, a przede wszystkim problemy azjatyckie — to wszystko toczyć się będzie na linii Waszyngton-Moskwa-Pekin z coraz mniejszym udziałem Europy.

EWG złożone z 10-ciu państw stanie się w sensie przemysłowo-handlowym drugą Japonią. Strategicznie NATO pozostanie w znacznej mierze domeną Stanów Zjednoczonych.

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie Ameryka wycofuje się z Europy — tylko główne ogniska polityki globalnej wycofują się z Europy. Widziane z Waszyngtonu — centrami polityki światowej są: Moskwa, Pekin, Tokio. W porównaniu z tymi kuźniami głównych problemów polityki globalnej — Paryż, Bruksela czy Londyn są prowincjonalnymi miastami.

Amerykanie nie przewidują większych trudności w Europie. Prawdopodobnie odbędzie się konferencja bezpieczeństwa, nastąpi ratyfikacja „Ost-Politik" Brandta, oba państwa niemieckie wejdą do OZN, *status quo* zostanie zatwierdzony i Amerykanie

będą mogli skupić całą uwagę na problemach Azji i „Trzeciego Świata". Poszukiwanie miejsca dla Stanów Zjednoczonych w trójkącie: Moskwa-Pekin-Tokio — jest gigantycznym i rosnącym problemem — tym bardziej, że Tokio staje się coraz trudniejszym partnerem.

Przewidując banalnie zwyczajną ewolucję należy przyjąć, że pozory zostaną zachowane. Prezydent USA pozostanie nadal głową mitycznego *commonwealth* o nazwie Sojuszu Atlantyckiego. Pozostanie „parasol atomowy" a być może nawet symboliczne bazy amerykańskie. Niemniej politycznie Amerykanie wycofają się z Europy.

Jako ciekawostkę, która mogła ujść uwagi ludzi nie słuchających radiostacji zagranicznych warto odnotować, że w pierwszych dniach lutego br. Kanada, Hiszpania i... Izrael — złożyły podanie o przyjęcie do Organizacji Państw Amerykańskich.

Jeżeli chodzi o Kanadę jest to decyzja naturalna choć raczej spóźniona. Hiszpania argumentuje, że cała Ameryka Łacińska z wyjątkiem Brazylii mówi po hiszpańsku i wywodzi się z kultury hiszpańskiej. Najciekawsze argumenty wysunął Izrael. Okazuje się, że Izrael posiada najlepsze na świecie instytuty badawczo-rolnicze i specjaliści izraelscy z tej dziedziny odgrywają w Ameryce Łacińskiej poważną rolę. Poza tym Izrael zainwestował znaczne kapitały w krajach Ameryki Łacińskiej.

Czy to oznacza że Stany Zjednoczone dążą do stworzenia swojej własnej „EWG"?

W Europie nie ma ani zimnej wojny ani koegzystencji. Teoria doktryny Nixona oznacza współżycie. Współżycie to jest przede wszystkim *business* i technologia. Innymi słowy współpraca na tych odcinkach — na których współpraca jest możliwa i obopólnie korzystna.

Pozostałości „zimnej wojny" utrudniają nową politykę prez. Nixona. Prezydent zwiększy znacznie wydatki na zbrojenia — ponieważ zbrojenia stanowią element jego doktryny *balance of power* — lecz równocześnie obetnie dotacje na takie instytucje jak Free Europe — ponieważ to są instytucje, które utrudniają współżycie i współpracę — dla obu stron korzystne.

Likwidacja tych instytucji w Europie będzie odbywała się stopniowo metodą uwiądu — jednym słowem banalnie. Skłonny jestem przypuszczać, że Amerykanie będą obcinali dotacje z roku na rok aż owe pozostałości „zimnej wojny" zemrą na „suchoty" naturalną śmiercią.

Nie można ani Amerykanom się dziwić ani mieć do nich pretensji. Każdy naród ma prawo zmieniać swoją politykę. Celem obecnej polityki amerykańskiej nie jest restauracja reżymu Dubczeka, czy wyzwolenie Polski — lecz bilateralne porozumienia z Sowietami w sprawie ograniczenia zbrojeń, w kwestiach atomowych zainicjowanie współpracy w pewnych projektach kosmicznych itp.

W nawiasach dodam, że choć posiadam poważne zastrzeżenia w stosunku do Free Europe — obiektywnie należy stwierdzić, że

dzień w którym rozgłośnia polska Wolnej Europy zamilknie — będzie czarnym dniem w Polsce. Niemniej jeżeli wypadki potoczą się zwyczajnie i banalnie — los Free Europe jest przesądzony.

W pierwszej dekadzie lutego br. prezydent Nixon wygłosił orędzie dotyczące polityki zagranicznej, a wydany z tej okazji tom obejmujący 226 stron nosi nieco pompatyczny tytuł: „The State of the World Message". Z licznych radiowych analiz tego dokumentu zapamiętałem tekst następujący: przystąpienie Anglii do powiększonej EWG zapowiada nową erę europejską. W tym miejscu przytaczam oryginalny wyjątek z cytowanego dokumentu przekazany przez A. Raphael'a z Waszyngtonu: „... *the end of American tutelage and the end of the era automatic unity*".

W przekładzie oznacza to: „Przystąpienie Anglii do powiększonej EWG zapowiada nową erę europejską oraz koniec amerykańskiej kurateli, koniec automatycznej (samoczynnej) jedności".

Ponieważ wszyscy Polacy — mnie nie wyłączając — uważają się za znawców angielszczyzny — doradzam im by zajrzeli do znakomitego słownika Kazimierza Bulasa i przekonali się, że słowo *tutelage* oznacza w pierwszym znaczeniu kuratelę a dopiero w ostatnim, trzecim z kolei — „stosunek opiekuńczy". Gen. de Gaulle nie był nigdy entuzjastą kurateli amerykańskiej. Uważał, jak znaczna część jego rodaków, że dziejowym przeznaczeniem Francji jest przywodzić Europie. Brytyjscy politycy agitując za przystąpieniem do EWG — wysuwali ustawicznie argument, że Europa potrzebuje przywództwa. Anglicy do niedawna przywodzili jednej czwartej części świata — któż więc może być bardziej powołany do roli przywódczej jeżeli nie oni?

Nie uważam Anglików za przywódców wyznaczonych przez Opatrzność, lecz niewątpliwie Brytyjczycy mają znacznie więcej do zaoferowania Europie niż kontynentalni Europejczycy skłonni są przypuszczać. Posiadają geniusz kompromisu i talent negocjacyjny. Uważają, że nie ma problemu, którego nie można by przedyskutować, przeanalizować i w rezultacie — na podstawie wzajemnych ustępstw — doprowadzić daną kwestię do praktycznego rozwiązania.

Polacy są z natury pryncypialistami i każdy kompromis uważają za zawoalowaną kapitulację.

Anglicy są wynalazcami maksymy *right or wrong — my country*. Żaden Anglik jawnie do tej reguły się nie przyzna — podobnie jak i Polak (nie-endek) do tej dewizy się nie przyzna choć ją wyznaje. Anglicy pokpiwają chętnie ze wszystkiego co typowo angielskie — bo chcą niejako pokryć „kompleks winy", który odczuwają z racji swego poczucia wyższości. Jest Bożą łaską i szczególnym błogosławieństwem urodzić się Anglikiem i żaden rodowity Anglik w to nie wątpi. Fakt, że Brytyjczycy wydają na pomoc dla krajów zapóźnionych w rozwoju czy dotkniętych żywiołowymi klęskami — może więcej niż ich *de facto*

na to stać — wywodzi się również z poczucia, że Anglicy — właśnie dlatego, że są Anglikami — mają niejako moralny obowiązek większy niż inni — pomagać wszystkim *under-dogs*'om. Owe reakcje kompensacyjne, powodowane poczuciem wyższości — różnią totalnie Anglików od Niemców.

Lecz psychoanaliza narodów europejskiech nie jest moim zadaniem w niniejszym artykule. Zakładamy, że koniec kurateli amerykańskiej i koniec automatycznej jedności — oznaczać będzie pozostawienie Europy samej sobie. Będziemy z Ameryką handlowali i ekonomicznie współpracowali w jeszcze większym stopniu niż do tej pory — lecz równocześnie Waszyngton w jeszcze większym stopniu jak do tej pory — polityczne problemy rozwiązywać będzie bilateralnie na drodze dwustronnych negocjacji z Moskwą, z Pekinem i z Tokio. W jeszcze większym stopniu niż do tej pory Amerykanie zaakceptują *status quo* w Europie i siłą rzeczy pozostałości „zimnej wojny" uważać będą za kosztowne i zbędne obciążenie.

Podkreślam jeszcze raz. Nie można dziwić się Amerykanom. Ani europejski „rząd" w Brukseli ani NATO ani Free Europe — nie wynegocjują dla Ameryki układu ograniczającego użycie atomowych broni strategicznych, atomowej de-militaryzacji mórz i oceanów, współpracy kosmicznej itd., itp.

Dodajmy jeszcze, że w opinii super-mocarstw oko cyklonu znajduje się w Azji. Według tej skali oceny — Bangla-Desh, Wietnam czy Laos to są problemy — natomiast niepodległość Polski czy Czechosłowacji to nie są nawet sub-problemy.

Istniejemy tylko dlatego, że mamy miniaturową KGB, która czasem strzela do robotników a bylibyśmy jeszcze bardziej interesujący gdybyśmy mieli nasze własne, polskie „Oddziały Chorych Umysłowo". Komunizm i nasi Sołżenicynowie — to jedyny polski egzotyzm. Mieszkając od dziesiątków lat na Zachodzie myślę z przerażeniem co będzie gdy przestaniemy produkować „Taterników"? Boję się, że gdy odzyskamy wolność — nasze „głębie" i problemy, odarte z komunistycznego egzotyzmu — przetłumaczone na język europejski — przestaną być nawet subproblemami. Nasi Sołżenicynowie czy Pasternakowie korzystają dziś z „taryfy problemowej". W zwyczajnej Polsce, ze zwyczajnym parlamentem i bez UB — tylko prawdziwie europejski towar będzie mógł liczyć na zbyt na Zachodzie a nie egzotyzm.

Komunizm jest jednym z uniwersalnych prądów epoki. Przeżywając go i walcząc z nim Polacy zostali wtłoczeni w globalny problem XX wieku. Lecz czy potrafimy być czymś innym i czymś więcej w skali europejskiej — gdy nie będzie więcej zapotrzebowania na anty-komunistów?

Czy w zwyczajnej normalnej Polsce, która jest naszym celem — autor „Socjologii klęski" — potrafiłby być dzisiejszym Bieńkowskim? Czy w normalnej Polsce potrafilibyśmy produkować filozofów o renomie światowej jak Kołakowski? Lub pisarzy których czołowe dzieła przełożono na dziesiątki języków — jak Miłosza czy Herling-Grudzińskiego?

Pytanie brzmi — czy wolność umielibyśmy przetłumaczyć na europejskość?

Gomułka nazwał mnie „zaprzysiężonym Europejczykiem". W kontekście polskim to jest odpowiednik zarzutu „zachodniości" wysuwany przez KGB pod adresem pisarzy sowieckich. Z Gomułki i KGB nie będzie śladu i popiołu lecz, obawiam się, analogiczne zarzuty będą wysuwane w Europie Wschodniej przez innych.

◆

W chwili gdy dyktuję ten artykuł Anglia przeżywa największy kryzys energetyczny od czasów drugiej wojny światowej. Wielotygodniowy strajk górników spowodował spadek produkcji węgla do zera a w konsekwencji bardzo poważny spadek produkcji energii elektrycznej. Na skutek braku prądu zamknięto setki fabryk i dziesiątki tysięcy robotników straciło pracę. Jestem jednak osobiście przekonany, że obecny ciężki kryzys gospodarczy i ostra konfrontacja kapitału i pracy — to są wszystko „bóle porodowe" nowego modelu gospodarczo-społecznego. Anglia była pierwsza, która wytworzyła model demokracji odpowiadającej rewolucji przemysłowej. Jestem pewien, że Anglia będzie pierwsza w wytworzeniu w ramach demokracji nowego modelu ustrojowo-gospodarczego, który odpowiadałby rewolucji technologicznej.

Zakładając nie-dramatyczny rozwój sytuacji należałoby przypuszczać, że w sferze stosunków ekonomicznych pomiędzy Europą Zachodnią a Wschodnią nastąpi znaczne ożywienie.

EWG złożona z państw wysoko uprzemysłowionych — będzie stanowiła potęgę gospodarczą, której blok wschodni ani nie mógłby ani nie zechce ignorować.

Ekonomiści sowieccy w prywatnych rozmowach z Amerykanami podkreślają, że wymienialność rubla jest tylko sprawą czasu. Nie ulega wątpliwości, że wymienialność rubla niezmiernie ułatwiłaby obroty handlowe pomiędzy blokiem wschodnim a EWG.

Lecz nas interesuje przede wszystkim deseń polityczny. Po wyjściu Europy spod kurateli amerykańskiej na kogo w Zachodniej Europie winna orientować się Polska?

Nie mam na myśli „egzotycznych sojuszów" lecz odpowiedź na pytanie: w czyim interesie na zachodzie Europy leżałaby demokratyzacja Polski, Czechosłowacji i Węgier? Oczywiście w teorii wszystkie państwa EWG są za demokratyzacją Europy Wschodniej. Nam jednak nie chodzi o teorię tylko o wydobycie przesłanek realnych.

Żadne z mocarstw zachodnio-europejskich nie udzieli pomocy przyszłym Dubczekom. Nie oznacza to, że wszystkie państwa EWG są w równej mierze zainteresowane — czy nie zainteresowane — Wschodnią Europą i jej losami.

Anglia przeciwstawiała się zawsze wszelkim próbom zjednoczenia kontynentu. Z tych przyczyn zwalczała zarówno Napoleona

jak i Hitlera. Jakakolwiek hegemonia ustanowiona na całym kontynencie stanowi zagrożenie dla Wielkiej Brytanii.

Angielska maksyma głosi: jeżeli wroga nie możesz pobić — połącz się z nim. Tę maksymę można zastosować w odniesieniu do Zachodniej Europy lecz nie w stosunku do Sowietów.

Choć się o tym ani nie pisze ani nie mówi — jest oczywiste, że Anglia przystąpiła do EWG również i w tym celu by skuteczniej przeciwstawić się próbom Sowietów ustalenia hegemonii nad całym kontynentem europejskim.

Każde z państw EWG ma swoje własne interesy państwowe — różne od interesów innych państw członkowskich. Weźmy dla przykładu Niemcy. *Ostpolitik* — może liczyć na ewentualne zmiany *status quo* na korzyść Niemiec — tylko za cenę popierania hegemonicznej polityki Rosji. Inaczej mówiąc Moskwa mogłaby poczynić Niemcom pewne ustępstwa — tylko wówczas gdyby siedziała mocno w siodle w Europie Wschodniej i była całkowicie pewna stosunku rządu w Bonn do Związku Sowieckiego. *Ostpolitik* może być realizowana tylko za cenę popierania hegemonicznej polityki Sowietów a nie przeciwstawiania się jej.

Anglia domaga się natomiast od państw NATO znacznego powiększenia wydatków zbrojeniowych — ponieważ, wedle brytyjskiej oceny — państwa Paktu Warszawskiego łącznie z Sowietami — zwiększyły znacznie wydatki na zbrojenia.

W znormalizowanej Europie — Anglia w większej mierze niż inne państwa zachodnio-europejskie szukałaby zbliżenia z Polską i Czechosłowacją. Odzyskanie niezależności przez Polskę i Czechosłowację nie stanowi celu polityki brytyjskiej — niemniej każdy krok ku niezależności cytowanych państw byłby życzliwie powitany w Londynie jako wydarzenie zbieżne z interesami brytyjskimi.

W aspekcie geopolitycznym niepodległość Polski i Czechosłowacji posiada dla Waszyngtonu znaczenie marginesowe. Natomiast dla Brytyjczyków wszystko co zagradza Sowietom drogę do hegemonii nad kontynentem posiada podstawowe znaczenie. Z racji geopolitycznych — odzyskanie niepodległości przez Polskę i Czechosłowację wpłynęłoby bardziej bezpośrednio na bezpieczeństwo Wielkiej Brytanii niż wyparcie komunistów z Wietnamu.

Anglicy nie chcą wojny i nie życzą sobie z tej przyczyny „wydarzeń" we Wschodniej Europie, które powodują ruchy sowieckich kolumn pancernych ku Zachodowi. Lecz mając to w pamięci należy stwierdzić, że: 1) z wszystkich państw europejskich Anglia jest najbardziej zdecydowana przeciwstawiać się wszelkim próbom Sowietów ustanowienia hegemonii nad kontynentem i 2) w konsekwencji bardziej niż inne państwa EWG Anglia zainteresowana jest w procesie uniezależniania się państw wschodnio-europejskich.

Czytelnik westchnie i pomyśli: wracamy do koncepcji przedmurza.

Polska już nigdy nie będzie „przedmurzem" w tradycyjnym

sensie tego słowa. W Bloku Wschodnim z Rosją na czele muszą zajść przemiany, które umożliwiłyby Polsce wyciągnięcie korzyści z faktu istnienia pewnej zbieżności interesów polskich i brytyjskich.

Hegemonia sowiecka (czy w zmienionych warunkach rosyjska) nie leży w interesie ani Anglii ani Polski. Nie oznacza to, że wybierać kiedyś będziemy między Rosją a Anglią. Rosja jest za miedzą a Wielka Brytania za morzami. Polityka wschodnia obejmująca nasze stosunki do Rosjan, Ukraińców, Białorusinów i Litwinów — stanowić musi pierwszy, zasadniczy punkt każdego polskiego programu politycznego. To jednak nie oznacza by Polska miała na wieki zrezygnować z programu politycznego w stosunku do Zachodu.

Gdy odzyskamy większą swobodę manewru wówczas pojawi się potrzeba i możliwość sformułowania naszej polityki zachodniej. W takiej sytuacji — nasze oczy winniśmy zwrócić tym razem nie ku Francji lecz ku Anglii.

Polakom trudno jest wyzbyć się tradycyjnej mentalności „przedmurza". Jesteśmy raz ostatnim szańcem Zachodu — drugim razem ostatnim szańcem Wschodu. Nie można rozgrywać historii narodowej na scenie obrotowej.

Mentalność „przedmurza" powinniśmy zastąpić ideą pomostu. Jako pośrednik pomiędzy Wschodem i Zachodem — Polska mogłaby się stać jednym z kluczowych państw kontynentu europejskiego. To jest rola niezmiernie trudna ponieważ wyłącza pryncypializm i filozofię „wszystko albo nic", „czarne lub białe", „Zachód albo Wschód" itd.

Musielibyśmy wychować pokolenie inteligentów, którzy w konsekwencji znajomości kultur i języków — czuliby się u siebie w domu zarówno w Leningradzie jak i w Londynie, zarówno w Kijowie jak i w Birmingham. Mimo wszystkich środków masowego przekazu, mimo rozwoju komunikacji — istnieje przepaść nietyle nieporozumienia ile niezrozumienia Wschodu przez Zachód i odwrotnie.

W nocy z dnia 18 na 19 lutego w siedzibie premiera brytyjskiego toczyły się zasadnicze rozmowy pomiędzy rządem a przywódcami związku górników. Anglia była pogrążona w ciemnościach. Rząd brytyjski — wedle oceny *The Guardian* poniósł z rąk górników największą klęskę znaną w historii rozwoju przemysłowego w ostatnim ćwierćwieczu.

Siedząc przy świeczce przyklejonej do radiodbiornika (na baterie) dumałem co o tym wszystkim myślą wykształceni marksiści w ambasadzie sowieckiej, również pogrążonej w ciemnościach.

Dla marksisty wschodniego obrządku musiało to być zaiste zjawisko zupełnie niezrozumiałe. Górnicy — jak się wyraził jeden z brytyjskich polityków trzymali rząd i całą Anglię jako zakładników. A jednak górnicy nie wysunęli ani jednego postulatu politycznego. Postąpili tak jakby marksizm i marksistowska analiza rozwoju społeczno-gospodarczego do tej pory nie zostały wynalezione.

Dla Anglików — by użyć znanej frazy Churchilla — Rosja jest zagadką owiniętą w tajemnicę. Wydaje mi się, że dla Rosjan Anglia również musi być bardzo często zagadką owiniętą w tajemnicę.

Gdyby istniała wolna prasa w Polsce — moglibyśmy ułatwić Rosjanom rozszyfrowanie zagadkowych reakcji Zachodu ponieważ nie ulega wątpliwości, że lepiej wyczuwamy Zachód niż nasi słowiańscy pobratymcy znad Wołgi i Newy.

Lecz to tylko drobna ilustracja tezy o konieczności przekształcenia „przedmurza" w pomost. Powyższej problematyce poświęciłem szereg artykułów w ubiegłych latach i nie ma potrzeby do tych spraw wracać.

Wyszliśmy z przesłanki, że państwa EWG będą przede wszystkim dbały o swoje własne interesy państwowe i w rezultacie ich stosunek do państw Europy Wschodniej nie będzie jednolity. Amerykanie mogą zwinąć rozgłośnie Wolnej Europy — lecz BBC będzie kontynuować swoje wschodnio-europejskie programy. Jestem również pewien, że z chwilą gdy Anglia stanie się pełnoprawnym członkiem EWG — jej zainteresowania Wschodnią Europą znacznie wzrosną.

Niemcy będą prowadziły swoją *Ostpolitik*, Francja starać się będzie o zwiększenie swych wpływów w Moskwie a w razie wzrostu potęgi i znaczenia Niemiec nie zawaha się ożywić stosunków francusko-brytyjskich. Wielka Brytania w tym klubie kontynentalnych państw będzie nieco osamotniona. „Mała entente" złożona z Polski, Czechosłowacji i Węgier — bardzo by się przydała Anglii w jej nowej roli kontynentalno-europejskiej. Nie mam na myśli formalnych sojuszów czy gwarancji. Myślę o szerokich umowach handlowych, o inwestycjach kapitału brytyjskiego, myślę o współpracy w dziedzinach technologicznych i o żywej wymianie kulturalnej.

Gruszki na wierzbie?

Posłuchajcie opowieści, którą pragnę zamknąć ten artykuł — trzeba bowiem powiedzieć także coś o „cudach".

Prezydent Nixon jest weteranem zimnej wojny. Jako kontrkandydat prezydenta Kennedy'ego — wygłosił więcej anty-chińskich przemówień niż wszyscy wrogowie czerwonych Chin razem wzięci.

W dniu 21 lutego b. roku, prez. Nixon na bankiecie w Pekinie wygłosił mowę w której nie tylko zacytował w całości poemat Mao Tse-tunga — lecz również logicznie i przekonywująco starał się udowodnić, że nie ma powodu by Ameryka i Chiny były wrogami.

Czy Nixon się zmienił? Nie sądzę. Prezydent Nixon odzwierciedla politykę amerykańską która uległa zmianie.

Nic stałego na tym świecie mawiał p. Zagłoba. Można jednak zadać pytanie dlaczego polityka amerykańska uległa zmianie?

Gdyby Amerykanie odnieśli w Indochinach pełne zwycięstwo

— tak w sensie militarnym jak i politycznym — nie byłoby wizyty prezydenta Nixona w Pekinie. Mówiąc inaczej — sukces stosunkowo niewielkiej lecz zdeterminowanej armii północnego Wietnamu — doprowadził do rewizji polityki amerykańskiej w odniesieniu do całego Pacyfiku.

Morał: Azja nie ma monopolu na „cuda" w polityce. Podobne „cuda" działy się i dziać się będą również w Europie.

Należy dodać jeszcze jedno wyjaśnienie. Celem militarnych operacji amerykańskich w Indochinach nie było zapewnienie rozkwitu demokracji w Wietnamie. Celem było powstrzymywanie Chin. Podróż prez. Nixona do Pekinu służyła temu samemu celowi. Jeżeli na skutek nawiązanych kontaktów z Pekinem Amerykanie przekonają się, że Chiny nie zmierzają do podboju krajów azjatyckich — kampania w Wietnamie stanie się zbędna.

Chin nie można powstrzymać ani w Wietnamie ani na Korei powstrzymać je można tylko drogą negocjacji w Pekinie. Wprowadzenie w czyn tej prostej prawdy stanowi dużą zasługę prezydenta Nixona. Chodzi bowiem o elementarną kolejność rzeczy. Najpierw trzeba negocjować w Pekinie a dopiero gdy wszelkie negocjacje zawiodą chwytać za oręż. Wbrew zdrowemu rozsądkowi przez ubiegłe dwadzieścia lat Amerykanie stosowali całkowicie odwrotną metodę. Dopiero niepowodzenie w kampanii w Wietnamie spowodowało rewizję dotychczasowej polityki Waszyngtonu.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

Czerwone, białe i żółte...

Motto: „Jestem tylko samotnym mnichem przemierzającym świat pod dziurawym parasolem". (Mao w rozmowie z E. Snow, XII 1970).

Zakąski
Skrzydełka rekina,
Młode pędy bambusa,
Rosół na białku z jajek,
Krewetki „Bouquet", smażone i duszone,
Grzybki i jarzyny w musztardowym sosie,
Kurczę duszone, orzech kokosowy,
Puding migdałowy,
Ciasta, owoce,
Wódka Mao Tai, wino.

Tak, w nieudolnym tłumaczeniu (nie pomogła nawet żona) wyglądało menu powitalnego bankietu, jakim premier Czou En-lai podejmował prezydenta Nixona w Pekinie. Na szczęście było tylko 700 gości, więc p. Nixon musiał wypić jedynie 70 toastów. Trzymał się dziarsko, ostrożnie i z wdziękiem dziewicy maczając wargi w wódce Mao Tai, co to „po wypiciu pięciu kieliszków nie przejdziesz góry". Próbował nawet jeść pałeczkami, w czym grzeczny jak zwykle p. Czou ofiarnie pomagał, niepomny niebezpieczeństwa jakie mu groziło, gdyby poszczególne „grzybki w musztardzie" nie mówiąc już o „skrzydełku rekina" wyleciały z pałeczek prezydenta. Wszyscy bardzo chwalili, nic w tym nowego, kuchnię chińską i według poufnych informacji, z najlepiej poinformowanych źródeł, pędy bambusa i duszone kurczę nadzwyczajnie strawili.

Ale tylko w Pekinie. W Moskwie bowiem ów bankiet i wszystkie następne, wywołały skutki raczej wprost przeciwne. Do powstania tej nowej formy zdalnie sterowanej czkawki przyczynił się głównie deser, to znaczy ogłoszony w Szanghaju komunikat o wizycie prezydenta USA w Chinach ludowych. Nie tylko zresztą to, co w tym komunikacie było, ale także i to czego w nim zabrakło. Komunikat, jak państwo zapewne wiedzą z kurierka, niewiele konkretnych nowości światu ogłasza. Zawiera dwa monologi, o tym co jedna strona myśli o drugiej stronie, a co od dawna było już wiadome. W części wspólnej zawarte są natomiast szalenie niejasne sformułowania co do umiłowania pokoju, braku jakichkolwiek wrogich zamiarów, no i jasne oraz twarde porozumienie co do przeszkodzenia jakiejkolwiek innej sile w ustanowieniu dominacji w Azji. Tak zredagowany komunikat był wystarczająco niepokojący dla Kremla, bo niby jaka inna jeszcze siła mogłaby próbować narzucić jakąkolwiek dominację Azji? Izrael??? A gdy jeszcze na dodatek Nixon — najpierw w Pekinie, a potem w domu — poważnie zakomunikował, że jego „skrzydełka z rekina" i „grzybki w musztardzie" zmienią oblicze świata, w Moskwie zapanowała cisza. Co on takiego mógł mieć na myśli? Jakie oblicze, jakiego świata? O co tu naprawdę chodzi?

Ich dwóch a ona sama

Rosja nie ma złudzeń co do tego, że prezydent USA pojechał do przewodniczącego Mao aby rzeczywiście zmienić oblicze świata. Wątpliwości dotyczą jednak sposobów tej zmiany. Nikt w Moskwie nie wątpi, że Nixon nie poleciał do Pekinu tylko na bankiety, spacery po chińskim murze i zakup piżamy. Kreml jest przekonany, że do komunikatu z Szanghaju dołączone są tajne klauzule. Kreml z własnego doświadczenia wie, że nie ma poważnych traktatów bez tajnych załączników.

Rapallo w 1922 roku było niewinnym dokumentem niosącym Europie ewangelię i pokój, Rosji sowieckiej — międzynarodowe

uznanie, a weimarskim Niemcom — niepodległość. W istocie Rapallo otworzyło przed niemiecką Reichwehrą ukraińskie poligony, leningradzkie fabryki chemiczne i rosyjskie lotniska. Ten niewinny traktat doprowadził logicznie do innego dokumentu, jakim był pakt Ribentropp-Mołotow. Tu też chodziło o przyjaźń między Hitlerem a Stalinem, tak ważną dla pokoju Europy. W istocie dwa tajne załączniki załatwiły na długie lata problem Polski, tego — jak to z wdziękiem określił Mołotow — „Bękarta wersalskiego", oraz państw bałtyckich, Besarabii, Bukowiny, Rusi podkarpackiej i tak dalej. Pomińmy dzieje najnowsze, różne rysowania palcem po mapie w Jałcie, Poczdamie. Tych kilka doświadczeń wystarczy przecież aby zrozumieć Kreml. Dla Rosji było jasne, iż jej dwaj najpotężniejsi konkurenci spotkali się przede wszystkim po to, aby tego trzeciego osłabić. USA — rozumują nie bez racji w Moskwie — wzmacniają międzynarodową pozycję Chin jako konkurenta słabszego w trókącie gigantów, bo to oznacza zmianę układu sił na świecie na korzyść Waszyngtonu. Że nader niebezpieczne dla Rosji decyzje zostały w Pekinie podjęte, to dla Rosji nie ulega kwestii. Najlepszy dowód, że są tajne. A dlaczego są tajne? Ano właśnie dlatego, że są takie niebezpieczne.

Tej logiki nie można brać Rosjanom za złe. Rosjanie dostali już przecież nieraz okropnie w skórę przez brak wyobraźni i brak szacunku dla faktów. Do dziś przestrzega się w Moskwie przed powtórzeniem błędu Stalina, co to nie wierzył szpiegom w 1941 roku. Ale po co sięgać tak daleko. W sprawie Chin i to w niedalekiej przeszłości (nie sięgając nawet do katastrofalnych błędów z okresu wojny rewolucyjnej i wielkiego marszu) ZSSR kilka razy fatalnie się zagapił. Breżniew nie zorientował się kiedy Mao triumfalnie przepłynął „żabką" Jang Tse-kiang i dał z wody sygnał „rewolucji kulturalnej". Breżniew także w porę nie zrozumiał wizyty ping-pongistów, a przede wszystkim artykułu Snow'a z kwietnia 1971 roku.

Edgar Snow, niedawno zmarły dziennikarz amerykański, był jedynym właściwie białym przyjacielem Mao i jedynym dziennikarzem, z którym Mao prowadził naprawdę szczere rozmowy, nie przeznaczone w zasadzie do gazetowego wykorzystania. Tak było też z ich ostatnim spotkaniem, w grudniu 1970. Kiedy zaś w Pekinie wylądowali ping-pongiści amerykańscy Snow wysłał do Czou taką depeszę: „Jeżeli dobrze rozumuję *(It is my understanding)* mogę już ogłosić, nie cytując dosłownie, sprawozdanie z mojej rozmowy z Mao z grudnia 1970". W 24 godziny później nadeszła odpowiedź w stylu Czou: *Your understanding correct.* (Rozumuje Pan prawidłowo). Po czym ukazała się światowa bomba o tym, że Mao gotów jest przyjąć Nixona w Pekinie, bo „tylko z nim można załatwić poważne sprawy". Reszta jest już znana. Także i to, że najbardziej zaskoczeni byli Rosjanie. Zrozumiałe więc, że nie chcą być więcej zaskakiwani.

Rosjanie dysponują jednak bardzo ograniczonym aparatem dla analizy cudzej dyplomacji i stosują tu właściwie tylko jeden

sposób rozumowania. Jest to brutalne podejście geo-polityczne, to znaczy metoda tłumaczenia wszystkiego stosunkiem sił na świecie. Sprowadza się ta metoda do słynnego pytania Stalina pod adresem Watykanu: „A ile papież ma dywizji?".

Spisek nie podlega więc dla Moskwy kwestii. Dlatego w istnej powodzi materiałów antychińskich w prasie sowieckiej ani jeden artykuł nie komentował poważnie wizyty Nixona w Pekinie. Z braku bowiem otwartej możliwości udowodnienia antysowieckiego spisku chińsko-amerykańskiego, prasa moskiewska musiała ograniczyć się do cytowania prasy zachodniej, że „byłoby naiwnością sądzić, że wszystkie elementy komunikatu z Szanghaju są już opublikowane".

Na zachodzie bez zmian

Nauka nie poszła w las. Zaskakiwany w przeszłości, tym razem Kreml zadziałał i to ostro, sprytnie, a czas wykaże, czy skutecznie.

Zajmijmy się najpierw Europą Zachodnią, bo to najłatwiejsze. Rekordowy skrót udał się p. André Fontaine w *Le Monde.* P. Fontaine, to prawdziwy kombajn, dla którego nie ma tematu trudnego: przypomniał los krajów, które nazywa *les oubliés de la detente* czyli „zapomnianych przez odprężenie" lub mniej dowcipnie „ofiar odprężenia". Rzeczywiście dla odprężenia potrafimy wszystko zapomnieć i gdyby nie głosy najtwardszych kontestatorów, o czym trafnie pisała w poprzednim numerze Kamila Chylińska, o tych „ofiarach odprężenia" nikt by już w ogóle nie wspominał. Apel 150 osobistości przeciw inkwizycji w Czechosłowacji został wydrukowany w „Mondzie" jako płatne ogłoszenie, przy czym sygnatariusze wyrażają wdzięczność redakcji za zastosowanie niższej taryfy. Zachód bowiem szykuje się do paneuropejskiej konferencji, która służy wyłącznie za znakomity pretekst do oficjalnej amnezji i biernej hipokryzji. Nikt zresztą nie wie o czym na tej konferencji ma być mowa, na razie nie można było porozumieć się nawet co do podstawowych pojęć. Na przykład w sprawie *bon-ton.* Dżentelmeni, którzy nie znieśliby najlżejszej nawet skazy na *savoir-vivre* zachodnim wytrzymują bez wstydu i bez reakcji zupełnie nieprawdopodobny proceder jaki ZSSR zaaplikował p. Brosio, czekającemu od pół roku w charakterze delegata 14 krajów Zachodniej Europy na zaproszenie Moskwy.

Tak więc „Na zachodzie bez zmian", nikt nie woła, jedźmy dalej.

Kuszenie Hirohito

Przechodząc do spraw poważnych trzeba przede wszystkim wspomnieć o — nareszcie — zwycięskiej dla ZSSR „wojnie sześ-

ciodniowej". Niestety, nie na Bliskim Wschodzie, a w Azji, ale nie szkodzi. Powstało nowe państwo, Bengla Desh. Umocniło to bojowy sojusz hindusko-sowiecki i pozwoliło Moskwie na wylansowanie wielkiego sloganu, w stylu żywcem z Mao: „Moskwie można ufać, z USA można wygrać i nie trzeba się bać Chin, bo to papierowy tygrys". Rozwalenie Pakistanu Rosji nie może zaszkodzić, zawszeć to sojusznik Chin i USA, a tak będą bazy i przyjaciele w dobrym punkcie. Zwycięstwo to wyzwoliło również malowniczy spektakl w ONZ, gdzie okazało się, że właściwie jedynym sensem wkroczenia Mao do Nowego Jorku była chęć dokuczania Rosji. Takie sformułowania jak „ręce zbroczone krwią niewinnych Pakistańczyków", lub też „odrażające praktyki autokratycznego militaryzmu" fruwały sobie po Nowym Jorku budząc zachwyt *silent majority*. Chińczycy nawet zapytali na jakiej zasadzie zabiera głos i podnosi rękę delegat Ukrainy czy Białorusi, Amerykanie nieśmiało zaproponowali udział Kalifornii i Ohio, ale nic nie potrafiło zatrzymać zwycięskiego marszu Sikhów do Dakki. Rosyjskie mocarstwo nie powtórzyło bowiem błędu izraelskich „zachwatczyków" z roku 1956 i 1967 i doszło, nie przerywając debaty, gdzie trzeba, bez obawy o ultimatum ONZ.

Wielka operacja okrążania Chin odbywała się jednocześnie na innych terenach. Przewodniczący Podgorny odwiedził Hanoi, gdzie niedwuznacznie dał do zrozumienia, że Rosja bardzo podejrzanie patrzy na konszachty Nixona z Mao, że Chiny sprzedają Wietnam za Taiwan, wzmacniając tę argumentację wysokimi dostawami broni i żywności z ZSSR.

Najbardziej jednak spektakularnym zagraniem była podróż Gromyki do Japonii. Czekano tam na niego od 4 lat, ale zawsze jakieś niecierpiące zwłoki sprawy powodowały odroczenie wizyty. Aż nagle z początkiem 1972 roku Gromyko przypomniał sobie, że już dwóch ministrów spraw zagranicznych Japonii przebywało w ZSSR i że wypada się odwzajemnić. Gromyko zobaczył cesarza, nieco zwiedzał, choć w trudnych warunkach, bo policja wykryła spisek przeciw gościowi. Mimo tego, przed odlotem, z kół zbliżonych do Gromyki dano do zrozumienia, że nic nie stoi na przeszkodzie prawdziwej miłości i że nawet sprawa Kuryłów, może być przedmiotem dyskusji. Kuryły to taka sowiecka Okinawa i cały prestiż dyplomacji japońskiej jest zaangażowany w uzyskaniu zwrotu choćby niektórych zwyczajnie zrabowanych wysp. Wszystko wtedy stało się jasne. W chwili gdy Nixon lądował w Pekinie, w Tokio otwierała się sesja mieszanej komisji japońsko-sowieckiej na temat... nie, nie wysp Kurylskich, a Syberii. Rosja namawia Japonię do zainwestowania tam, w tiumeńskie pola naftowe drobiazgu — miliarda dolarów na 6 %. Chodzi i o wydobycie, ale i o rurociąg z Irkucka do Nachodki, znowu drobiazg — 7.000 km, w zamian za jeszcze drobiazg, 30 milionów ton ropy rocznie. Projekt jest dla Japończyków handlowo interesujący, zwłaszcza po ubiegłorocznym zredukowaniu przez Nixona możliwości na rynku amerykańskim. Ponieważ w grę wchodzi duży interes, przyszłość stosunków z ZSSR, to znaczy Kuryłów, a także zwiększenie niezależności od rynku amerykańskiego, więc kuszenie Hirohity, ma pewne szanse mimo sporych wątpliwości politycznych. Rurociąg szedłby bowiem wzdłuż granicy chińskiej, niewątpliwie usprawniłby zaopatrzenie dalekowschodnich garnizonów ZSSR, więc „Krzyczcie Chiny...", trzeba się zastanowić.

Hurysy rewolucji

Bardzo zabawnie przebiega operacja czerwonych przeciwko żółto-białym na Bliskim Wschodzie. Elastycznie, miękko, niedogmatycznie. Najłatwiej było w Egipcie. Co prawda cały korpus oficerski już nienawidzi sowieckich „doradców", co było nieuniknione dla każdego kto zna delikatność ich uczuć i takt w postępowaniu z tubylcami, ale nie zmniejsza to skuteczności kontroli ZSSR nad wydarzeniami i szalenie zmniejsza groźbę chińsko-amerykańskiego spisku na tym terenie.

ZSSR poszedł dalej. Po raz pierwszy sprzedał broń Libanowi (Izrael liczy tam teraz na części do broni pancernej zdobytej w 1967 roku). Wysłał do Iraku i do Syrii Mazurowa i Greczkę. Podpisali co trzeba na temat wieczystej przyjaźni, a Mazurow na dodatek, jako członek Biura Politycznego, podpisał porozumienie międzypartyjne z rządzącym w Syrii ugrupowaniem Baass. Jest to odłam tej samej partii, którą Moskwa w ub. roku ostro — i słusznie — napiętnowała za wymordowanie komunistów. Kreml zapomniał nawet, że coś tam było nie tak jak trzeba w Sudanie. Mianowano nawet ambasadora ZSSR w Chartumie, chociaż tenże odmówił wysłania swojego ambasadora do Moskwy, a gen. Nimeiri, który prawie własnoręcznie wywieszał komunistów sudańskich, powiedział, że stosunki z ZSSR są nader napięte. Chyba się myli, na co mamy dowód wywodzący się wprost z teorii marksistowskiej. P. Bilak, znany teoretyk i szef grupy kolaborantów w Pradze, słynny autor tezy o „zaproszeniu" wojsk sowieckich w 1968 roku, wygłosił tajny raport na plenum KC w Pradze, w którym napiętnował za odchylenia od linii wszystkie partie z wyjątkiem sowieckiej, mongolskiej i własnej, znormalizowanej. Otóż p. Bilak, który otwiera parasol w Pradze, kiedy w Moskwie pada deszcz, ostro skrytykował sekciarskich komunistów sudańskich, którzy niewłaściwie odczytali Marksa, Lenina i Bilaka i którym zachciało się władzy nie w porę. Niestety skrytykowani nie mogą się ustosunkować, albowiem zostali przed rokiem powieszeni.

Niedaleko Sudanu rozkwita Libia. Tam rządzi tylko pułkownik, nazwiskiem Kadafi, ale jaki pułkownik! To prawdziwy sokół i jastrząb Islamu. O Rosji mówi zawsze z odrazą, a słowo komunizm, jak przystało na wiernego syna proroka, wymawia spluwając trzy razy do tyłu. Ale ZSSR nie zwraca uwagi na tanie sentymenty i zaprosił libijskiego wicepremiera do Moskwy.

Znaleziono szybko punkty styczne, poza oczywiście stosunkiem do alkoholu, i w efekcie p. Breżniew w asyscie Podgornego i Kosygina przyjął zaproszenie p. Kadafi. Rosja zaś miała otrzymać koncesje naftowe na terenie Libii, gdzie wystarczy kopnąć, aby z piasku wytrysnęła nafta.

Tak się ofensywa w krajach Mahometa spodobała Rosji, że urządzono nawet w Moskwie uroczystą akademię z okazji święta niepodległości... Kuwejtu i wyrażono dyskretnie gotowość nawiązania rozmów z Arabią Saudyjską. o której można wszystko powiedzieć, poza tym że jest to bastion postępu. Dobrze to świadczy o wyobraźni ZSSR choć z konkretami może być krucho, bo miejscowy szeik jeździ złotym Rollse'm i Czajki nie zechce, koncesje mają inni i szeik się już do nich przyzwyczaił. Jedyny artykuł to hurysy do haremu, tu szeik nie ma przesądów, ale akurat z tym towarem nie jest w Rosji najlepiej. Nóż Kolesowa, to co innego, ale taniec brzucha, to nie eksportowa specjalność ZSSR. Chociaż czego to nie robi się dla rewolucji światowej?

Majowe święto 1972

Ten niepełny skrót pozwala z grubsza zorientować się jakie będą pozycje wyjściowe ZSSR do tegorocznego święta majowego. Nie, nie na 1 maja, a na 22 maja, to znaczy na dzień przybycia Nixona do Moskwy. W Moskwie bowiem już zapomniano o wizycie w Pekinie, teraz ważny jest moment, kiedy *Air Force One* wyląduje na Wnukowie. Stąd wielka ofensywa uśmiechu i kuszenie USA.

Nikogo nie dziwi więc, że na linii Moskwa-Waszyngton panuje taki ruch jak na Marszałkowskiej w południe, kiedy wszyscy idą służbowo do kawiarni. Pisałem już o amerykańskim *show* p. Furcewej w nurkowym futrze i p. Jewtuszenki w kowbojskiej koszuli. Spieszę dodać, że fakt, iż w czasie ich pobytu wyrzucono z Moskwy amerykańskiego senatora nie zakłócił serdecznej do końca atmosfery. Z ministrów był tam jeszcze p. Mackiewicz, który zakupił, z nadzieją na jeszcze, zboża za 135 milionów dolarów (latoś niestety nie obrodziło), no i była też duża delegacja handlowa. Jej pobyt wypadł nieco blado, albowiem pracowano w atmosferze zażenowanej dyskrecji, jakoże akurat obie delegacje znalazły się po przeciwnych stronach barykady w Pakistanie. Rokowania jednak przeprowadzono szybko i pomyślnie a p. Kiesinger spożył nawet obiad pożegnalny. Nastąpi zresztą niedługo ciąg dalszy, bo przyjeżdża minister handlu zagranicznego p. Patoliczew, który zazwyczaj coś podpisuje, poza delegacją służbową oczywiście. A będzie co podpisywać! Kontrakty na dostawy urządzeń do Kamy, największej na świecie fabryki ciężarówek, osiągnęły już wysokość miliarda dolarów, i to mimo, że jeszcze niedawno p. Laird, minister od obrony USA, założył ostre veto strategiczne. Po ZSSR podróżuje obecnie grupa ekspertów amerykańskich od spraw gazu ziemnego. Poza Japończykami, Rosjanie bowiem kuszą także Amerykanów wdziękami Syberii. Starczy dla wszystkich, mówią, zwłaszcza od kiedy usłyszeli coś tam o planie Marshalla dla Chin i przestraszyli się, że może nie starczyć dolarów dla wszystkich. I tu chodzi o Tiumen, ale o gaz, i tu chodzi o rurociąg, ale do jednego z portów na Oceanie Arktycznym, gdzie byłaby również wybudowana fabryka skraplania gazu. To wszystko za amerykańskie dolary, w zamian za dostawy zupełnie nieprawdopodobnych ilości gazu. Sama flota niezbędnych super-tankowców miałaby kosztować ok. trzech miliardów dolarów. Na marginesie warto zauważyć, że w ten sposów za dolary i yeny, uwzględniając jeszcze europejski rurociąg wybudowany za marki i liry, ZSSR cudzym kosztem dysponować będzie — jak dobrze pójdzie — wspaniałą siecią rurociągów we wszystkich kierunkach świata, łatwym zaopatrzeniem ludności i wojska, a równocześnie kurki od dostaw ropy i gazu dla zagranicznych kontrahentów uruchomiane będą z Moskwy. W razie napięcia... Ale to nie moja sprawa, to resort p. Laird'a.

No i jeszcze jedna malownicza postać, o której nie godzi się nie wspomnieć. Zawitał mianowicie do USA niejaki Jurij Pawłow. Nazwisko niby banalne, ale okazuje się, że p. P. jest kierownikiem wydziału administracyjnego KC KPZS. A czego szuka kierownik wydziału administracyjnego KC KPZS w USA? Szuka oczywiście, jakie może być zastosowanie informatyki do administracji. Aliści — jak mawia jeden z najbardziej dowcipnych Polaków — okazało się, że p. P. jest bliskim, jeżeli nie najbliższym zaufanym p. Breżniewa. Przypuszcza się więc, że p. P. przepłynął albo przeleciał Atlantyk nie w celach administracyjnych, a w celach rozpoznawczych P. P. miał mianowicie zbadać dla p. B. jaki jest puls USA po wizycie w Pekinie, a przed wizytą w Moskwie.

Środek na demony

Osobiście przypuszczam, że wątpię. Moim zdaniem p. P. miał przede wszystkim zbadać jakie są intencje pp. Nixonów w zakresie rozrywek, prezentów, zakupów itp. Problemów co nie miara. Chodzi np. o to, żeby akurat nie zabrakło masła w GUM-ie, albo, żeby p. Nixonowa nie spotkała się w tym samym ogonku z panią ambasadorową Wietnamu północnego, tak jak to było w Pekinie, gdzie akurat natrafiła na ambasadorową ZSSR.

Państwo Nixon byli w Pekinie na balecie rewolucyjnym w towarzystwie pani Mao Tse-tung, która naprawdę nazywa się Cziang Czing. Co może Moskwa w tym zakresie ofiarować Nixonom? Czy jest tam ktoś o tak dźwięcznym nazwisku i to mający w dorobku jedną średniej wielkości rewolucję kulturalną? PP. Nixon otrzymali w darze od Mao parę panda. To rzadkie zwierzę i największe amerykańskie zoo już toczą o nie wojnę. A co może ofiarować Moskwa? Białego niedźwiedzia? Żeby się męczył na ulicach Waszyngtonu? P. Nixon kupił w Pekinie aż

dwie pary specjalnych tamponików z waty, jakich używali cesarzowie Państwa Środka, aby nie wysłuchiwać niedobrych wiadomości. A co w Moskwie? Czy carowie pozostawili coś takiego, co można włożyć do uszu, albo gdzie indziej i żeby było przyjemnie i cicho? A co będzie z cytatami z Myśli? Od razu na starcie Nixon oszołomił całe Chiny cytując i to z pamięci jedną z licznych myśli przewodniczącego Mao: „10.000 lat to za długo. Trzeba działać już dziś". Nie jest to może rewelacja jak na przewodniczącego Mao, ale zawsze. Zresztą co miał wybrać prezydent USA? Coś na temat nieuchronnego końca papierowego tygrysa? A jak zrobić, żeby Nixon miał co zacytować z myśli aktualnych przewodniczących ZSSR? Wybór niebogaty...

No i na koniec, niby drobiazg, a jaki kłopot. Spory niepokój wywołały w Moskwie zdjęcia z wizyty Nixona w rezydencjach Mao i Czou. Chodzi o umeblowanie, o pewne niewielkie, białe naczynie wyraźnie widoczne pod stołami lub obok foteli. Co to takiego, pytali Rosjanie? Do czego to służy? U nas to stoi w sypialni i też nie zawsze na środku pokoju. Nie, odpowiedzieli Amerykanie, panowie się mylą. To są po prostu spluwaczki. Należą one w Chinach do tradycyjnego niejako wyposażenia mieszkań. Jest to kraj o bardzo starej kulturze, prasłowiański zwyczaj plucia na podłogę czy klepisko, oraz na bliźnich, jest tam nieznany. Samo plucie natomiast było w mniejszym stopniu zabiegiem higienicznym czy intelektualnym lub politycznym, a w większym stopniu psychologicznym. Było mianowicie uznane za skuteczny sposób wyrzucania z siebie demonów. Były to więc takie kulturalne egzorcyzmy, bez uciekania się do płonących stosów i innych wymysłów europejskiej cywilizacji, znanych z historii w Loudun z filmu Kawalerowicza. Tak pomyślana funkcja tego naczynia pozwoliła mu przetrwać nawet rewolucję kulturalną, widać demony ciągle aktualne.

Gospodarzom w Moskwie, jeżeli chcą dorównać Chińczykom, nie pozostaje nic innego, jak zastąpić spluwaczki gustownymi napisami o treści „Nie pluć na podłogę". To też przecież tradycja, nie będzie razić w moskiewskim pejzażu. Nie wiadomo tylko, czy pomoże wypędzić demony.

Tfu!!!

BRUKSELCZYK

Pisane 13 marca 1972

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W końcu lutego wszystkie pisma sowieckie zamieściły kolejną decyzję KC partii, dotyczącą rozpoczęcia przygotowań do następnego święta całego narodu sowieckiego. Łatwo jest pokpiwać z zamiłowania sowieckiego kierownictwa do jubileuszów i świąt — wszyscy jeszcze dobrze pamiętają z jaką radością świętowano około dwóch lat dzień urodzin Włodzimierza Iljicza — tym razem jednak święto jest rzeczywiście potrzebne.

KC KPZS zdecydowało uroczyście obchodzić 50-ciolecie stworzenia Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik i uczcić zwycięstwo leninowskiej (nazywała się ona przedtem stalinowską) polityki narodowościowej. „W ten sposób — czytamy w decyzji — marsistowsko-leninowska nauka w sprawach narodowościowych zdała egzamin w praktyce, a leninowska polityka narodowościowa uzyskała pełne zwycięstwo".

Prawie jednocześnie z tym „zwycięskim zarządzeniem" dużego rozgłosu nabrał tekst „Listu-Apelu" 17-tu łotewskich komunistów do kierowników zagranicznych partii komunistycznych, w pierwszym rzędzie Rumunii, Jugosławii, Francji, Austrii, Hiszpanii, a także osobiście do Aragona i Garaudy.

Autorzy „Listu" przede wszystkim podkreślają „swoją prawowierność": „Nie jesteśmy oportunistami ani 'lewymi' ani 'prawymi'. Jesteśmy komunistami i większość z nas stała się nimi już 25-30 lat temu".

Ci „rzeczywiści" komuniści stwierdzają, że w Związku Sowieckim „brutalnie fałszuje się marksistowsko-leninowską naukę o ogólnoludzkich prawach i wolności, wolność słowa, leninowski styl pracy, i inne podstawowe zasady marksizmu-leninizmu. Ale przede wszystkim — i o tym właśnie piszą autorzy Apelu — naruszona jest leninowska polityka narodowościowa".

„Leninizm wykorzystuje się u nas jako parawan dla wielkorosyjskiego szowinizmu" — oświadczają łotewscy komuniści i szczegółowo wyjaśniają jak się to odbywa. „Dla Łotwy — mówią oni

— sowiecka polityka narodowościowa oznacza nieustającą rusyfikację republiki. Pierwszym zadaniem jest przeniesienie z Rosji, Białorusi i Ukrainy na Łotwę (i do pozostałych republik bałtyckich) jak największej ilości Rosjan, Białorusinów i Ukraińców na stałe zamieszkanie". W rezultacie, w 1959 roku Łotysze reprezentowali na Łotwie 62 % ludności, a w 1970 roku — 57 %, zaś w stolicy republiki, w Rydze, analogicznie 45 % i 40 %.

Autorzy Apelu ilustrują rezultaty takiej polityki na przykładzie republiki Karelskiej. „Jej już nie ma; została zlikwidowana gdyż miejscowa ludność reprezentowała mniej niż połowę wszystkich mieszkańców. Teraz Karelia jest składową częścią Rosyjskiej Federacyjnej Republiki. Taki los czeka Kazachską Republikę Związkową oraz Łotwę".

Łotewscy komuniści zapoznają nas z techniką rusyfikacji: wszystkie odpowiedzialne stanowiska są w rękach nie-Łotyszy. KC partii Łotwy składa się tylko z 42 % Łotyszy, przy czym „wielu z nich to są Łotysze z nazwy, gdyż długie lata lub całe swoje życie przebywali w Rosji i języka łotewskiego nie znają". Z 1 500 pracowników ministerstwa Spraw Wewnętrznych tylko około 300 to Łotysze. W innych ministerstwach sytuacja wygląda podobnie.

Ale to jeszcze nie wszystko. Nie mając zaufania do miejscowych komunistów, Moskwa stworzyła przy komitetach centralnych republikańskich Kompartii Biuro KC KPSS, które kontroluje działalność miejscowych komunistów. Ponadto na Łotwie, a także i we wszystkich innych republikach, stanowisko drugiego sekretarza KC i stanowisko KC od spraw kadrowych są obsadzone przez Rosjan.

Łotewscy komuniści skarżą się na szeroką propagandę małżeństw pomiędzy Łotyszami i Rosjanami, na to, że w Rydze istnieje nie tylko muzeum Lenina, ale również muzeum „rosyjskiego Cara-Zdobywcy krajów bałtyckich — Piotra I-go". Można przypuszczać, że muzeum Piotra specjalnie kłuje w oczy łotewskich komunistów, stale czytających w prasie sowieckiej, że narody które uwolniły się od kolonialnego jarzma w pierwszym rzędzie niszczą pomniki zdobywców.

Na specjalną uwagę w Apelu zasługuje wzmianka o sprawie byłego pierwszego sekretarza ryskiego Komitetu Partii, zastępcy przewodniczącego Rady Ministrów Łotwy, członka Biura KC — E. Berklawy, który wystąpił przeciwko polityce rusyfikacyjnej i znalazł poparcie większości Biura KC. Chruszczow osobiście przyjechał do Rygi, by rozprawić się z Berklawą, który został usunięty ze wszystkich stanowisk i wygnany poza granice republiki.

„Gdy walczyliśmy o socjalizm w podziemiu, cierpieliśmy w więzieniach i na katordze burżuazyjnej Łotwy — melancholijnie kończą autorzy Apelu — znaliśmy marksizm i leninizm tylko teoretycznie i wszystkim ideałom tej nauki wierzyliśmy bezgranicznie. Gdy zobaczyliśmy państwo socjalistyczne w rzeczywistości, od razu zrozumieliśmy, że w życiu jest inaczej niż w nauce".

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że pod tym Apelem łotewskich komunistów mogliby się podpisać liczni komuniści z innych republik Związku Sowieckiego. Można być pewnym, że w czasie obchodu „całkowitego zwycięstwa leninowskiej polityki narodowościowej" będzie przeprowadzona kolejna czystka miejscowych partyjnych kadr.

Pierwszy strzał w tej kampanii już padł. 6 marca miejski komitet tyfliskiej partyjnej organizacji otrzymał ostre upomnienie z KC KPSS. W liczbie wyszczególnionych oskarżeń są: tolerancja korupcji i złe funkcjonowanie przemysłu, ale najważniejsze to niedostateczna uwaga wobec zagadnień walki z nacjonalizmem i w stosunku do wychowywania młodzieży w duchu internacjonalistycznym, to jest w duchu miłości do Starszego Brata.

Niewątpliwie ta kampania w walce „z przejawami nacjonalizmu" za „wzmocnieniem przyjaźni narodów" nie ograniczy się tylko do republik sowieckich ale obejmie cały „Obóz Socjalistyczny".

W ostatnim numerze miesięcznika *Mieżdunarodnaja Żyzń* wyłożono zasady tej kampanii. U jej podstaw leżą dwa dobrze znane hasła, które na pewien czas usunięto w cień. Po pierwsze — Związek Sowiecki odgrywa kierowniczą, prowadzącą rolę w obozie krajów socjalistycznych. „Byłoby uproszczeniem — pisze autor artykułu — mierzyć jedną miarką znaczenie wszystkich krajów... Czy można na przykład ignorować rolę jaką odkrywa ZSSR — jedno z wielkich światowych mocarstw — w sprawie realizacji aktywnej polityki socjalizmu, w sprawie umocnienia ekonomicznego i wojennego potencjału światowego socjalistycznego systemu?"

Po drugie — stosunek do Związku Sowieckiego i wierność Związkowi Sowieckiemu, są najważniejszym kryterium wierności proletariackiemu internacjonalizmowi. „Więcej niż półwieczne doświadczenia postępu — mówi się w *Mieżdunarodnoj Żizni* — jasno wskazuje, że głównym miernikiem dla tego czy innego postępowego politycznego ruchu jest w pierwszym rzędzie jego stosunek do naszej ojczyzny, jego obiektywne podejście do oceny wewnętrznej i zewnętrznej polityki Związku Sowieckiego — ostoji pokoju i socjalizmu w całym świecie".

W tym miejscu chciałbym przerwać wyjaśnianie teoretycznych artykułów i przytoczyć przykład ilustrujący jak teoria może wyglądać w praktyce.

W swoim poprzednim „Przeglądzie" pisałem o procesie Władimira Bukowskiego i surowym wyroku sądu. Stenogram procesu, który ukazał się już w „samizdacie" jest niezmiernie ciekawym i charakterystycznym dokumentem dla obecnej sytuacji w Związku Sowieckim. Prokurator i sędziowie to ludzie z epoki 1937 roku, a podsądny jest człowiekiem roku 1972, który odmawia przyznania się do winy, oświadcza, że nie przestanie „walczyć o praworządność i sprawiedliwość".

W czasie procesu miał miejsce epizod, który wydaje mi się szczególnie ważny. Wśród oskarżeń wysuniętych przeciwko Bukowskiemu znajdowało się oskarżenie o antysowiecką rozmowę, którą prowadził z dwoma sowieckimi żołnierzami, spotkanymi przypadkowo w kawiarni.

W kawiarni, za stolikiem — opowiadał Bukowski sądowi — nawiązała się między nami rozmowa. Jak sobie przypominam, rozpoczęła się ona od wydarzeń w Polsce, gdyż — jak zrozumiałem z ich rozmowy — byli świadkami tych wydarzeń, albo wiedzieli o nich z relacji swoich towarzyszy. W ocenie tych wydarzeń nasze poglądy były rozbieżne. Ja uważam, i powiedziałem im o tym, że zbrojne zduszenie wystąpień przedstawicieli narodu, walczących o swoje ekonomiczne i polityczne prawa jest niedopuszczalne i że nasza armia istnieje nie po to, by tłumić wystąpienia narodu, ale po to, aby bronić kraju od wrogów zewnętrznych. Moi rozmówcy uważali, że jako wojskowi muszą wypełniać każdy rozkaz dowództwa, a tym samym i strzelać do narodu, jeśli taki rozkaz będzie wydany. Wydała mi się dziwną taka gotowość do strzelania do kogokolwiek, do kogo każą strzelać i zapytałem ich: „Wyobraźcie sobie taką sytuację, że jutro w naszym kraju podniosą ceny i wybuchnie niezadowolenie ludności, przedstawcie sobie na przykład, że wśród demokratów zobaczycie mnie — z którym teraz spokojnie a nawet przyjacielsko rozmawiacie. I co? Będziecie do mnie strzelać?" — „Tak" — odpowiedzieli mi. „I zabilibyście?" — zapytałem. „Tak. I zabilibyśmy, gdyby nam rozkazano" — odpowiedzieli.

Armia żołnierzy gotowych na rozkaz strzelać do kogo każą, to jest praktyczna realność — która czyni nieodpartymi teoretyczne argumenty o konieczności wierności dla Związku Sowieckiego.

Jak od niedawna wiadomo proces Bukowskiego, aresztowania i rewizje w Moskwie i na Ukrainie — to pierwsze miary w realizacji zarządzenia KC KPZS z 30 grudnia 1971 o likwidacji ruchów opozycyjnych, a w pierwszym rzędzie „Kroniki bieżących wydarzeń" i innych organów opozycji. Do czasu tej decyzji można było mówić, że prasa opozycyjna istnieje na skutek cichej zgody KGB. Po zarządzeniu z 30 grudnia KGB przystąpiło do niszczenia opozycji. Czy im się to uda — czas pokaże. Tymczasem można tylko zaznaczyć, że mimo represji wyszedł kolejny — 23 — numer „Kroniki bieżących wydarzeń", który m.in. zawiadamia o ukazaniu się nowego rękopiśmiennego pisma „Przegląd" *(Obozrienje)* organu liberalnych komunistów.

Na pomoc KGB przyszli „cywilni bojownicy" z opozycją. *Literaturnaja Gazieta* kontynuuje demaskowanie Sołżenicyna. Gniew jaki wywołała u sowieckich przywódców powieść „Sierpień 1914" można porównać jedynie z oburzeniem spowodowanym przez „Doktora Żiwago" Pasternaka. Teraz co prawda walkę z powieścią prowadzi się — jeśli tak można określić — bardziej subtelnie. O książce nie mówią sowieccy pisarze, wykorzystują

jedynie wypowiedzi zachodnich, „obiektywnych" krytyków literackich.

W końcu lutego *Literaturnaja Gazieta* zamieściła jednocześnie dwie anty-recenzje. Obie z pism zachodnich.

W zachodnio-niemieckim *Deutsche Volkszeitung*, Marina Schütz według relacji *Literaturnej Gaziety* oskarża Sołżenicyna o to, że jego powieść „sprowadza się do banalnej apologii teorii konwergencji, według której technokracja, jako określona rzekomo siła społeczna potrafi usunąć sprzeczności między socjalizmem i kapitalizmem drogą ich niwelacji". Ale główny zarzut Mariny Schütz jest jeszcze straszniejszy: „Sołżenicyn w swojej książce nie prezentuje ani jednego bolszewika". Dlaczego zachodnio-niemiecki krytyk tak cierpi z powodu braku bolszewików w powieści Sołżenicyna — nie powiedziano.

Rozumiejąc, że nie wystarczy jednej Mariny Schütz, *Literaturnaja Gazieta* przedrukowuje ze szwedzkiej *Nortensflammen* artykuł fińskiego pisarza, Martti Larni. Pisarz ten, który jest ponadto przewodniczącym Związku Pisarzy Finlandzkich i autorem bardzo popularnym w Związku Sowieckim, najwidoczniej nieprzytomnie zazdrości Sołżenicynowi sławy. Bo czym innym można by na przykład wytłumaczyć takie jego oświadczenie: „Jest ogólnie przyjęte, że pisarze drukują swoje książki w swoim kraju i w swoim ojczystym języku... Sołżenicyn jednak stanowi wyjątek... Z miejsca przekazał rękopis swojej powieści za granicę...". Fiński pisarz kończy artykuł słowami, których niewątpliwie sam się obecnie wstydzi: „O samym Sołżenicynie można powiedzieć, że należy do tej inteligencji bez ojczyzny, która nie zna swego kraju i jego historii i nie kocha swego narodu".

Identyczność określeń, terminów, oskarżeń w anty-recenzjach zamieszczonych obok siebie w *Literaturnej Gaziecie* pozwala nam stwierdzić niesłychane podobieństwo języków niemieckiego, fińskiego i rosyjskiego...

◆

Seria pamiętników szpiegów sowieckich Abela, Longsdale'a i innych powiększyła się o wspomnienia sowieckiego rezydenta w Szwajcarii w okresie wojny, Szandora (Aleksandra) Rado. Wspomnienia te są bardzo interesujące — chociaż w wielu wypadkach powtarzają to, co już dawno znane jest na Zachodzie — zwłaszcza dlatego, że ich publikacja nastąpiła w chwili gdy drugi sowiecki wywiadowca, Leopold Trepper (Dąb) uporczywie dobija się o pozwolenie na wyjazd z Polski.

Wydaje się, że pamiętniki szefa wywiadu sowieckiego w Szwajcarii przydadzą się obecnie dla zlikwidowania legendy o zasługach Treppera.

Organizacje Rado i Treppera w okresie wojny utrzymywały ze sobą kontakt, a oni sami byli jednakowo nagrodzeni: 10 latami stalinowskich więzień i łagrów. Z tą co prawda różnicą, że Trepper powrócił z Paryża do Moskwy dobrowolnie, a Rado lecący z nim jednym samolotem, usiłował w czasie postoju w

Kairze zniknąć. Aresztowany przez władze angielskie został wydany Sowietom.

Miesięcznik *Oktiabr* zamieścił tymczasem pierwszą część wspomnień Rado. Trzeba poczekać na koniec, żeby dowiedzieć się jak tłumaczy on konieczność swojego aresztowania po wojnie.

◆

Przeglądając *Literaturną Gazietę* znalazłem tam materiał którego, jak mi się wydaje, brak moim przeglądom: Cyfry obrazujące kolejne osiągnięcia i sukcesy.

Antropologowie obliczyli, że w ciągu ostatnich piętnastu lat kobiety sowieckie powiększyły obwód biustu o 8 centymetrów, talii o 10 centymetrów, a bioder o 7 i pół.

Adam KRUCZEK

Nowa emigracja czeska i słowacka

Przed dwunastu laty ukazał się w *Kulturze* Nr 1/2 (1960), str. 121-129, artykuł Jarosława Dreslera pt. „Czechosłowacka emigracja". Artykuł ten, napisany w roku 1959, był podsumowaniem jedenastu lat istnienia czechosłowackiej emigracji politycznej; o politycznej emigracji czechosłowackiej (a zwłaszcza czeskiej) po drugiej wojnie światowej możemy mówić dopiero od lutego 1948 roku, kiedy to w Pradze komuniści ostatecznie objęli władzę.

Artykuł Dreslera, zajmujący się głównie emigracją czeską, dał przegląd dorobku przede wszystkim humanistycznej inteligencji czeskiej w kilku krajach Europy Zachodniej oraz Ameryki. Autor stwierdził pewne aktywa, ale ton jego wypowiedzi był pesymistyczny. Słusznie podkreślił, że dosłownie na palcach jednej ręki można było policzyć bardziej ciekawych czeskich literatów, działających na emigracji, przy prawie kompletnym braku zainteresowania ich twórczością wśród setek tysięcy czeskiej emigracji zarobkowej (głównie w USA) oraz minimalnym zainteresowaniu wśród chyba 50 tysięcy ówczesnej czechosłowackiej emigracji politycznej na Zachodzie.

Co się zmieniło od roku 1959? Gdybyśmy postawili sobie to pytanie w roku 1968 — przed okupacją Czechosłowacji przez Sowiety — to moglibyśmy odpowiedzieć, że niewiele. W każdym razie sytuacja raczej pogorszyła się. Niektórzy działacze umarli czy odeszli z aktywnego życia, ale nowych nazwisk nie przybyło. Mamy zresztą ciekawą bibliografię czeskiej produkcji literackiej na emigracji z lat 1948-1967, którą sporządził A. Kratochvil (wydana została w czeskim czasopiśmie *Studie*, 1968, nr 14 w Rzymie oraz przedrukowana w czasopiśmie *Student*, nr 33 z 14. VIII. 1968 w Pradze — wtedy nie było w Czechosłowacji cenzury). Wymienia ona około 200 pozycji, w tym również „druki" powielane oraz parustronicowe ulotki. Prawdziwych książek uzbierałoby się coś koło setki, rzeczy wartościowych chyba mniej niż pięćdziesiąt, w tym prace fachowe, nieliterackie. Specjalnych powodów do dumy nie było...

Dziesięciolecie 1959-1968 było dla kultury czechosłowackiej w kraju okresem na ogół owocnym; literatura, teatr, film, sztuki plastyczne wykorzystały szybko narastającą falę liberalizmu oraz osiągnęły niejednokrotnie w poszczególnych utworach poziom europejski, o czym świadczy wielkie zainteresowanie na całym świecie. O tym okresie nie można było twierdzić, że „w kraju literatura komunistyczna osiągnęła dno", jak to — słusznie — napisał J. Dresler o latach 1948-1959.

O ile więc w latach 1948-1959 było źle w kraju i nie lepiej na emigracji, to po roku 1959 na emigracji było jeszcze gorzej, natomiast w kraju nie było co prawda idylli, ale istniały literatura, teatr, film, malarstwo itd. na poziomie.

Dzień 21 sierpnia 1968 roku zmienił całą sytuację. Nie można sobie oczywiście wyobrażać, że po tym dniu nastąpiła w Czechosłowacji kulturalna pustynia. Do paradoksów należy fakt, że niemal cały rok pod okupacją sowiecką udaje się wydawać wartościowe dzieła, inscenizować ciekawe sztuki itd. Nawet w roku 1970 ukazują się jeszcze interesujące książki, a teatry grają ciekawe sztuki. Dopiero rok 1971 przypomina najgorsze lata stalinizmu.

Te chyba 70 tysięcy — a może, jak niektórzy przypuszczają — 130 tysięcy nowych emigrantów czechosłowackich, którzy przyszli na Zachód po okupacji kraju, nie opuściło Czechosłowacji natychmiast po zajęciu państwa przez wojska pięciu okupantów. Przypływ emigrantów trwał przeszło rok — do października 1969, kiedy to Husak ostatecznie zamknął granicę. Zwłaszcza przedstawiciele inteligencji humanistycznej decydowali się często na emigrację dopiero latem 1969 roku, po usunięciu Dubczeka od władzy, kiedy już nie było nadziei, żeby w kraju, pod okupacją sowiecką istniała przynajmniej jakaś możliwość kontynuowania pracy twórczej czy naukowej. Wielu „skompromitowanych" pisarzy czy naukowców nie zdecydowało się zresztą w ogóle na emigrację, chociaż mieli ważne paszporty i do jesieni 1969 roku jeździli na Zachód. Wiedzieli, że niebezpieczeństwo jest dla nich realne, ale woleli być razem z całym społeczeństwem.

Do jesieni 1969 roku na emigracji znalazła się ilościowo, i zwłaszcza jakościowo, mocna grupa inteligencji. Do najbardziej dynamicznych jej członków należą ci, którzy w chwili emigracji

mieli 30-45 lat. Nie mieli oni zbytnich trudności w znalezieniu zatrudnienia — świadczą o tym liczne czeskie nazwiska na niemal wszystkich uniwersytetach Europy Zachodniej i Ameryki, Kanady, Australii i innych krajów. Tak samo spotyka ich się w teatrach, ateliers filmowych, salach wystawowych.

Wielu z nich należało do szeregów tzw. ideowych komunistów, chociaż nie brak niekomunistów czy wręcz antykomunistów.

Nowa czechosłowacka emigracja nie przejawia dużej skłonności do organizowania się, co najwyżej studenci, którzy tworzą drobne skupiska w poszczególnych miastach uniwersyteckich. Jak dotąd głównym instrumentem komunikacji pozostaje czasopismo *Text*, wydawane od sierpnia 1969 roku w Monachium — największym skupisku nowej emigracji. Ton tego czasopisma jest od samego początku liberalnie lewicowy, krytycznie „dubczekowski". Nie trzeba się więc dziwić, że dużo ludzi ze „starej emigracji" krzywym okiem patrzy na tych „komunistów" na emigracji.

Na emigracji znalazła się także grupka ludzi, którzy do dziś uważają się za ortodoksyjnych komunistów, tych, „co wiedzą lepiej". Wystarczy wymienić Szika, Goldstückera, Pelikana. Ten ostatni — przy bardzo mocnym poparciu przez włoską partię komunistyczną — wydaje od stycznia 1971 roku w Rzymie *„Listy* — czasopismo czechosłowackiej opozycji socjalistycznej". Echo tej grupy oraz jej organu jest dosyć słabe.

Niekomuniści z nowej emigracji nie zdobyli się na własne czasopismo — zresztą dosyć szybko porozumieli się z emigracją z roku 1948. Katolicy spośród nich znaleźli przytułek w czeskich katolickich czasopismach w Rzymie, inni w czasopiśmie *Svědectvi*, ukazującym się od wielu lat w Paryżu, jeszcze inni w amerykańskim czasopiśmie *Proměny*.

W latach 1968-1970 pisarze spośród nowej emigracji nie wydawali żadnych książek po czesku czy po słowacku — z bardzo prostej przyczyny: nie zaczęły jeszcze działać nowe wydawnictwa emigracyjne. Rok 1971 przyniósł trzy inicjatywy, gdyż zaczęły wydawać książki aż trzy wydawnictwa emigracyjne, z tego dwa w Niemczech Zachodnich oraz jedno w Kanadzie.

Najbardziej ambitny program ma wydawnictwo „68 Publishers" w kanadyjskim Toronto. Jego duszą jest znany pisarz Josef Szkvorecky (ur. 1924), autor znanej powieści „Tchórze", która stała się *best-seller*'em nie tylko w Czechosłowacji. W tym wydawnictwie ukazała się jego nowa powieść o służbie w komunistycznej armii pt. „Batalion pancerny" (wyjątki z tej książki były drukowane przed sierpniem 1968 w jednym z czeskich czasopism). Wiosną 1969 książka była już złożona w Pradze, a autor, przebywający w Kanadzie, robił ostatnie korekty. W końcu jednak powieść nie ukazała się; w międzyczasie wyszła w roku 1970 po francusku u Gallimarda, niebawem zaś ukaże się po włosku. Krytyka francuska przyjęła książkę bardzo życzliwie; niektórzy krytycy twierdzą, że „dobry wojak Szwejk w literaturze czeskiej nie umarł". Wydawnictwo kanadyjskie przygotowuje również dwie nowe książki Szkvoreckiego: „Cud" oraz „Grzechy dla ks. Knoxa". Obie mają być swego rodzaju „kryminałami", których autor jest wielkim wielbicielem.

Wydawnictwo zapowiada nową powieść Arnoszta Lustiga (ur. 1926 — mieszka obecnie w Stanach Zjednoczonych) pt. „Ukochana" o wojnie izraelsko-arabskiej w roku 1948; autor porusza również problematykę czesko-żydowską. Jan Benesz (ur. 1936 — więzień za czasów Novotnego za współpracę z emigracyjnymi czasopismami, obecnie w Stanach Zj.) zapowiada w tymże wydawnictwie zbiór opowiadań z komunistycznego obozu koncentracyjnego pt. „Na miejscu".

Młoda Zdena Salivarova (obecnie w Stanach Zjedn.) wydała w Pradze tylko jedną książkę, teraz ukaże się jej powieść z życia czeskiej młodzieży lat sześćdziesiątych pt. „Honzlova". Inna młoda autorka, Michaela Swinkels-Novakova (obecnie Holandia) wydała w Pradze jedną książkę; obecnie zapowiada dwie powieści z życia sportowców. Początkującymi autorami są Jaroslav Vejvoda oraz Karel Salaquarda.

Bardziej doświadczonym autorem jest Karel Michal (ur. 1932 — obecnie Szwajcaria), utalentowany humorysta, którego książki sfilmowano w Pradze, przed 1968. Dla „68 Publishers" pisze nową prozę humorystyczną. Ladislav Grosman (obecnie w Izraelu) jest szeroko znany jako autor noweli filmowej, według której nakręcono film „Sklep na ulicy Głównej" z udziałem Idy Kamińskiej (film otrzymał „Oskara"). Grosman napisał powieść „Adam, syn człowieka", akcja której rozgrywa się znów w Słowacji, w czasie drugiej wojny światowej.

Jako jedyny poeta Ivan Divisz (ur. 1924 — obecnie Monachium) zapowiedział zbiór wierszy „Noe wypuszcza kruki".

Jak dotąd jedyną przedstawicielką nowej emigracji słowackiej przebywająca obecnie w Kanadzie jest Jaroslava Blažkova, popularna autorka książek o młodzieży słowackiej. Dla wydawnictwa w Toronto napisała książkę „Wesele w Galilei".

Ze „starej" emigracji będą tu wydawali znany pisarz Egon Hostovsky oraz wybitny amerykański aktor czeskiego pochodzenia Jirzi Voskovec.

Dalej ukażą się utwory takich autorów, jak Kovalyova-Kohak, Ulcz, Jelinek, Blažek, Liehm i in.; plan wydawniczy „68 Publishers" przewiduje nowe wydanie „Szwejka" Haszka z nowymi ilustracjami.

Jak widać, program bardzo bogaty. Wierzymy, że uda się zrealizować wszystko to, co zaplanowano. Zależy to oczywiście przede wszystkim od zainteresowania czytelników.

Wydawnictwo INDEX w Kolonii w NRF, prowadzone przez A. Müllera i B. Utitza, zapowiedziało osiem tytułów. Pierwszy już ukazał się — Jerzego Hochmanna „Jeleni Bród". Jest to satyra pióra znanego dziennikarza, który nadal żyje w Czechosłowacji, w lutym 1972 został aresztowany, może częściowo w związku z opublikowaniem tej książki.

Autor, żyjący w Pradze, piszący pod pseudonimem A. Ostry, zapowiedział polityczną książkę „Rzeczywistość 1968-70".

Słowaka Ladislava Mnaczki (obecnie w Wiedniu) nie trzeba przedstawiać, jego książka „Smak władzy" jest znana bardzo szeroko. Mnaczko zapowiedział satyrę pt. „Towarzysz Münchhausen".

Dziennikarz i humorysta, tłumacz z polskiego, Gabriel Laub (ur. 1928 — obecnie w redakcji *Die Zeit* w Hamburgu) wydał satyrę „Największy proces w historii". Autor czeskich protest-songów, Karel Kryl (obecnie w Monachium), wydaje swoje „Songi".

Ukaże się także książka, zestawiona z materiałów konferencji naukowej o „praskiej wiośnie" w Readingu, w lecie 1971, oraz tłumaczenie książki A. Amalrika „Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?".

Najskromniej zapowiada się plan wydawniczy wydawnictwa monachijskiego „CCC Books" (J. Kuczera, K. Friedrich, R. Belcredi). Jan Schneider wydał w nim satyrę „Salon tymczasowo zamknięty", J. Kuczera tom pt. „Praski sierpień", uzupełniony dokumentacją fotograficzną o sowieckiej okupacji. Książka „Więzień prezydenta" Vladimira Szkutiny, pracownika telewizji praskiej, ukazała się już po okupacji sowieckiej w Pradze. Nowe wydanie ukazało się obecnie na emigracji; w międzyczasie ciężko chory autor znalazł się znów w komunistycznym więzieniu.

Na emigracji znajdują się inni jeszcze pisarze, jak np. L. Aszkenazy czy pierwszy tłumacz „Pana Tadeusza" na język słowacki R. Skukalek, dalej czeski poeta A. Brousek, pisarka V. Linhartova, poeta I. Fleischmann, pisarz „starej" emigracji Jan Czep i inni. Ale nikt z nich nie zapowiedział dotychczas swoich utworów.

Nie miejsce tu by wymienić wszystkich reżyserów, filmowców, aktorów, dziennikarzy, muzyków, plastyków, naukowców z nowej emigracji, którzy zadziwiająco szybko zdobyli sobie „miejsce pod słońcem" na Zachodzie. Wystarczy chyba przypomnieć filmy M. Formana, nakręcone w USA, które zdobywają uznanie na festiwalach międzynarodowych, działalność całych czeskich zespołów teatralnych, jak np. „Black Theatre" w Toronto, „Velvets" w Wiesbadenie czy czeskich pracowników teatru w Bazylei. Filozofowie Prucha we Francji oraz Svitak w USA, historycy Sznejdarek w Paryżu oraz Graus w Giessen, oraz wielu innych pracowników naukowych kontynuuje pracę „starszej" emigracji, wśród której działają dalej historyk kościoła Francis Dvornik, historyk Odložilik, teoretyk literatury René Wellek, dyrygent światowej sławy Rafael Kubelik i inni.

Wydaje się, że emigracja „posierpniowa" ma więcej odwagi, rozmachu — no i szczęścia — niż emigracja „polutowa". Za wcześnie oczywiście na stawianie prognoz, gdyż większość „nowej emigracji" znajduje się na Zachodzie niecałe trzy lata.

O ile chodzi o kontakty z Polakami, także dużo się zmieniło. Wystarczy przytoczyć znamienny fakt. Jaroslav Dresler we wspomnianym artykule z roku 1960 pisał: „Najbardziej brak nam tłumaczeń z języka polskiego na czeski i na odwrót. Także autor tych słów, chcąc by jego artykuł dostał się szybciej do druku, musi pisać po niemiecku". Autor niniejszego tekstu — Czech z emigracji posierpniowej — napisał artykuł po polsku — i nie jest jedynym członkiem „nowej" emigracji, który zna ten język.

W kraju Czechów i Słowaków zapanowała znów martwota neostalinizmu — miejmy nadzieję, że tym razem przynajmniej ich emigracja ruszy z miejsca.

Karel KLATOVSKY

Vasil Bilak w roli mentora

Na plenum KC Komunistycznej Partii Czechosłowacji w dniu 21 października 1971 roku wystąpił z ostrą krytyką wobec „bratnich" partii członek prezydium KC i sekretarz Vasil Bilak. Bilak uznał za stosowne krytykować za odstępstwo od „zasad marksizmu-leninizmu" nie tylko partię rumuńską, która jak wiadomo potępiła inwazję na Czechosłowację, lecz również te partie, które „przyszły z bratnią pomocą" — mianowicie polską i węgierską.

Odstępcą nr 1 jest oczywiście partia rumuńska, której główną winą jest sprzeczny z interesami „wspólnoty socjalistycznej" nacjonalizm, stawianie interesów własnych ponad interesy wspólnoty. Rumunia, będąc członkiem zarówno paktu warszawskiego jak i RWPG, uchyla się — jak twierdzi Bilak — od zobowiązań wynikających z przynależności do tych organizacji, a równocześnie pragnie czerpać korzyści związane z członkostwem. Zamiast stawiać na pierwszym miejscu interesy klasowe, Rumunia ustawicznie podkreśla zasady nieingerencji w sprawy wewnętrzne, suwerenność narodową. Bilak ma za złe partii rumuńskiej jej uporczywe odmawianie dyskusji nad tymi sprawami „w gronie przyjaciół". Bilak nie może się pogodzić z tym, iż przywódcy rumuńscy nie rozumieją, iż prowadzą politykę „oportunistyczną, rewizjonistyczną i nacjonalistyczną", sprzeczną z zasadami „internacjonalizmu proletariackiego". Bilaka denerwuje, rzecz jasna, fakt, iż Rumunia nie poparła w roku 1968 znanego stanowiska innych „bratnich" partii wobec Czechosłowacji, czyli że nie zaakceptowała doktryny Breżniewa. Krytyka Bilaka pokrywa się tu ze stanowiskiem Sowietów wobec Rumunii. W szczególności wiele miejsca poświęcił on stosunkom rumuńsko-chińskim — wyjazd Ceausescu do Chin wywołał jak wiadomo duże zaniepokojenie w obozie.

Przedstawiając te fakty Bilak zastrzega się, iż na razie nie powinny być one podawane do wiadomości publicznej. W tym świetle zrozumiała się staje krytyka ze strony prezydium KC dwóch artykułów opublikowanych przez słowacki dziennik młodzieżowy *Smena*. Pierwszy z nich, z 11 sierpnia 1971 roku dotyczył nieobecności Rumunii w spotkaniu krymskim, drugi — z 17 sierpnia — krytykował Rumunię za „odstępstwo od zasad marksizmu-leninizmu" w związku z chińską podróżą Ceausescu. Bilak twierdzi, że ujawnianie tych faktów na łamach prasy i w radio jest „nieproduktywne" i zapewnił, że Czechosłowacja uczyni wszystko, aby wpłynąć na „rumuńską partię i republikę w pozytywnym kierunku". Nie jest to oczywiście pierwszy przypadek zaatakowania względnie niezależnej polityki Rumunii. Tuż przed opublikowaniem przez *Smenę* wspomnianych artykułów Bilak skierował do komitetów terenowych partii tajny okólnik, w którym zarzuca Rumunii zdradę zasad marksizmu-leninizmu, antysowietyzm oraz separatyzm i grozi „podjęciem niezbędnych środków natury politycznej i ideologicznej".

Znaczna część przemówienia Bilaka poświęcona została sprawom węgierskim i polskim. Jego zdaniem kierownictwo węgierskie popełnia te same błędy, co kierownictwo czechosłowackie w latach 1966 i 1967, bowiem gonitwa za reformami gospodarczymi powoduje, iż kontrola wymyka się z rąk partii, dochodzą do głosu siły odśrodkowe, co z kolei może przysporzyć kierownictwu partyjnemu dodatkowych trudności. Według Bilaka sytuacja na Węgrzech przypomina okres upadku Novotnego i wyboru Dubczeka.

Kierownictwu polskiemu Bilak zarzuca zmianę polityki wobec Kościoła, jak również ma poważne zastrzeżenia odnośnie zwiększenia roli rad robotniczych. Oba te zjawiska świadczyć mają o słabości pozycji Gierka. Owa względna autonomia rad robotniczych prowadzi — jak sądzi Bilak — do „anarchosyndykalizmu". Bilak sceptycznie zapatruje się również na wysiłki zmierzające do poprawy stopy życiowej.

Podobnie jak w przypadku Rumunii, Bilak wypowiedział się o Polsce już wcześniej. Według Reutera, miał on wystosować dwa poufne listy do terenowych instancji partyjnych, w których dał wyraz swym poglądom na temat sytuacji w Polsce. W pierwszym liście wypowiedział się stanowczo przeciw obniżce cen na artykuły spożywcze oraz przeciwko niezależnym związkom zawodowym. Fakt pojawienia się karykatur antysowieckich oznacza, że do głosu zaczynają dochodzić „prawicowi oportuniści".

Drugi okólnik datowany 19 lutego, jedynie dwa dni po pierwszym, podkreśla iż sytuacja w Polsce nadal jest poważna. Złowieszczo brzmią w nim stwierdzenia, iż w Polsce pojawiły się „siły antysocjalistyczne" oraz „tendencje kontrrewolucyjne". Bilak nakazuje wzmożenie działalności politycznej w rejonach czeskich graniczących z Polską, gdzie polscy robotnicy pracujący na terenie Czechosłowacji codziennie przekraczają granicę.

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 168 — DOMINIQUE DE ROUX

ROZMOWY Z GOMBROWICZEM

W serii rozmów z francuskim krytykiem Dominique de Roux, Gombrowicz objaśnia i komentuje swoją własną twórczość. Przypominamy naszym Czytelnikom tę książkę — ważną w związku z wielokrotnymi zarzutami, że Gombrowicz jest „niezrozumiały".

Str. 160. Cena F. 15 (dol. 3,75; £.1.25)

Ze świata

O definicję amerykańskiej rewolucji

Stany Zjednoczone są ekonomicznie i technologicznie jednym z najbardziej zaawansowanych krajów na świecie. Towarzyszy temu przygnębiające ubóstwo społecznej myśli radykalnej. Tradycja amerykańskiego radykalizmu społecznego rozwijała się w tym kraju w sposób wybitnie nierównomierny. Po krótkich okresach radykalizmu następowały na lewicy przewlekłe stany letargiczne, w czasie których dominował konserwatyzm, albo mówiąc po prostu, pozbawiona wszelkich hamulców, polityczna reakcja. W ciągu ostatniego półwiecza były dwa takie okresy. Pierwszy, krótko po I Wojnie Światowej, za czasów słynnego prokuratora generalnego Palmera, drugi — we wczesnych latach pięćdziesiątych w epoce praktyk senatora Józefa McCarty'ego. W owym czasie studenci, którzy nie byli wprawdzie ani inicjatorami ani entuzjastami ogólnonarodowego szantażu, uprawianego przez senatora z Wisconsin, posłusznie i konformistycznie podporządkowywali się władzy. Ubierali się schludnie, strzygli włosy krótko, wielbili sztandar i od czasu do czasu umiarkowanie tłukli Murzynów, którzy próbowali wtargnąć do ich *college'ów* na Południu. Były to porządne i posłuszne dzieci. Profesorowie słuchali władzy, a studenci — profesorów. Jak wiadomo, wszystko to zmieniło się nie do poznania i to dosyć nagle.

Gdy w ostatnich dziesięciu latach Stany Zjednoczone weszły w epokę swej supertechniki i supercywilizacji, która doprowadziła do upowszechnienia dobrobytu, zaczęły dojrzewać przesłanki nowej i bezprecendensowej w dziejach ludzkich rewolucji, której, jak sądzę, nie przewidział ani Marks ani Engels i Lenin, o co zresztą nie można mieć do nich pretensji, bo żaden z nich nie był Juliuszem Verne, ani tym mniej Stanisławem Lemem. Według dotychczasowych doświadczeń, powstania ludowe, które na

swoich sztandarach umieszczały takie hasła jak „wolność", „śmierć tyranom", „równość i braterstwo" oraz „władza dla ludu", w zasadzie zawsze mobilizowały masy perspektywą lepszego jutra, zaś w cięższych wypadkach — perspektywą „promiennej przyszłości". Najważniejszym, choć bynajmniej nie jedynym elementem „lepszego jutra" ewentualnie „promiennej przyszłości" było polepszenie stopy życiowej. To są cele nadal niesłychanie atrakcyjne w większej części świata, ponieważ upowszechnienie dobrobytu jest pragnieniem co najmniej 90 % ludzkości cierpiącej biedę, której stopień nasilenia jest rozmaity. Oczywiście hasła wolności nigdy nie były i nie są dodatkiem czy dekoracją do bardziej przyziemnych pragnień — tych, które znacznie ostrzej doskwierały niż brak wolności prasy czy zgromadzeń. Przeciwnie, tam, gdzie na skutek słabo wydajnej ekonomii nie można było zabezpieczyć wszystkim minimum, które jest zresztą pojęciem elastycznym i zmieniającym się w miarę wzrostu apetytu, trzeba było źle funkcjonujące systemy ekonomiczne i niesprawiedliwy podział dochodu narodowego zabezpieczyć rozmaitego typu tyraniami politycznymi. Te zmieniały się w zależności od epoki. Zresztą tyrania polityczna nie zawsze była jedynie środkiem do trzymania w ryzach obdartych i głodnych, ponieważ sama w sobie stanowiła urok dla sprawujących władzę. Tej ostatniej zresztą znacznie częściej grozili konkurenci niż zagłodzeni poddani.

Nie ma w tej chwili na świecie kraju, w którym niedostatek materialny nie pociągałby za sobą ograniczenia wolności politycznej. (Wyjątek stanowią niektóre państwa trzeciego świata, gdzie władza centralna jest zbyt słaba, żeby rozciągać kontrolę nad ludnością). I odwrotnie, kraje cieszące się dostatkiem, gwarantują swym mieszkańcom dość szeroki margines swobód.

Jednym z symptomów braku imaginacji teoretyków marksizmu był ich ideał wolnego od konfliktów społeczeństwa komunistycznego. Po stworzeniu komunizmu, w którym każdy dostawać miał „według potrzeb, a dawać — według zdolności", wszelkie konflikty społeczne (nie indywidualne) miały zniknąć. W swej prostocie ducha, wierni swym mistrzom marksiści wierzyli w to, że gdy dobrobyt stanie się tak powszechny jak woda, znikną wszelkie społeczne alienacje. Na swoich własnych przykładach ciągle nie mogą niczego sprawdzić, bo na razie poddostatkiem mają tylko wody.

Nie zamierzam zajmować się sprawą realności założonych celów komunizmu, bo nie należy to do tematu. Wspominam jedynie o braku imaginacji marksistów dlatego, że snuli swoje plany w ograniczonej wizji człowieka, walczącego bezustannie o poprawę swego materialnego bytu. Obecnie okazuje się, że motorem aktualnie występujących fermentów rewolucyjnych na Zachodzie

są inne przyczyny niż te, które marksiści upatrywali w sprzecznościach pomiędzy „możliwościami produkcyjnymi ludności a hamującymi je formami społecznej wytwórczości". Ściśle biorąc, te ostatnie występują nadal w ostrej formie, ale albo w państwach komunistycznych albo w zacofanych krajach kapitalistyczno-feudalnych trzeciego świata.

Być może, że Stany Zjednoczone nie są najklasyczniejszym przykładem, w którym *affluent society* otwiera drogę nowym społecznym antagonizmom, ponieważ występują tu czynniki uboczne, działające katalizująco, których brak mógłby zwolnić i ostudzić temperaturę procesu[1]. Niemniej, na skutek zaawansowanej techniki i cywilizacji, powodujących upowszechnienie dobrobytu na miarę dotychczas niespotykaną, Stany Zjednoczone znalazły się w czołówce rewolucyjnego konfliktu, który wymaga zdefiniowania.

Istnieje w Stanach Zjednoczonych znaczna, w cyfrach bezwzględnych, liczba rodzin, która żyje poniżej pewnego ustalonego minimalnego poziomu materialnego, począwszy od którego, klasyfikuje się tzw. amerykańską biedę. Bieda ta albo czasem nędza jest rzeczywistością, nie zaś wymysłem liberalnej prasy, jak podejrzewają niektórzy, poddającym się reakcyjnym frustracjom przybysze ze Wschodniej Europy. Nie trzeba też nadmiernie kłopotać się odmiennymi standartami „biedy", która inaczej wygląda w krajach demokracji ludowych, inaczej — w ZSSR, a jeszcze inaczej w krajach arabskiego Wschodu lub Czarnej Afryki. Trzeba zapomnieć raz na zawsze o tych egzotycznych standartach. Tutejsza bieda w relacji amerykańskiej jest jak najbardziej autentyczna, choć oczywiście *slums*'y w New Yorku różnią się od rudery w Tomaszowie Mazowieckim lub w Grójcu.

Choć ustalenie ilości rodzin, które z rozmaitych powodów żyją w USA w niedostatku, korzystając z pomocy społecznej, nie jest łatwe, dla celów niniejszego artykułu ścisłe dane nie są potrzebne. Wystarczy stwierdzić to, na co się wszyscy godzą, że liczba ich nie przekracza 10 % rodzin, a zatem, że liczba rodzin amerykańskich, żyjących dostatnio stanowi znaczną większość i przypuszczalnie rosnąć będzie dalej. W miarę jednak wzrostu zamożności, niebo amerykańskiego i w ogóle zachodnio-europejskiego kapitalistycznego *establishment* nie będzie się rozjaśniać lecz przeciwnie — zaciemniać, zaś przesłanki fermentu rewolucyjnego będą się wzmagać. Nie ma w tym, niestety, żadnego paradoksu, ale zwykłe reguły społecznego rozwoju. Tyle tylko, że zaczynają one inaczej działać po przekroczeniu pewnego progu w rozwoju cywilizacji materialnej.

1. Wieloetniczność i wielorasowość Ludności U.S.A.

Rewolucja amerykańska, jak każda rewolucja, powinna mieć swoich teoretyków, strategów i propagandystów. Niestety, nie ma ich. Na skutek tego rewolucja rozwija się po ciemku. Nie mam na myśli publiczności, która z reguły bywa ciemna i przeważnie wiwatuje lub protestuje w najbardziej nieodpowiednich momentach. Chodzi o samych rewolucjonistów, którzy robią swą rewolucję po omacku. Jak jednak wynikać będzie z dalszych ustępów niniejszej pracy, rzecz jest do tego stopnia trudna i bezprecedensowa, tak uboga w nauki historii, że winić ich za to nadmiernie nie można.

W krajach o rozmaitego typu ustrojach, w których ludzie wciąż jeszcze z lekka albo całkiem nie dojadają i którzy z tego powodu trzymani są przez odpowiednie rządy w należytej dyscyplinie i respekcie dla czynników kierowniczych, stosunek między władzą a ludnością układa się tradycyjnie według pewnych utartych wzorów. Ludność czasem siedzi cicho jak mysz pod miotłą, czasem w miarę możliwości klnie. W pewnych sytuacjach traci cierpliwość i dopuszcza się rebelii, czego rezultatem bywa umiarkowana panika z obydwu stron. Ze strony władz — że widocznie przeciągnęły strunę, skoro lud się zbuntował. Ze strony zbuntowanych — to samo, ponieważ ci ostatni z reguły przeceniają siłę i stabilność władzy. W obecnym amerykańskim *affluent society* uległy wszystkie te wzory zachwianiu.

Jednym, ale nie jedynym źródłem, z którego wyrasta konflikt między pewną częścią młodego pokolenia klasy średniej oraz pokaźną liczbą intelektualistów z jednej strony a istniejącym porządkiem społecznym — z drugiej, jest to, że potrzeby materialne ludzi mają swe określone granice i w najbliższych latach w niektórych krajach będą zaspokojone, natomiast pragnienia władzy — czyli panowania lub kontrolowania działalności innych, nie mają granic i nigdy nie będą zaspokojone. *To nie jest treścią obecnego konfliktu,* ale jedną z jego ważnych sprężyn, które często mogą działać poza obrębem świadomości ludzkiej. Jest rzeczą oczywistą, że człowiek, który dąży jedynie do poprawy swego materialnego bytu, może osiągnąć pewien stan optymalny w postaci jednego lub dwóch, samochodów, własnej willi i atrakcyjnych wakacji. Wprawdzie w obrębie tych spraw apetyt rośnie w czasie jedzenia, ale rośnie tylko do pewnych granic. Potem występuje nuda i przesyt.

Inaczej jeśli chodzi o ambicje władzy. Nie zna ona granic. Poucza nas o tym historia. Wiemy, że o wpływy i władzę ludzie walczą i walczyli znacznie bezwzględniej i okrutniej niż o chleb i o wygody życiowe. Ponieważ w państwach kapitalistycznych ten sam pieniądz służy zarówno zdobywaniu korzyści materialnych jak i osobistej potęgi, dywersyfikacja pragnień bywa często za-

ciemniana. Niemniej łatwo rozpoznać aktualną rolę jednych i drugich bodźców. W praktyce materialnie zaawansowanych społeczeństw, o których mowa, mają doniosłe znaczenie. Średnio zarabiający robotnik amerykański, na którego rodzinę przypada przeciętnie półtora samochodu, bardzo wygodne, wielopokojowe mieszkanie lub własny domek, TV, itd.; który spędził 15 czy 20 lat w swej fabryce lub przedsiębiorstwie, może jeszcze o tym i owym zamarzyć, ale właściwie to zdobył wszystko, co mu potrzebne do wygodnego życia. Reklama radiowa i telewizyjna, która bez przerwy proponuje nowe artykuły ułatwiające i tak łatwe życie, znalazła się już w ślepej ulicy absurdu. W tej sytuacji, jeżeli zbieranie pieniędzy dla samej radości zbierania, co jest kolosalną przyjemnością dla wielu, nie wystarcza, to nie ma już właściwie żadnych bodźców, żeby pracować więcej i wydajniej. Jeśli dobrze zarabiający robotnik amerykański domaga się podwyżki, a rzeczywiście się domaga, to przyczyny są zgoła różne od tych, które działały ileś tam lat temu w okresie prawidłowej walki klasowej. Po pierwsze, jeśli strajk organizuje Związek, to często dlatego, żeby wzmocnić wagę organizacji i przeciwstawić swój autorytet kapitalistom lub instytucjom publicznym. W tym wypadku stawką jest konkurencja dwóch ośrodków władzy. Nie twierdzę, że taki charakter mają wszystkie strajki w Ameryce. Ale dużo i coraz więcej jest właśnie takich strajków. Od kilku lat np. odbywa się w New Yorku licytacja strajków między pracownikami miasta — policjantami, strażakami, i robotnikami zakładu oczyszczania miasta. We wszystkich tych kategoriach służb płaca miesięczna kształtuje się średnio powyżej 1000 dolarów. Jeśli jednak pierwsi dostaną więcej, to muszą dostać więcej i drudzy. W przeciwnym razie cierpi prestiż. I pracowników i organizacji związkowych. W rezultacie, jeśli chodzi o robotników przemysłowych szeregu gałęzi reprezentowanych przez potężne organizacje zawodowe, to wzrost realnych płac wcale nie wpłynął na podniesienie wydajności ich pracy. Przeciwnie. Towary amerykańskie nie są już tak dobre jak niegdyś. Jakość ich znacznie się obniżyła. Produkcja niektórych artykułów w USA jest nieopłacalna i taniej jest sprowadzać je zza granicy. Bodźce do pracy słabną. W ten sposób na skutek krańcowo odmiennych przyczyn, obserwujemy w swych skutkach zjawisko zbliżone do tego, które występuje w krajach komunistycznych. Tam nie opłaca się robotnikowi wysilać, bo płace są marne. Tu pracuje coraz gorzej, bo zarabia się tyle, że nie warto mu się już starać, aby zarobić więcej. Oczywiście do tego, żeby końcowe efekty były identyczne jeszcze bardzo daleko.

Skutki ekonomiczne kryzysu bodźców materialnych w zaawansowanych państwach kapitalistycznych nie są jednak wcale naj-

ważniejsze. Znacznie donioślejsze dla przyszłości tych krajów są efekty społeczne. Rosnącemu kryzysowi bodźców wielomilionowej masy robotników amerykańskich nie odpowiada analogiczny kryzys w warstwie średnich i większych przedsiębiorców. Przyczyny są zrozumiałe i odpowiadają różnemu zużytkowaniu środków finansowych, które zdobywa robotnik i inwestor. Ten drugi — poza tym, że zwiększa swe wygody i osobisty komfort, żyje w innym wymiarze pragnień. Akumulacja kapitału rozszerza jego władzę. Dlatego atrofia bodźców mu nie grozi. Oczywiście podział między jedną a drugą kategorią nie jest ostro zarysowany. Mnóstwo może być form pośrednich. Niemniej generalne kryteria podziału są jasne.

Ta klasyfikacja obejmuje tylko jeden sektor amerykańskiego społeczeństwa, związanego głównie z produkcją, częściowo zaś z niektórymi kategoriami usług. Poza wymienioną kategorią ludzi istnieje oczywiście milionowa rzesza obywateli Stanów, którym kryzys bodźców nie grozi, ponieważ ich praca ma dla nich swój własny urok. Należą do niej nauczyciele, artyści, lekarze, naukowcy, pisarze, pracownicy społeczni i duchowni. U nich bodźce materialne w pracy też odgrywały i odgrywają niebłahą rolę, ale ani nie jedyną, ani nie najważniejszą. Liczba tych ludzi jest pokaźna i znacznie większa niż w innych krajach, na skutek rozbudowanych w Stanach Zjednoczonych usług. Nie umniejszam więc roli tej wielomilionowej masy związanej z produkcją tylko albo pośrednio albo wcale, natomiast wskazuję na potęgujący się zanik bodźców w tym kręgu ludności, która ze względu na swą funkcję społeczną — produkcję — pełni kluczową rolę w Państwie. Bez względu bowiem na jego ustrój — komunistyczny czy kapitalistyczny — podstawowym zadaniem współczesnego Państwa jest zabezpieczenie wytwórczości towarowej, łączności, transportu i komunikacji, a więc we wszystkich tych działach, w których istnieje omawiany przeze mnie problem atrofii bodźców.

Robotnik amerykański jest przeciętnie człowiekiem w średnim wieku, należącym w stratyfikacji społecznej Ameryki do średniej klasy. Jego pragnienia nie są ani wygórowane ani ekstrawaganckie. Wszystko jest w nim doskonale zrównoważone. Żyje w wytworzonym od dziesiątków lat świecie obyczajów, w które wrósł głęboko. Nie ma aktualnie czynników, które by mogły u niego wywołać bunt, ponieważ „zubożenia" swego życia, które w ogóle jest kategorią bardzo względną, bynajmniej nie odczuwa. Świadomość braku bodźców do zdobywania jakichś nowych niesprecyzowanych wartości nie może stać się czynnikiem psującym harmonię duchową, ani tym mniej zachęcić go do rebelii. Zresztą gdyby w drodze refleksji stwierdził nieatrakcyjność swej cieplarnianej sytości, którą daje mu kapitalistyczny *establishment,* to

do kogo właściwie miałby adresować swe żale? Przecież Państwo nie jest organizatorem osobistego szczęścia. Z tym każdy musi sobie radzić indywidualnie. W urzędzie tego nie załatwią. Dlatego warstwa średnia, z której materialny dostatek uczynił właściwie główną „ofiarę" obecnego ustroju, wcale nie jest skłonna do buntu. Przeciwnie, jest jego główną siłą zachowawczą. Nasiona rewolucji kiełkują i rozwijają się w innych środowiskach, choć socjalnie wywodzących się lub należących do klasy średniej.

◆

Ludzie młodzi, intelektualiści wszystkich zawodów, duchowni oraz mieszkańcy Stanów Zjednoczonych o nieuregulowanej pozycji społecznej, którzy sami nie doświadczyli na sobie obezwładniających skutków materialnego przesytu amerykańskiej warstwy średniej, znajdują racje do totalnej negacji obecnego ustroju. Być może właśnie dlatego, że nie stali się „ofiarami *affluent society*", zachowali postawę obserwatorów. Te właśnie środowiska w większości reprezentujące roczniki młode, ale nie najmłodsze, znają działanie dobrobytu i wiedzą, że w klasie średniej, do której należą, łatwo go osiągnąć. Ale ta perspektywa bynajmniej ich nie pociąga. Mają przed sobą wizerunek środowiska, które przypomina akwarium o uregulowanej temperaturze i wiedzą, że cechą jego jest statyczność i zachowawczość. Nie przeszli przez proces powolnej adaptacji wiodącej do stabilizacji życiowej i doskonałej równowagi pragnień i osiągnięć. To, przed czym się bronią i przed czym uchronić chcą siebie i świat, nazywają „materialistycznym zubożeniem życia", „dehumanizacją", „pustką ideową" itp. Ponieważ kryteria oceny tego co jest „zubożeniem życia", a co nie — są bardzo chwiejne, należy sądzić, że w swych ocenach posługują się wymiennie raz kryteriami moralnymi, w innych zaś wypadkach — estetycznymi. W sumie wydaje się, że charakterystyka ta jest swoistego rodzaju eufemizmem. To czego bowiem nie stwierdza się wyraźnie — to zjawisko atrofii bodźców społecznych, która obejmuje znaczną liczbę mieszkańców tego kraju. Oczywiście młodsze pokolenie mniej zmumifikowane od człowieka związanego od wielu lat ze swym warsztatem pracy, jest bardziej biologicznie wrażliwe i obawia się po prostu przesytu materialnego, który pogrąży je w bezruchu i nudzie. Odczuwa te niebezpieczeństwa lepiej, ale nie oznacza to wcale, że je rozumie. Świadczy o tym spontaniczność reakcji i kompletne bałamuctwo haseł głoszonych przez rebeliantów z Lewicy.

Nuda lub też obawa przed inwazją nudy jako sprężyną ruchów społecznych zakrawać może na fantastykę. Z drugiej strony na cały problem wypada spojrzeć inaczej, jeśli się zważy, że ludz-

kość nigdy dotychczas nie osiągnęła takiego stopnia wygody i materialnego dostatku jaki zapanował w niektórych zaawansowanych krajach kapitalistycznych. Jeśli w niektórych z nich istnieją jeszcze wyspy nędzy, to nie są one rezultatem wyzysku ze strony możnych tego świata. Dlatego „nuda", która była dotychczas wyłącznie fenomenem psychicznym i kategorią towarzyską, musi znaleźć inną wersję znaczeniową, odpowiadającą jej funkcji społecznej. Ściśle biorąc, nuda w klasyfikacji socjalnej jest również pewnym „niedostatkiem". Niedostatkiem bodźców, których przez tysiące lat dostarczała ludzkości walka o byt, awans społeczny i władzę.

Lista oskarżeń pod adresem *establishment,* które głoszą rebelianci, jest tak oczywistym odwróceniem istoty kryzysu, który przeżywa współczesny kapitalizm, że cała rzecz wymaga zastanowienia. Nie chodzi oczywiście o wojnę w Wietnamie, bo ta sprawa łączy nie tylko rewolucyjną lewicę ale znaczny odłam społeczeństwa. Dla totalnych przeciwników systemu jest tylko koniunkturalną amunicją, która prawdopodobnie rychło się wyczerpie. Natomiast ważne są inne oskarżenia pod adresem amerykańskiego systemu, któremu zarzuca się: 1) Dążenie do faszyzacji kraju poprzez wszechobejmującą kontrolę policji i F.B.I. 2) Okrucieństwa i brutalne represje wobec Lewicy. 3) Tłumienie wolnej myśli. 4) Nieprzeciwdziałanie rosnącej nędzy. 5) Prześladowania mniejszości etnicznych. Nie jest moim zamiarem polemika z wymienionymi oskarżeniami, bo nie miałoby to żadnego sensu. Chodzi raczej o wykazanie genealogii fałszów, których codzienne rozpowszechnianie doprowadza do takiej kolizji z realiami, że nabiera chwilami cech groteski[2].

Otóż wydaje mi się, że jednym z ważnych powodów, dla których Nowa Lewica nie przedstawia rzeczywistych sprzeczności drążących obecny system, jest nie tyle nieznajomość ich źródeł, ale przede wszystkim nieoczekiwany w tego typu środowiskach konserwatyzm i ciasnota, które ciążą na rewolucyjnej diagnostyce. Neo-lewicowcy posługują się, niestety, pewnym schematem rewolucji. A jakiż to „rewolucjonista" może ukazywać źródła rozsadzającego kapitalizm konfliktu w nadmiernej wydajności eksploatatorskiego systemu? Potępiając jego skutki, musiałby uznać jego historyczną rolę w zabezpieczeniu dobrobytu i to bynajmniej

2. Np. pewne ośrodki lewicowe wydają tzw. prasę podziemną. Prasa podziemna ma wtedy sens, jeśli istnieją ograniczenia cenzuralne. Ponieważ w Ameryce ich nie ma — „podziemna prasa" jest nonsensem. Chodzi o stworzenie zmitologizowanej rewolucji, która, z wyłączeniem terroru, może odbywać się w tym kraju najzupełniej legalnie. „Podziemna prasa" jest zresztą specjalnością Czarnej Lewicy, której członkowie rozmiłowani są w akcesoriach i obrzędowym charakterze rewolucji.

nie tylko wyzyskiwaczy, ale i wyzyskiwanych, żyjących w krajach Zachodu. Czy może on sobie na to pozwolić w sytuacji, gdy przytłaczająca większość ludzkości żyje w niedostatku lub cierpi nędzę? Taka forma potępienia kapitalistycznego *establishment,* która ukazałaby o nim prawdę, jest dla „Nowej Lewicy" Zachodu nie do przyjęcia. To, co dla nich byłoby racją potępienia systemu, u innych — tych żyjących w trzecim świecie, mogłoby wywołać karygodny, z punktu widzenia perspektyw historycznych, zachwyt. Ponieważ jednak głodni i niedożywieni nie dbają o perspektywy, ale o swe żołądki, rewolucjonista amerykański jest skazany na ideologiczny niedowład. Nie jest w stanie pewnych rzeczy uznać, a być może i dojrzeć, bo osłabiłoby to rewolucyjną siłę i atrakcyjność głoszonych przez niego ideałów. Rewolucjonista musi być przecież obrońcą uciśnionych, a nie — znudzonych. W poszukiwaniu „mas", które mają wstrząsnąć starym porządkiem, zgodnie ze starymi receptami, szuka ich wszędzie. Ponieważ nie ma ich w dostatecznej liczbie w krajach kapitalistycznego Zachodu, stara się stworzyć ich fikcje, a gdy ta zawodzi, popada w rozpacz i frustrację. Nie przychodzi mu do głowy, że siłami napędowymi nowych rewolucji nie muszą być koniecznie masy i że przez to „jego" rewolucja nie będzie „gorsza" od tamtych opisanych na kartach historii. Wizja ataku na Bastylię i zdobycia Pałacu Zimowego przez wzburzony plebs, przeciwstawiający się tyranii, stanowi, niestety, zbyt ciężki balast dla jego imaginacji, która przykuta do starych romantycznych wzorów, nie może rozwinąć skrzydeł.

U rewolucjonistów amerykańskich istnieją jeszcze dodatkowe racje odwoływania się do haseł walki klasowej. Stanowi je specyfika rasowa Stanów z procentową znacznie większą liczbą rodzin biednych (w standartach amerykańskich) wśród kolorowych niż wśród ludności pochodzenia europejskiego. Do niej właśnie Nowa Lewica adresuje przede wszystkim swoje apele, nawołujące do walki z nędzą i eksploatacją. Ta właśnie grupa ludności ma stanowić substytut trzeciego świata w Ameryce. Niestety, jest to substytut bardzo niewystarczający, bo żyjący już w zupełnie innych wymiarach materialnego standartu. Z tego, a również z innego powodu apele Nowej Lewicy nie mają należytego oddźwięku. Między innymi dlatego, że choć znaczna część kolorowej ludności Stanów nie jest bynajmniej głucha na hasła walki z *establishment,* jej radykalne skrzydło uważa, że Afro-Amerykanie mają własne rachunki z białym kapitalizmem. Z tej przyczyny mieszkańcy nowojorskiego Harlemu, którzy nie godzą się z konserwatywnym czarnym politykiem, zawsze go wysłuchają. Natomiast z białym ekstremistą mogą się zgadzać, ale po jego choćby najbardziej ultraradykalnym wystąpieniu, istnieje duże prawdopodo-

bieństwo, że opuści on Harlem w karetce pogotowia. To są zasadnicze przyczyny, dla których Nowa Lewica na Zachodzie, a w Stanach Zjednoczonych w szczególności, znalazła się w stanie absolutnego politycznego zablokowania. Nie mogąc stworzyć własnej ideologii i własnego programu, oddającego głęboki sens obecnego kryzysu, sięgnęła do lamusa haseł marksistowsko-maoistowskich. Te, o ograniczonej w krajach Zachodu sile mobilizującej, niczego w istocie nie wyjaśniają, natomiast swym emocjonalnym ładunkiem potrafią wiele spraw skutecznie zaciemnić.

Rezultatem tego mogą być groźne dla przyszłości świata i Ameryki konsekwencje. Tam bowiem, gdzie istnieją rzeczywiste, a nie urojone problemy, których ośrodki społecznej i politycznej myśli nie są w stanie rozwiązać, rosnące antagonizmy mają naturalną tendencję do rozładowywania się na innych drogach. W sytuacjach, w których, z jednej strony, struktura socjalna państwa nie stwarza dla najbardziej biologicznie aktywnych grup ludności dostatecznych bodźców do zdobywania materialnego i społecznego awansu i gdy, z drugiej — brak programu politycznego z wizją lepszego ustroju uniemożliwia organizację opozycji, zaczynają dochodzić do głosu instynkty, będące potężniejszymi motywami ludzkich działań niż wszelkie racje.

◆

Obecny obraz społeczeństwa amerykańskiego jest różnobarwnym panoptikum licznych ludzkich emocji. Wiele z nich odgrywa rolę pozytywną, łagodząc istniejące napięcie. Niczego to wprawdzie nie załatwia, ale daje przynajmniej krótką chwilę oddechu, odwlekając moment konfrontacji. Chcę natomiast zastanowić się po krótce nad seksualizmem i potężniejącymi instynktami agresji. Te ostatnie stają się w Stanach Zjednoczonych normą życia dla coraz liczniejszych środowisk. Agresja i kult gwałtu stają się substytutem ideologii.

Wzmożony seksualizm, który wywołuje zgorszenie w konserwatywnych sferach społeczeństwa, jest, z jednej strony, skutecznym rozładowaniem pragnień, które przełamują wszelkie hamulce i ograniczenia, narzucone przez moralność i obyczaje społeczeństwa. Z drugiej zaś — ekshibicjonizm Lewicy — a raczej jej biologicznie najżywotniejszego pokolenia, jest oczywiście formą buntu i to stosunkowo najbezpieczniejszego dla obydwu stron: buntowników i *establishment*. Ponieważ w jakiejś mierze rozładowuje instynkty gwałtu, stanowi pewną klapę bezpieczeństwa chroniącą system. Niestety, rola seksualizmu jest ograniczona, ponieważ gwałt przez swoją powszechność i nasilenie staje się rzeczywitą groźbą rozsadzającą zwolna porządek społeczny. Poza

tym pozbywa się on pozorów ideowych, skoro niektórzy filozofowie Lewicy otwarcie głoszą kult gwałtu, nadając mu rangę samodzielnej cnoty, którą trzeba praktykować dla niej samej. Jest to oczywisty dowód, że poszczególni „myśliciele" skrajnej Lewicy postanowili dać spokój z myśleniem albo przynajmniej udzielić sobie z tego ciężkiego obowiązku długich wakacji. Oczywiście wakacji płatnych, ponieważ niektórzy filozofowie Lewicy zachowują nadal swe uniwersyteckie stanowiska.

Praktycy i ideolodzy gwałtu znajdą, jeśli zechcą bez trudu uzasadnienie tego nowego kultu skoro koniec końcem wojna, jako praktyka załatwiania międzynarodowych konfliktów, nie jest niczym innym jak zinstytucjonalizowanym gwałtem. Ale w całej tej sprawie chodzi przecież o coś innego. Nie o to, że gwałt jest instrumentem, przy pomocy którego łamie się przeszkody na drodze do stworzenia lepszego porządku społecznego w miejsce obecnego, ale o to, że wypiera on i staje się substytutem myśli ideowej. Że zaś instynkty są trwalsze i silniejsze niż te, które zdołała w ciągu kilku tysięcy lat wytworzyć nasza kultura — nie ma, niestety wątpliwości[3].

W okresie przedhistorycznym instynkt agresji manifestował się wyłącznie chęcią fizycznego zniszczenia konkurenta w walce o byt. W epoce zbiorowości zorganizowanych polegał przede wszystkim na ograniczeniu wolności jednych na rzecz — rozszerzenia jej u drugich. „Wolność" w moralistycznej wykładni współczesnych wychowawców i społeczników jest obwarowywana licznymi zastrzeżeniami. Przeważnie powiada się, że twoja „wolność" kończy się tam, gdzie zaczyna się „wolność" twojego bliźniego. W potocznym znaczeniu oznaczać to może wyciszanie

3. Wątpiącym wypada przytoczyć krótki ustęp z książki wybitnego angielskiego zoologa Desmonda Morrisa pt.: „Naga małpa", który zresztą korzysta w tym wypadku z odkryć i uderzających w swej prostocie i prawdzie teorii południowo-afrykańskiego zoologa i antropologa, Raymunda Darta. W ustępie na str. 39 Desmond pisze: „Rozwój naszego umysłu daje nam coraz większe cywilizacyjne korzyści, ale kiedykolwiek dochodzi do konfliktu między naszymi biologicznymi bodźcami a kulturą, te pierwsze stanowią nieprzeparty mur. Podstawowe cechy ludzkich zachowań ukształtowały się w toku długiego procesu ewolucyjnego we wczesnych dniach prehistorii, gdy przedczłowiek odbywał polowania. Gdyby nasz ówczesny tryb życia — nasze odżywianie, nasz strach, nasz instynkt agresji, nasze życie seksualne, nasza miłość macierzyńska, były wyłącznie produktem naszej kultury, moglibyśmy niewątpliwie poddać je skuteczniejszej kontroli i rozumniej korzystać z dobrodziejstw cywilizacji. Niestety, nie możemy tego uczynić. Nasze zwierzęce instynkty biorą w nas górę. Gdybyśmy byli wobec siebie samych uczciwi, przyznalibyśmy, że okres ich opanowania musi trwać miliony lat. Miliony bowiem lat trwał proces zmian genetycznych w wyniku praw ewolucji i doboru naturalnego, który w nas te instynkty utrwalił". („The Naked Ape" by Desmond Morris. McGraw-Hill Book Comp., New York).

radia lub telewizji po godzinie 10-ej, aby nie zakłócać snu sąsiadów. To jest przypadek prosty i niekwestionowany. Rzecz zaczyna się komplikować, gdy podobnego upomnienia z wysokości autorytetu udziela taki czy inny urząd, twierdząc np., że nadużywaniem wolności jest urządzanie demonstracji pod oknami władzy. Problem komplikuje się dlatego, że władza nie broni w tym wypadku swej osobistej, całkiem prywatnej, wolności, ale wolności kontrolowania innych czyli sprawowania rządów. W ten sposób widać jasno jak dalece „wolność" — w sensie jak najszerszym (włączając w to wolność kierowania innymi) staje się przywilejem niemożliwym do obdzielenia wszystkich. Z tego też zapewne powodu żadna władza nigdy nie przyzna się do tego, że sprawuje ją w imieniu własnym. Zawsze w imieniu cudzym. W dawnych wiekach monarchowie twierdzili, że czynią to z mandatu boskiego, przyjmując tytuł pomazańców bożych. Wraz z postępującą laicyzacją rządy sprawuje się obecnie w imieniu ludu, który władzę wybiera albo — nie wybiera.

Ostatnio na przykładzie najbardziej zaawansowanych państw kapitalistycznych Zachodu okazuje się jedna oczywista a zarazem niezmiernie przykra prawda. Że jakkolwiek trudno jest rządzić głodnymi i zniewolonymi, to jeszcze trudniej jest kierować sytymi i wolnymi (wolnymi — do pewnych granic oczywiście). Ci właśnie potrafią buntować się najsrożej. Właśnie dlatego, że są syci i że wolno im się buntować. Występują z pasją i nienawiścią przeciwko władzy, przeciwko porządkowi społecznemu i nawet przeciwko tym, którzy ich nienawiści nie podzielają. Ich bunt, z którym na razie *establishment* daje sobie wciąż jeszcze radę, ze względu na izolowane ogniska rebelii, może w perspektywie nadchodzących lat, przy wzrastającej liczbie rebeliantów, zachwiać porządkiem społecznym. Żeby amerykański system zabezpieczyć bez ograniczenia istniejących swobód, trzeba by stworzyć w nim całkiem nieznane dotychczas wartości, któreby spełniały rolę bodźców społecznych w obrębie amerykańskiej struktury socjalnej. W ten sposób czynniki potęgującej się agresji, w których wyraża się negacja ustroju, zamieniłyby się w elementy konstruktywne. Ponieważ ten ostatni postulat brzmi jak bajka o żelaznym wilku, należy, odsunąwszy na bok marzenia, zająć się realiami.

1. Wartości, o których wspominałem, nikt nie zna i nikt ich nie sformułował poza nic nieznaczącymi ogólnikami. Gdyby nawet zostały zdefiniowane przez jakiś areopag amerykańskich czy nie amerykańskich mędrców, sama recepta niewiele by jeszcze pomogła, bo tego typu wartości muszą być produktem rekonstrukcji całego społeczeństwa. W tym wypadku cała przypuszczalnie struktura społeczna i ekonomiczna nowoczesnego kapitalizmu musiałaby ulec przebudowaniu od góry do dołu.

2. Tego rodzaju przebudowa z wielu względów jest bardzo trudna, a obecnie zupełnie niemożliwa, ponieważ Stany Zjednoczone i cały świat zachodni nie żyją w międzynarodowej próżni.

3. ZSSR główny przeciwnik Stanów obserwuje zmiany, które mogą wstrząsnąć podwalinami społecznymi tego państwa nie tylko z wielką uwagą, ale z niewątpliwym zadowoleniem. Chociaż komuniści sowieccy są w ogóle ciężkimi uczniami w socjologii, cieszą się, że perspektywa kierowania sytymi i wolnymi im nie grozi, a ich zapóźnienie w produkcji dóbr konsumpcyjnych w stosunku do Zachodu martwi ich już znacznie mniej. Z drugiej strony, gdyby Stany Zjednoczone zdecydowały się na jakąś śmiałą przebudowę swego ustroju, w toku tego procesu nastąpiłoby prawdopodobnie gwałtowne osłabienie ich potencjału obronnego, bez względu na posiadany arsenał zbrojeniowy.

4. Na razie procent rebeliantów, chcących obalić istniejący system, jest niewielki w stosunku do reszty ludności. Ponieważ proporcje te mogą się zmieniać na korzyść rzeczników przewrotu, gwaranci istniejącej struktury mogą uznać, że najlepszą drogą jest chwytanie byka za rogi, póki byk jest młody i ma rogi słabe. Innymi słowy, jeżeli trudno jest rządzić sytymi i wolnymi, to trzeba te wolności nieco ograniczyć. A jeżeli i to nie pomoże, zaostrzyć nieco restrykcje. W ten sposób proces regresu historycznego może zyskać na kapitalistycznym Zachodzie i w jego czołowym przedstawicielu — Stanach poważne szanse.

Może, ale nie musi. Albowiem część amerykańskich konserwatystów, mających głos w sprawach Państwa, jest rzeczywiście głęboko przywiązana do tradycyjnych swobód gwarantowanych Deklaracją Praw i Konstytucją. Senatorzy amerykańscy i większość członków obecnego Sądu Najwyższego, którzy dali już niejednokrotnie dowody pryncypialności, mogą okazać się ludźmi niezachwianymi. Jeśli zgodzą się na uczynienie wyłomu w tradycyjnej amerykańskiej wolności po to, aby dosięgnąć jej wrogów, poniosą w istocie moralną klęskę. I nie tylko moralną. Podważą demokratyczny fundament porządku społecznego, który pragną zachować. Dlatego może się zdarzyć, że nigdy nie przystaną na to, żeby zniszczyć przeciwnika jego własną bronią.

Zbigniew BYRSKI

Październik, 1971

Sprawy i troski

Australia

Historycy, którzy w nie tak dalekiej przyszłości będą chłodno i naukowo analizować dzieje polskiej emigracji w Australii po drugiej wojnie światowej, niewątpliwie stwierdzą następujące fakty: że tylko znikoma część przybyłych tu Polaków interesowała się polityką emigracyjną; że polska prasa tutejsza była czytana przez mniej niż dziesięć procent osiadłych tu imigrantów i nie tyle odzwierciedlała opinię publiczną ile próbowała ją tworzyć; że raczej przypadkowi — bo przecież nie wybrani w normalnym procesie elekcyjnym — kierownicy polityczni i społeczni głosili poglądy, które często okazywały się bądź to oderwanymi od rzeczywistości lub przestarzałymi już teoriami, bądź też były braniem własnych pragnień za rzeczywistość, czyli klasycznym *wishful thinking*. O ile chodzi o to ostatnie zjawisko, to trzeba stwierdzić że nie był to grzech ani typowo emigrancki ni wyłącznie polski — albowiem iluzjom *wishful thinking* poddawali się po ostatniej wojnie także mężowie stanu potężnych państw po obu stronach obecnie mocno już zardzewiałej żelaznej kurtyny. Tu jednak można zauważyć, że nawet głowy wielkich mocarstw, aczkolwiek lepiej poinformowane i mające możność wpływania na bieg historii, rzadko miały odwagę snuć plany tak dalekosiężne jak niektórzy z naszych przywódców i komentatorów politycznych na emigracji.

W czerpaniu informacji o Polakach w Australii po wojnie 1939-45 wydatną pomocą i jednym z podstawowych źródeł będą roczniki polskiej prasy, której periodyki zaczęły ukazywać się w formie prymitywnej jeszcze przed zakończeniem działań zbrojnych. Przegląd tych gazet na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat pozwala już teraz na wyciągnięcie wniosków o pewnych aspektach życia polskiego w Australii. Niniejszy artykuł oparty jest na takim przeglądzie: dlatego znajdą się w nim niektóre nie wzięte w cudzysłów wypowiedzi i opinie naszych miejscowych osobistości politycznych i społeczników.

Aczkolwiek do Australii przybyło dotychczas ponad 85 tysięcy Polaków, to jednak zaledwie około 5 tysięcy okazało zainteresowanie dla działalności politycznej, społecznej i publicystycznej na tutejszym terenie. Zainteresowanie często pasywne i raczej deklaratywne niż aktywne poparcie. Pozostałe 80 tysięcy, acz nie odżegnują się od polskości, to masa pod względem politycznym obojętna, skoncentrowana nad sprawami czysto osobistymi. Składające się na tę masę jednostki nie należą do związków, nie przychodzą na akademie, nie myślą nawet o posyłaniu dzieci do polskiej szkoły. Nic więc dziwnego w tym że w ciągu dwóch dekad takie nikłe były rezultaty aktywności małej grupy złożonej bądź to z idealistów lub też z jednostek mających ambicje przewodzenia. O ile chodzi w szczególności o brak zainteresowania działalnością polityczną, to do stronienia od niej większości tutejszego społeczeństwa przyczynił się w niemałym stopniu tzw. rozłam londyński, którego wyniki — w formie wzajemnie zwalczających się frakcji — na tutejszym terenie dały się zauważyć już w 1954 i stworzyły między innymi pierwszy podkop pod autorytetem Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii oraz pod autorytetem państwa emigracyjnego z kilkunastoma partiami politycznymi i z przeżytymi formami działania.

W konsekwencji, na zebraniach organizacji politycznych, społecznych i kombatanckich frekwencja była i jest słaba. Nie należy do wyjątków fakt, że na jednym z walnych zebrań pewnego związku polskiego w jednym z południowych stanów federalnych na stu jedenastu członków zjawiło się piętnaście osób z których ponadto część wstrzymała się od głosowania, tak że wyboru władz związku dokonano ilością 8-10 osób. Na walnym zebraniu innego związku zjawiło się 26 członków z których wyłoniono nowy zarząd osiemnastoosobowy. Na tysiące Polaków mieszkających w Sydney i okolicy — na placu w celu wzięcia udziału w pochodzie i w manifestacjach zorganizowanych przez Narody Ujarzmione — zjawił się jeden Polak. To nie są wypadki odosobnione. W takich warunkach nie należy dziwić się gdy ludzie mają wątpliwości co do reprezentatywności wybranych władz organizacyjnych. Zdarza się też, że członkowie jakiejś organizacji po prostu nie wiedzą kto nimi kieruje. Ten brak zainteresowania nawet wśród własnych członków jest objawem normalnym we wszystkich prawie zrzeszeniach. Nie jest to objaw bezpodstawny w wypadku gdy kierownictwo organizacji składa się z ludzi, którzy nie potrafią wzbudzić należytego entuzjazmu wśród członków; gdy na czele stoją jednostki bez pozytywnego programu, lub gdy zamiast wytknięcia celów działania sypie się pustymi sloganami nie opartymi na faktach i będących bardzo często obrazą inteligencji słuchaczy. Szczególnie gdy pretendujący do wodzostwa panowie utożsamiają swoje prywatne poglądy z opinią grupy.

Poza tym da się zanotować przerost organizacyjny, oparty na niechęci do wszelkiego kompromisu, albo może spowodowany tym że w jednym związku jest miejsce tylko na jednego pre-

zesa i powiedzmy dwóch wiceprezesów — podczas gdy kandydatów na honory jest więcej. Na przykład w samym jeno Melburnie w roku 1962 naliczono 46 organizacji polskich. I od tego czasu niewiele się poprawiło. Zdawałoby się, że w rezultacie takie małe, prawie jednokomórkowe zrzeszonka i związeczki powinny przynajmniej działać sprawie i być jednolite i zgodne — ale tak nie jest; i tu mamy skłócone koterie, niekiedy składające się z kilku osób, lecz takich które szum potrafią zrobić za tysiące, szczególnie gdy mają dostęp do jednej z redakcji niepodległościowych lub — to już też tu mamy — do periodyku, który z braku lepszej nazwy można określić delikatnie jako „pro-ludowy".

Brak zainteresowania w społeczeństwie oraz mała ilość członków powodują, że w większości organizacji obowiązek pracy spada od lat na te same osoby, które permanentnie pełnią te same funkcje i zresztą zazdrośnie strzegą swoich papierowych honorów i tytułów dających tym przeważnie zdeklasowanym inteligentom iluzję ich dawnej pozycji społecznej, wojskowej czy urzędowej. Rezultatem, poza retencją złudnej godności, jest przemęczenie fizyczne i nerwowe tych jednostek do których kwalifikacji oprócz umiejętności schlebiania, całowania rączek i prawienia fałszywych komplementów potrzebne jest też żelazne zdrowie, wyjątkowa gruboskórność oraz umiejętność znoszenia pogardy i szyderstwa. Ale nawet tzw. stalowa wytrzymałość ma swój punkt załamania lub korozji, tym bardziej u osób już nie młodych, steranych wojną, przeciążonych wziętym na siebie dodatkowym wysiłkiem po pracy zarobkowej, zmęczonych troskami spowodowanymi najczęściej przez zawiść kolegów i tak zwanych przyjaciół. Żaden z tych emigracyjnych liderów nie przybył tu jako młodzieniec i teraz, po dwudziestu latach, po prostu zbliżają się do kresu swego aktywnego życia. Z drugiej strony jest mocno prawdopodobne, że właśnie te złudne godności i związana z nimi praca utrzymuje ich przy życiu; że odstawieni na zieloną trawkę szybko by się wykończyli, fizycznie i umysłowo. W każdym razie ilość ataków serca wśród inteligencji jest zastanawiająca.

Większość tych prezesów, groszowych skarbników i referentów prasowych zdaje sobie sprawę że ich koniec jest niedaleki. Jest zatem naturalne i zrozumiałe, że chcieliby jednak, nim odejdą, zabezpieczyć nawet te nikłe rezultaty swojej harówki, przekazać swoje funkcje i funkcyjki komuś który by kontynuował ich zadanie. Bo nie można im odmówić swego rodzaju idealizmu, cechującego ich pomimo pogoni za wątpliwymi zaszczytami i pomimo niekiedy aż rażącej naiwności politycznej.

I tu dochodzimy do problemu młodzieżowego, do zadania stworzenia kadr z jakich można by czerpać materiał na potencjalnych przywódców po śmierci obecnych kierowników uchodźtwa. Na miejsce starych, zmęczonych i zużytych mają wejść młodzi, których trzeba zatem natchnąć duchem narodowym i patriotycznym. Sęk w tym, że ci młodzi nie pchają się do pracy

społecznej i nie rozumieją polityki emigracyjnej starszego pokolenia. Ci młodzieńcy i te panny tu się urodzili, tu zostali wychowani i ich związanie z polskością już od lat było bardzo luźne. Gdy to były jeszcze dzieci pod dominacją rodziców można było kazać im pójść do polskiej szkółki lub od czasu do czasu dla dekoracji jakiejś akademii ubrać je w ten strój ludowy i zaprowadzić na jakieś przedstawienie, uroczystość lub zebranie. Lecz to było dziesięć lat temu. Obecnie te krakowiaczki i góralczyki to są brodaci młodzieńcy australijscy, których ciekawi krykiet, ale nie Sabbat. Obecnie — i to jest raczej reguła a nie wyjątek — ta młodzież płci obojga ma śmiałość przeciwstawiać się rodzicom i nie pozwala narzucać sobie obowiązków — lub tematów — oderwanych od realiów życia w południowej hemisferze, uwarunkowanych australijskim otoczeniem, takimż wychowaniem, rodzajem otrzymanego tu wykształcenia, widokami na przyszłość i nawet klimatem — ale nie faktem że tata jest imigrantem i wciąż tytułuje się kapitanem, co przy jego zadyszce brzmi trochę groteskowo. Tych młodych na pewno nie obchodzi lansowany ostatnio projekt przyszłego sojuszu byłych państw byłej *wschodniej* Europy, które ktoś chciałby nie wiadomo jak i kiedy skupić w jakiejś federacji politycznej *środkowo*-europejskiej. Ani nie ciekawi tych młodych ojcowska mrzonka o „Międzymorzu" od Szczecina do Jałty czy Odessy — jeszcze jeden z tych objawów emigracyjnej *Grosspolitik*. Gdy przed laty, w szkołach sobotnich karmiono tych młodych rozcieńczonymi, dosłownie dziecinnymi dawkami patriotyzmu, to wielu i tak nie rozumiało połowy tego co się do nich mówiło — lecz musieli słuchać, bo tatuś kazał. Teraz sytuacja się zmieniła i nikt nie może ich przekonać że powinni wzbudzić w sobie sentyment do państwa o którym ich rodzice — gdy myślą że nikt ich nie słyszy — opowiadają nieprzyjemne rzeczy: jak tam źle z aprowizacją skoro firmy paczkowe w Australii wciąż na tym ładnie zarabiają, jak tam prześladują religię i jak nie pozwalają na wolność słowa. Jeżeli taka rodzicielska rozmowa odbywa się w języku polskim to tylko nieliczni młodzi ją zrozumieją — z prostej przyczyny: gdy przestali uczęszczać do szkółki sobotniej szybko zapomnieli czego się tam nauczyli... jeżeli się nauczyli. Wolą zatem mówić po angielsku i nic w tym dziwnego, bo ten język znają dobrze, bo polski, to dla nich język nieswojski jeżeli nie wręcz obcy.

A gdy nawet — bo są oczywiście i tacy — rozumieją jako tako co się do nich mówi po polsku to zniechęcają się szybko gdy wciąż słyszą w domu te jałowe dyskusje starszych. Nic zdumiewającego że w tych warunkach asymilacja postępuje dwutorowo: przez atrakcję wywieraną przez media australijskie i przez świadome unikanie starszego środowiska polskiego z jego neurozami, abstrakcjami i — nazwijmy rzecz po imieniu — z jego nudą.

Tak wygląda beznadziejna walka z asymilacją. Beznadziejna — bo starsi emigranci nie chcą czy nie potrafią zrozumieć, że

młodzieży polskiej urodzonej czy wyrosłej w Australii nie można karmić werbalizmem lub koncepcjami politycznymi opartymi na dalekiej i nie tak świetlanej przeszłości położonego na innej półkuli państwa, które ich rodzice mogą najwyżej odwiedzić aby przez dwa miesiące udawać milionerów i bogatych wujaszków, lecz w którym to kraju ciż rodzice nie chcieliby żyć. Z bardzo więc nielicznymi wyjątkami dzieci urodzone i wychowane w Australii są z góry stracone dla „politycznej polskości", aczkolwiek teoretycznie służą niektórym domorosłym mężom stanu jako statystyczny argument w kawiarnianych dyskusjach lub w listach do redakcji, które na emigracji są wentylem bezpieczeństwa i uniwersalnym lekarstwem na dolegliwości duchowe.

Podczas gdy proces wynaradawiania się postępuje szybko i bezwzględnie, szkoły sobotnie nadal wegetują, ale ilość nowych uczniów i uczennic zmniejsza się wydatnie — albowiem drugie pokolenie emigracyjne nie kwapi się tak bardzo do posyłania tam swoich dzieci. Już nie mówi się o setkach, jak przed dekadą. Czasami nie mówi się nawet o tuzinach. I nawet najbardziej zaślepieni fanatycy szkolnictwa narodowego na emigracji wolą nie myśleć o tym jak to będzie w trzecim pokoleniu.

W wyniku, te szkoły — dookoła których robi się nieproporcjonalny szum — okazują się często słomianym ogniem i prowadzona przez nie, czasem z prawdziwym poświęceniem, walka z asymilacją jest walką ze straconych pozycji. Poza tym, i tym szkołom brak poparcia ze strony społeczeństwa. Skazane są na dobrowolne, *ad hoc* ofiarowane datki zebrane fragmentarycznie wśród tych pięciu tysięcy zainteresowanych — podczas gdy u pozostałych 80 tysięcy nastawienie do szkolnictwa polskiego jest obojętne, niechętne lub wręcz wrogie. Także domowe wychowanie nie daje poważnych wyników. Rodzice nie potrafią wywołać w dzieciach entuzjazmu dla historii ojczystej, bo sami mają zbyt mało wiadomości do przekazania; bo składają się przeważnie z żyjących w nieznanym przedtem dobrobycie ludzi prostych. Procent inteligentów jest mały i oni zresztą nie zawsze są najlepsi. Jest wśród nich znaczny odsetek Australijczyków z Kołomyi, czyli pozujących na Anglosasów.

Nawet tak zwani entuzjaści polskiego szkolnictwa są nimi więcej w słowie niż w czynie: Ludzie, którzy mogli sobie pozwolić w ciągu dwóch lat stracić 175 tysięcy dolarów przy maszynach hazardowych w jednym z klubów polskich często oburzają się gdy ich poprosić aby ruszyli kabzą, aby opodatkowali się na Polską Macierz Szkolną.

Istnieją domy polskie w których dzieci nie znają ani jednego słowa polskiego, bo rodzice zamiast posługiwać się znośnym językiem ojczystym wolą mówić między sobą w kiepskiej angielszczyźnie z fatalnym akcentem, czym wywołują u własnych dzieci uczucie śmieszności lub też pogardy. W tym kontekście nie jest przypadkiem, że w 1971 zaproszenie na pewien bal kombatantów zostało wydrukowane całkowicie po angielsku, tak samo jak zaproszenie na uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego w jednym centrum sportowym. A znany tygodnik od czasu do czasu drukuje komunikaty ledwo dyszącego miejscowego związku młodzieży polskiej w dwóch językach — jednak z tekstu wynika, że wersja polska jest tłumaczeniem z angielskiego a nie *vice versa.*

Czyli znów wracamy do problemu: Czy w tych warunkach znajdą się wśród tej zbuntowanej młodzieży kandydaci na potencjalnych przywódców i kontynuatorzy działalności politycznej ojców. Odpowiedź jest łatwa i negatywna i obecni przywódcy, których przeciętny wiek waha się około 65 wiosen wiedzą o tym dobrze, choć wolą o tym nie pisać i nawet nie mówić. Lecz jako ludzie inteligentni zdają sobie sprawę, że z ich odejściem emigracja polityczna może szybko przekształcić się w Polonię Australijską. Wiedzą o tym także w Warszawie i chyba już wydali placówkom konsularnym instrukcje przygotowania gruntu na taką ewentualność. To nie jest zgadywanie — albowiem istnieje już w Australii grupa polskich społeczników, skłaniających się do współpracy z konsulatem: spotkania i przyjęcia odbywają się już otwarcie. Wkrótce ma być otwarta ambasada polska w Kanberze i są podstawy do przypuszczenia, że aktywność Warszawy w kierunku utworzenia Polonii Australijskiej będzie wtedy uintensywniona. Pytanie brzmi: jak może temu przeciwdziałać Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii, instytucja o bardzo imponującej nazwie, która jednak do roku 1970 była więcej dekoracyjna niż skuteczna; której prezydium nie posiada statutowego prawa nadzoru nad działalnością organizacji członkowskich; która jak dotychczas ograniczała się do uchwalania uroczystych rezolucji odkładanych prawie od razu *ad acta;* która pewnego razu zorganizowała zjazd ekonomiczny na którym nie mówiono o sprawach ekonomicznych; która po dziś dzień nie może zdecydować się czy stać po stronie londyńskiego „Zamku", czy stawiać bez reszty na „Radę Trzech", czy też anglosaskim systemem wleźć na płotek i czekać co będzie dalej. Zresztą, Rada Naczelna też już jest stara. Kto ją zastąpi?

Bo to jest fakt: Stara gwardia emigracyjna stoi przed wymarciem, kończy się w podskokach, skręca się jak ryba na piasku, nie widzi kandydatów na jej następców. A gdy rzeczywistość jest beznadziejna, ucieczka w krainę fantazji jest jedynym ratunkiem przed całkowitym załamaniem. Tu więc natykamy się na ten ciekawy fenomem psychologiczny, ucieczki od rzeczywistości.

Ludzie już nie młodzi, życiowo doświadczeni, osoby przeważnie inteligentne i nawet wykształcone — nagle wykazują objawy całkowitego oderwania się od logicznego rozumowania, jakiegoś politycznego somnambulizmu: zaczynają na nowo snuć wielkie plany, z wzmożonym zapałem kłócić się o interpretację jakiejś przeżytej ustawy, rozdawać ordery na lewo i na prawo, mianować ministrów pełnomocnych i delegatów na tę daleką Australię, bawić się w komórki legalistów i „partyjników", odwoływać się do dawno zapomnianych incydentów które na gwałt podnosi się do rangi precedensów historycznych. Na nowo odgrzewa się

dawno wystygłe i skwaśniałe programy polityczne, rozpoczyna się „pertraktacje" i wyraża się niezłomną nadzieję, że teraz — po osiemnastu latach! — można będzie nareszcie przystąpić do opracowania wytycznych dla planu zjednoczenia wszystkich starców pod jednym „bratnim" sztandarem. Dla dodania sobie otuchy nagle określa się jako „młodą generację" ludzi, którzy dzieciństwo i lata nauki przeżyli w międzywojennej Polsce, czyli młodzieńców, którzy już sześćdziesiątki na oczy nie zobaczą. Aby uzupełnić luki może — jak to uczyniono w Anglii — zacznie się do australijskich związków kombatanckich przyjmować kobiety i młodzież, która nigdy w ręku karabinu nie miała i — co za *uderstatement!* — ma pewne „trudności z językiem polskim".

Lecz czas jest nieubłagany, a samozłuda jest krótkotrwała. Ludzie wartościowi umierają i nikt ich nie zastępuje, bo nie ma komu. Niektóre komórki organizacyjne są po prostu likwidowane gdy siedemdziesięcioletni kierownik nie wraca ze szpitala i na jego miejsce nie można znaleźć innego starca. Zużywają się też ludzie pióra, co ujawnia się w zwiększonej ilości przedruków w tygodnikach.

Działalność kulturalna i socjalna coraz bardziej upodabnia się do płycizny australijskiej. A w tak zwanym „życiu" politycznym mocno już przygarbieni panowie bawią się w partyjne komórki do wynajęcia, ignorują fakty, tolerują fikcje i czekają na śmierć.

Adam NASIELSKI

"POLONIA"

NOWA KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.
Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej *KULTURY* i *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Kronika kulturalna

Wspomnienie o Janie Świdzie

W nocy z 6 na 7 czerwca 1971 roku zmarł nagle w samotnym pokoiku emigracyjnym w Niemczech na zawał serca śp. Jan Świda. Ostatnich kilkanaście lat swojego życia Jan Świda pracował w polskich oddziałach wartowniczych. Najpierw we Francji, gdzie na stanowisku odpowiadającemu majorowi wojsk amerykańskich był oficerem łącznikowym z władzami francuskimi i oficerem do spraw prawnych, a następnie od kilku lat, po przeorganizowaniu oddziałów wartowniczych i przeniesieniu ich całkowicie do Niemiec, pracował w południowych Niemczech na etacie i pensji podoficera amerykańskiego — zajmując się sprawami prawnymi i oświatowymi polskich oddziałów wartowniczych w Niemczech. Znaleziono go martwego pod wieczór w poniedziałek 7 czerwca gdy nie stawił się do pracy.

Jan Świda pochodził ze starej rodziny polskiej herbu Grabie, osiedlonej od kilku stuleci na Białorusi. Gałąź rodziny z której pochodził, przeszła na kalwinizm za panowania Zygmunta Augusta i jest jedną z niewielu rodzin polskich kalwińskich, które zostały nimi dotychczas. Zresztą od szeregu pokoleń, zwyczajem było w rodzinie Świdów, że żenili się z katoliczkami; córki były wychowywane jako katoliczki a synowie podtrzymywali tradycję kalwińską. Urodzony w roku 1908, skończył wydział prawa uniwersytetu warszawskiego w roku 1931 i od razu jako młody magister praw poświęcił się karierze naukowej. Doktorat prawa, jaki uzyskał na tym uniwersytecie, uważany był za jeden z najlepszych doktoratów w ostatnich latach przed wojną nadanych na wydziale prawa warszawskim. Był równocześnie do wojny starszym asystentem profesora Lutostańskiego przy katedrze prawa cywilnego, przewodniczącego polskiej komisji kodyfikacyjnej. Brał bardzo żywy udział w jej pracach. Był równocześnie jednym z doradców prokuratorii generalnej, do spraw cywilnych. Wojna zastała go gdy przygotowywał się do habilitacji przy katedrze prawa cywilnego.

Znalazł się we Francji wczesną jesienią 1939 roku, po opusz-

czeniu Polski po najeździe ziem wschodnich przez wojska sowieckie. Po ukończeniu podchorążówki piechoty w Coëtquidan, przydzielony został do 2-ej dywizji piechoty strzelców pieszych, w której walkach brał udział i z bronią w ręku przekroczył granicę szwajcarską razem z dywizją w końcu czerwca 1940 roku. Odznaczony Krzyżem Walecznych i francuskim Croix de Guerre.

W Szwajcarii, po zorganizowaniu obozów uniwersyteckich, dr Świda, plutonowy podchorąży, został opiekunem i kierownikiem studiów żołnierzy którzy rozpoczynali lub kontynuowali studia prawnicze na uniwersytecie fryburskim, a, równocześnie zdaje się w jesieni 1943 roku habilitował się uzyskując tytuł docenta prawa prywatnego szwajcarskiego na uniwersytecie fryburskim.

Po zajęciu Francji przez wojska alianckie przedostał się do Francji, przydzielony został do obozu zbornego wojsk polskich w Lille pod dowództwem najpierw francuskim a następnie brytyjskim. Następnie, po zorganizowaniu z funduszy 2-go Korpusu, polskiego Instytutu Naukowego w Belgii, został kierownikiem i opiekunem polskiej młodzieży uniwersyteckiej studiującej prawo na uniwersytetach belgijskich, która rekrutowała się w znacznej części z żołnierzy Armii Krajowej. Po demobilizacji, a równocześnie w okresie wyczerpywania się funduszy 2-go Korpusu, wstąpił do polskich oddziałów wartowniczych na terenie Francji, o czym była powyżej mowa, a następnie przeniesiony został do Niemiec.

Jan Świda był człowiekiem bezkompromisowym. Nigdy nie brał pod uwagę możności powrotu do Kraju w warunkach Polski niewolnej. Odrzucił kilka razy zaofiarowywane mu stanowisko profesora prawa na wydziale prawa w Warszawie, a bodajże również i w Łodzi. Gdy natomiast na kilka lat przed śmiercią zwrócił się do uniwersytetu warszawskiego by otrzymać poświadczenie stanu pracy na tym uniwersytecie, które potrzebne mu było dla przedstawienia władzom amerykańskim w związku z możliwościami uzyskania, i w tym wypadku rozszerzenia, praw emerytalnych, otrzymał odpowiedź odmowną, że „zaświadczenie takie wydane mu być nie może".

Umarł jak żył, przez ostatnich kilkadziesiąt lat swego życia, samotny i oddany wyłącznie pracy społecznej dla dobra żołnierzy oddziałów wartowniczych.

Od Magadanu do Monachium

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE O WANDZIE BROŃSKIEJ)

Parafrazując obozowy wiersz poety rosyjskiego Zabołockiego można by powiedzieć, że przed wielu laty „gdzieś pod Magadanem, w dali śnieżnej" chodziła do najświetniejszego uniwersytetu im. Stalina: rąbała las na budowy socjalizmu. Córka wybitnego rewolucjonisty polskiego z SDKPiL, Władysława Brońskiego towarzysza Lenina, współtwórcy rewolucji bolszewickiej, pierwszego posła Rosji rewolucyjnej we Wiedniu, Wanda Brońska przeszła rozmaite koleje życia zanim dopadła ją zdradziecka choroba — i w ciągu kilku miesięcy powaliła śmiertelnie. Nie chce się wprost w to uwierzyć, bo ta kobieta jakby z piekła była rodem. Witalna, jurna, rubaszna — jakby z kamienia ciosana — odporna była na wszystkie dole i niedole, jakich jej życie nie poskąpiło.

Świat ujrzała na emigracji szwajcarskiej; Lenin stał nieraz u jej kolebki i bawił się z dzieckiem towarzysza. Później wędrowała za ojcem i matką, również rewolucjonistką. Najpierw owym pociągiem, którym ojciec wraz z Leninem przejechał ze Szwajcarii przez Niemcy do Petrogradu, aby rozwalić młodą, nieudolną demokrację rosyjską i zaszczepić nowy ład. Potem były: Warszawa, Wiedeń, Berlin i Moskwa.

Tutaj młodą dziennikarkę komunistyczną aresztowano jako córkę „wroga narodu". Przeszła różne etapy zsyłki stalinowskiej, powiła gdzieś po drodze córkę, którą jej zaraz odebrano i oddano dopiero po wielu, wielu latach, już po wojnie. Odcięta od rodziców, którzy zniknęli na zawsze w innych obozach, znalazła się w Magadanie. Tam przeżyła sześć lat katorgi, ciężkich robót leśnych, upokorzeń i znęcań — znanych dziś dobrze z „Jednego dnia w życiu Iwana Denisowicza" Sołżenicyna. Poprzez obóz poznała sens stalinowskiego systemu, przez obozową mieszaninę ludów — system więzienia narodów, zwanego oficjalnie „Związkiem Sowieckim".

Z obozu wyciągnął ją Bolesław Bierut. Po odkarmieniu posłano ją na pracę informacyjno-publicystyczną do Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie. Tu odnalazła przyjaciela z lat szkolnych — niemieckiego socjalistę Bernarda Pampucha. Pobrali się, i z tego małżeństwa urodziła się para bliźniaków: Ewa i Tomasz — dziś już dorośli ludzie.

Rozprawa stalinowców z Gomułką w 1948 roku przyspieszyła powzięcie ostatecznej decyzji zerwania z sowietyzmem. Odtąd rozpoczął się dla niej nowy etap publicystyki: pisała komentarze, najpierw w *Die Neue Zeitung* pod pseudonimem Alfred Burmeister, następnie w *Socjalisticzeskim Wiestniku* w Nowym Jorku i wreszcie — aż do śmierci — w *Süddeutsche Zeitung*. Współpracowała z *Kulturą*, z którą była zaprzyjaźniona. Dużo tłumaczyła z języka polskiego (m.in. prace Leszka Kołakowskiego) popularyzując literaturę polską w Niemczech*.

Wielkim przeżyciem ostatnich lat było spotkanie z inną kobietą, która była córką sprawcy śmierci jej rodziców i jej własnej magadańskiej tragedii, ze Swietlaną Stalin. Wyniknęła z tego spotkania trwała przyjaźń.

* Opublikowała książki: *Polen zwischen Hoffnung und Verweiflung* (1958), *Ohne mass und Ende* (1963).

Mimo przejść obozowych i zagłady rodziców — nie była ślepą antykomunistką, ale socjalistką z otwartą głową i otwartym sercem. I chyba dlatego nie lubiano jej ani w Moskwie ani w Warszawie.

Teraz wszystko już jest skończone. I tych kilka słów wspomnienia o tej niezwykłej kobiecie można chyba zakończyć jeszcze jedną parafrazą byłego więźnia łagrów — poety Zabołockiego: „Już się w ręce straży nie dostanie — nigdy nie dopadną jej pogonie".

Bohdan OSADCZUK

Piętnaście "Jesieni"

Spośród całej masy muzycznych festiwali, jakie rok rocznie odbywają się na polskich estradach, zupełnie wyjątkową pozycję i wartość reprezentuje Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej *Warszawska Jesień*. Myślę, że z okazji małego jubileuszu, odbyła się bowiem ubiegłego roku piętnasta *Jesień*, warto zastanowić się nieco nad tym, co do muzycznej kultury narodowej wniósł ten Festiwal i jakie wartości decydują o jego międzynarodowej randze.

Gdyby porównać aktualny stan polskiej muzyki z międzywojennym dwudziestoleciem, doszlibyśmy do wniosku, że dziś sytuacja przedstawia się zgoła odmiennie, niż przed wojną. Mieliśmy wówczas całą masę liczących się w świecie, sławnych wirtuozów i tylko jednego wybitnego, w skali nie tylko narodowej kompozytora, Karola Szymanowskiego, dziś odtwórstwo polskie prezentuje się mizernie, twórczość zaś zyskała podziw i uznanie wykraczające daleko poza granice Polski. Ta ogromna kariera polskiej twórczości muzycznej budzi podziw tym większy, że nie towarzyszyły jej w kraju specjalnie sprzyjające warunki.

W historii narodowej kultury pierwsze powojenne dziesięciolecie zapisało się szczególnie czarnymi zgłoskami. Bardziej śmiałe zamierzenia twórcze groziły — podobnie jak w Rosji lat trzydziestych i czterdziestych — poważnymi konsekwencjami, szykanami, a nawet wyizolowaniem ze społeczeństwa. Muzyka znalazła się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Był to okres chyba najbardziej burzliwej i brzemiennej w skutki rewolucji w świecie dźwięków, jaki zna historia muzyki. Odbywała się ona na skutek absolutnej niemal separacji i izolacji kulturalnej pomiędzy Wschodem, a Zachodem niestety zupełnie bez udziału Polaków. Do kraju docierały jedynie sporadycznie mętne wieści o pośmiertnym triumfie Antona Weberna, karierze serializmu,

dźwiękowych odkryciach Messiaena; o zjawiskach, które w latach czterdziestych i pięćdziesiątych stanowiły treść owych muzycznych, radykalnych zmian. Obawę przed skutkami poznania „zgniłej sztuki zachodniej" posunięto w Polsce tak dalece, że twórczość Bartoka i Strawińskiego znana była jedynie — a i to fragmentarycznie — bardzo wąskiemu kręgowi wtajemniczonych. Wydać się to może Czytelnikowi nieprawdopodobne, lecz utwory stanowiące dziś zamierzchłą „klasykę" XX wieku jak „Pierrot Lunaire" lub „Wozzeck" były w Polsce tego okresu nieznane literalnie nikomu, tytuły te stanowiły pustą abstrakcję. Policyjna dbałość o „czystość" socjalistycznej sztuki spowodowała, że dla kompozytorów pracujących w kraju, wzorami warsztatowymi ciągle była twórczość Szymanowskiego i międzywojenny, ogólnoeuropejski kierunek zwany neoklasycyzmem, znany w dodatku w kraju w bardzo niewielkim stopniu. Niezbyt bezpieczną rzeczą było pisanie muzyki „bez treści". Stąd owe tytuły dzieł kompozytorów polskich jak „Pieśń o pokoju", „Kantata żniwna" itp. Swojego rodzaju kompromisem stało się stylizowanie folkloru — tu wszechwładny Sokorski, pomimo stosowania przez kompozytorów „formalistycznych" — to znaczy sprzed dwudziestu, trzydziestu lat — środków warsztatowych przymykał oczy. Wystarczało napisać „Kantatę o Stalinie", by zostać laureatem nagród państwowych. Do dziś zimno się robi, gdy wspomina się ten dziesięcioletni okres.

Rok 1956 stworzył złudzenie, ukazał miraż wolności. Skorzystali z niego również muzycy organizując, a właściwie improwizując I Festiwal Muzyki Współczesnej *Warszawską Jesień*. „Pękła bania" z muzyką. Po latach muzycznej wstrzemięźliwości publiczność, kompozytorzy, teoretycy, muzykolodzy zaczęli gwałtownie nadrabiać lata zaniedbań w muzycznej erudycji. Pierwsza *Warszawska Jesień* stała się zarazem pierwszą żywą lekcją dźwiękowej rzeczywistości. Zaczęto usuwać wieloletnie zaniedbania w muzycznej edukacji, tajemnicą przestał być Bartok i Strawiński, poznawać zaczęto twórczość Schönberga i Berga, bardziej doświadczeni i chłonni zabrali się do studiowania dźwiękowych aforyzmów Weberna. Do Polski przyjeżdżać zaczęli zagraniczni kompozytorzy i teoretycy nowej muzyki, przywożone przez nich partytury, płyty i taśmy stały się bezcennym materiałem dla naszych twórców. Szybkość, z jaką muzyka polska otrząsnęła się z narzuconego siłą analfabetyzmu minionego dziesięciolecia budzić musi niekłamany podziw. W przeciągu nieprawdopodobnie krótkiego czasu publiczność usunęła luki dotychczasowego muzycznego wykształcenia, z równą swadą, co w muzyce klasycyzmu lub romantyzmu obracać poczęła się we współczesnym repertuarze, kompozytorzy zaś nie tylko nadrobili wieloletnie opóźnienia, lecz chłonąc z gorliwością neofity wszelkie nowości dźwiękowe, przyswajając sobie skomplikowaną problematykę nowego warsztatu kompozytorskiego, nierzadko przestali się kontentować wyrównaniem szeregów z czołówką kompozytorów europejskich — niektórzy wyprzedzili ową czołową szeroką grupę, stanęli w

szeregach przodującej awangardy. To było pierwsze osiągnięcie warszawskiego Festiwalu: nadrobienie opóźnień i nawiązanie ścisłego kontaktu z muzyką europejską. Staliśmy się jej równorzędnym co najmniej partnerem.

Gdy w ciągu pierwszych festiwali usunięto tę wstydliwą lukę w muzycznym wykształceniu Polaków, zaczęto realizować podstawowe założenie Festiwalu. Przestała wystarczać tak publiczności, jak i zawodowym muzykom tzw. „klasyka współczesności", *Warszawskie Jesienie* przekształciły się w żywe seminarium tego, co aktualnie dzieje się w światowej muzyce. Warszawskie estrady stały się areną niezliczonej ilości dźwiękowych doświadczeń, szokujących eksperymentów, radykalnych poszukiwań nowego tworzywa, krzyżowały się tu przeróżne kierunki, tendencje i style, filozofie i doktryny estetyczne. Ta kuchnia nowoczesności fascynowała i wciągała w swą orbitę coraz szerszą liczbę obserwatorów: melomanów i muzyków. Namiętne dyskusje, kontrowersyjne oceny, gwałtowne reakcje sali, oklaski towarzyszące spontanicznym gwizdom, kuluarowe sprzeczki kompozytorów o niejednakowych koncepcjach twórczych, polemiki, spotkania, towarzyszące *Jesieniom* wykłady zagranicznych gości stały się bogatym w twórczy ferment zaczynem, z którego wyrosnąć miała kilka lat później nowa polska muzyka.

Warszawa rychło stała się miejscem spotkań twórców wszystkich narodów, to tu zbudowany został intelektualny pomost pomiędzy Zachodem, a Wschodem. Polska była bowiem pierwszym w socjalistycznym bloku krajem gdzie można było demonstrować najnowszą sztukę. Podczas *Warszawskich Jesieni* wiele skorzystali kompozytorzy węgierscy, czescy i bułgarscy — zaczęli oni, podobnie jak kilka lat temu wcześniej Polacy — adoptować nowy warsztat twórczy, a przede wszystkim pojęli psychologię nowej sztuki.

W czasach, gdy *Warszawskie Jesienie* osiągnęły już wysoką rangę w światowej hierarchii imprez muzycznych, muzyka sowiecka ciągle nie mogła zerwać pęt, narzuconych jej przed dwudziestu przeszło laty przez partię i Stalina. Nieśmiałe próby komponowania nie według reguł osławionego realizmu socjalistycznego, próbowanie nowych rozwiązań technicznych spotykało się w Rosji z represjami dużo poważniejszymi niż w Polsce. Opublikowanie recenzji nowego utworu, w której krytyk powiedziałby o użyciu przez kompozytora np. techniki dwunastotonowej, konsekwencjami równało się jeszcze 10-12 lat temu politycznemu donosowi. Wiadomo, jakie bywały rezultaty. Kontakty muzyków sowieckich z Polakami i Zachodem w czasie trwania *Warszawskich Jesieni* ograniczały się początkowo do wizyt wielkich zespołów symfonicznych z Moskwy i Leningradu, które demonstrowały muzykę Prokofiewa (na ogół z ostatniego, moskiewskiego okresu twórczości, a więc najmniej ciekawą), Szostakowicza, Kabalewskiego, a nawet Czajkowskiego. Stopniowo, wraz z nieznaczną „odwilżą" u naszych wschodnich sąsiadów, kontakty stawały się bardziej osobiste, powiedziałbym: kameralne. Do Warszawy

zaczęli przyjeżdżać studenci i młodzi, ambitni kompozytorzy — stali się oni pilnymi uczniami warszawskiej akademii nowoczesności. Poznawali nowe kierunki, techniki, możliwości, nieznany materiał, przesiąkać pomału poczęli „europejskością". Był to oczywiście proces nieunikniony, stać musiało się to wcześniej, czy później, megalomanią też byłoby twierdzić, że nowe kierunki muzyczne, jakie torować sobie zaczęły stopniowo drogę w Rosji Sowieckiej, to wyłączna zasługa *Jesieni*. Wydaje się jednak, że Festiwal warszawski znacznie przyspieszył uzdrawiający sztukę proces w innych krajach socjalizmu. A to chyba bardzo wiele.

Muzykom polskim *Warszawskie Jesienie* dostarczyły nie tylko możliwości „podglądania" i przyswajania sobie nowego języka, lecz również okazji do prezentowania najnowszych utworów. Można było na bieżąco konfrontować dokonania twórców obcych z polskimi, czynić analizy i porównania. Kompozytorzy polscy dzięki *Jesieniom* zapewniony mieli artystyczny start w doborowym, międzynarodowym towarzystwie. Nie trzeba dodawać jak niezmiernie istotny jest to czynnik w rozwoju współczesnego twórcy. Warszawa stała się dorocznym miejscem spotkań wszystkich, których łączy coś z nową muzyką, przyjeżdżają tu kompozytorzy, wykonawcy, impresariowie, krytycy, teoretycy. Nawiązanie osobistych, często przyjacielskich kontaktów z tymi ludźmi zapewniło naszym twórcom tak trudne przecież do osiągnięcia zagraniczne debiuty, stało się kolejnym stopniem do osiągnięcia wysokiej światowej pozycji.

Napisałem już, że najnowsze prądy muzyczne padły w Polsce na grunt niesłychanie podatny i chłonny. Już dziesięć lat temu o polskiej muzyce pisał gość *Warszawskiej Jesieni*, J. Heinz z NRF:

„Znajdujemy w Polsce muzyczną awangardę, która w radości eksperymentowania i odwadze poszukiwań nie pozostaje w tyle za Zachodem. I co najważniejsze — posługuje się nowymi technikami bez wpadania w wygodne naśladownictwo i modny konformizm. Zdumiewająco szybko młoda polska muzyka osiągnęła wysoki stopień pewności siebie i duchową niezależność".

Tegoż roku wyjątkowo trafnie — jak sądzę — scharakteryzował polską muzykę jeden z krytyków amerykańskich:

„W ciągu ostatnich pięciu, czy sześciu lat kilku polskich kompozytorów młodszego i średniego pokolenia zdołało się tak bardzo wybić, że już światowa opinia publiczna zwróciła na nich uwagę. Ten w pewnym sensie zdumiewający fakt daje się łatwiej zrozumieć, jeżeli sobie uświadomimy, że Polska, mimo, że nie może się poszczycić nieprzerwaną ciągłością tradycji muzycznych, może jednak bazować na muzykalności swego narodu. Jest rzeczą zadziwiającą, a w pewnym sensie nawet zdumiewającą, że całkowity zwrot, jaki ostatnio w polskiej muzyce nastąpił, jest wynikiem nowych powiązań: częściowo z wiedeńską szkołą atonalną, a częściowo z najmłodszym pokoleniem w Europie Zachodniej. Dzięki tym kontaktom powstało kilka całkiem

oryginalnych utworów, które nie tylko zachęcają do dokładniejszego zajęcia się nimi, ale wręcz tego wymagają. Powstała sytuacja której być może nikt nie zdołał przewidzieć: Polacy dostrzegli w nowym świetle i przefiltrowali na słowiańską modłę owoce — historycznie biorąc — później, jak gdyby jesiennej sytuacji, jaką znajdujemy w muzyce Schönberga, Berga i Weberna oraz w muzyce Bouleza i Stockhausena, i wytworzyli całkiem nowe wartości muzyczne o odrębnej, w całej rozciągłości polskiej, słowiańskiej formie wyrazu".

Słowa te oczywiście nie mogą znaleźć zastosowania do stanu aktualnego, dziesięć lat w rozwoju współczesnej sztuki to ogromny odcinek czasu, wiernie jednak oddają istotę muzyki polskiej u progu jej wielkiej kariery w początku lat sześćdziesiątych. Mam wrażenie zresztą, że muzyka polska poradziłaby sobie świetnie również bez *Warszawskich Jesieni*, talenty z prawdziwego zdarzenia zawsze bowiem znajdą swój język twórczy, rzecz w tym, że *Jesień* w kapitalny sposób przyspieszyła dojrzewanie tych talentów i ułatwiła im międzynarodowy start.

Z czystym sumieniem powiedzieć można, że blisko sto procent naszych kompozytorów pierwsze kroki stawiało na warszawskiej estradzie podczas trwania *Jesieni*. Panderecki, Górecki, Kilar, Szalonek, Meyer, Rudziński, Sikorski, Bloch, Twardowski — to „dzieci" warszawskiego Festiwalu. *Warszawska Jesień* wywarła ogromny wpływ na twórcze postawy kompozytorów nieco starszych: Lutosławskiego, Bairda, Serockiego.

Te niepodważalne korzyści, jakie muzyka nie tylko polska zawdzięcza *Jesieniom*, od wielu lat nie chcą trafić do przekonania krajowym władcom kultury. Biuro festiwalowe rok rocznie borykać musi się z poważnymi kłopotami i przeciwnościami w organizowaniu kolejnych festiwali. Wiadomo, że impreza taka jak *Warszawska Jesień* nie może przynosić dochodu, że trzeba ją dofinansowywać. Czyni to w Polsce państwo, wyznacza ono budżet, by w trakcie zaawansowanych prac organizacyjnych bez powodu okrawać go o znaczne sumy. Przeżyliśmy kilka lat temu okres, kiedy na najwyższych szczeblach partyjnych i rządowych dyskutowano o celowości finansowania tego rodzaju festiwali, kiedy dopatrywano się wręcz wrogiej szkodliwości w nowej muzyce — zwyciężyło bezkompromisowe, zdecydowane stanowisko Zarządu Związku Kompozytorów Polskich, energia i entuzjazm nikłej, lecz odważnej grupy ludzi: Festiwal doczekał się jubileuszu piętnastolecia. Dziś znowu czarne chmury zbierają się nad *Warszawskimi Jesieniami*, pod znakiem zapytania stoi kolejny, szesnasty festiwal. Wiadomo, iż Polska jest krajem ubogim, którego jednak cechą charakterystyczną jest rozrzutność i beztroskie marnotrawstwo. Są rzeczy których lekceważyć i marnotrawić nie wolno — do nich należy kultura narodu. Kto wie zresztą, czy dyskutowana obecnie likwidacja *Jesieni* jest bezmyślnością, czy działaniem zamierzonym? Przecież koszty *Warszawskich Jesieni* nie są tak bardzo wygórowane, nie można ich nawet porównywać z sumami jakie trwoni się co roku na ponad sto amatorskich festiwali i konkursów muzyki rozrywkowej, nie mówiąc już o kosztach, jakie pochłonie koszmarne Opole lub jeszcze straszniejszy Sopot.

Poza tym, partyjni dygnitarze z KC, którzy decydują w Polsce o wszystkim, swoje potrzeby kulturalne — pomimo kierowania Wydziałami Kultury — zaspakajają piosenkami rodem z Opola i Sopotu, a nie muzyką Pendereckiego i Lutosławskiego. W Polsce nie należy się dziwić doprawdy niczemu.

Jerzy KOWALSKI

Scando-Slavica

Ukazujące się od kilkunastu lat *Scando-Slavica* są czasopismem naukowym patronowanym łącznie przez ministerstwa oświaty i instytucje naukowe duńskie, fińskie, norweskie i szwedzkie. Pismo drukowane jest w Danii, redaktorem jest Szwed, prof. Gunnar Jacobsson z Göteborga.

W wydanym ostatnio t. XVII-ym opublikowano dwie cenne rozprawy z historii literatury polskiej: Joachima T. Baera o wpływie Nietzschego na wczesne utwory Berenta i Peera Hultberga o recepcji „Pamiętnika z okresu dojrzewania" Gombrowicza. W tymże tomie Witold Cienkowski z Uppsali ogłosił uwagi o „Wyrazie *gbur* w języku polskim" a Edw. Możejko z Edmonton w Kanadzie o noweli Aksjonowa pt. „Dikoj" W bibliografii prac slawistów za lata 1970-71 wielokrotnie powtarza się nazwisko Jorgena Steena Jensena, historyka duńskiego, który wespół z prof. Karoliną Lanckorońską przygotował do druku dwa obszerne tomy „Res polonicae ex Archivo Regni Daniae" w serii „Elementa ad Fontium Editiones" Instytutu Historycznego w Rzymie wydane w 1969 i 1971 roku.

Peer Hultberg, który tym razem pisze o Gombrowiczu, jest uczniem prof. Jerzego Pietrkiewicza ze Szkoły Studiów Słowiańskich Uniwersytetu Londyńskiego. Karierę naukową rozpoczął od rozprawy o „Stylu wczesnej prozy fabularnej Wacława Berenta" (1969). Ogłoszona obecnie w *Scando-Slavica* rozprawa Joachima T. Baera z Princeton, U.S.A., świadczy, że zainteresowanie twórczością Berenta zaczyna zataczać szersze kręgi. Baer ma rację, pisząc, iż twórczość tego w pełni europejskiego pisarza jest niedoceniona w Kraju a niedostępna cudzoziemcom z braku przekładów. Tylko „Próchno" („Edelfäule") ukazało się po niemiecku w roku 1908 a „Żywe kamienie" („Les pierres vivantes") po francusku w roku 1931 w niedbałym przekładzie P. Cazin'a.

Baer podkreśla, iż podobnie jak Nietzsche Berent koncentrował uwagę na oświetlaniu stosunku sztuki do życia i znaczenia tradycji kulturalnej w kształtowaniu poglądów współczesności. Obaj uważali, iż nie da się pogodzić pełnowartościowej twórczości z normalną ludzką egzystencją. Nietzsche w „Tako rzecze Zarathustra" ujmował to j.n. „Wzywałbym ja was ku miłości bliźniego? Wolę stokroć podmawiać was ku ucieczce od najbliższych i umiłowaniu najdalszych". Hertenstein w „Próchnie" daje analogiczną wer-

* *Scando-Slavica*, tomus XII. Copenhagen ,1971, Munksgaard, str. 288.

się tego poglądu: „Więc nie ma szczęścia w wyżyciu samego siebie, w żądzach, pragnieniach, zamiarach, czynach, lecz na drodze celowego oddalania się od wszelkich żądz, pragnień i chęci wszelkich". I dalej: „Zerwij kajdany realności!" Tenże Hertenstein mówi o Turkule jako prawdziwym artyście: „Gdzie jest zwycięstwo, tam muszą być ofiary, gdzie tryumfuje czyn, tam musiało być zdeptane uczucie".

Baer przypuszcza, że Berent poznał pisma Nietzschego około roku 1890 z przekładów. Hipoteza ta nie wydaje się słuszna, bo Berent od dziecka uczył się niemieckiego a matka jego, Paulina Deike pochodziła z ewangelickiej rodziny niemieckiej. Wyruszając w roku 1890 na studia z zakresu biologii na Uniwersytecie w Monachium znać musiał dobrze niemiecki i, jak chętnie opowiadał piszącej te słowa, spędzał więcej czasu na lekturze nowości literackich niemieckich i francuskich niż w laboratoriach. To — i przyjaźnie artystyczno-kawiarniane — było przyczyną, z inicjatywy ojca, przeniesienia Wacława Berenta na dalszy ciąg studiów do Zurychu, gdzie w roku 1895 uzyskał doktorat na podstawie tezy z embriologii. To, że materiałem doświadczalnym były ryby, nie czyni z Berenta ichtiologa (jak chce Baer). Na konkretne pytanie w tej sprawie Berent wyjaśnił, że ryby były materiałem najtańszym i najłatwiej dostępnym do badań laboratoryjnych.

Berent nie lubił czytać przekładów a Nietzsche był w 1890 autorem o zamkniętej twórczości. Miał za sobą wszystkie swe dzieła, a sam, obłąkany, dożywał dni w Weimarze. Ostatni tom „Tako rzecze Zarathustra" ukazał się w czasie pobytu Berenta w Monachium tj. w okresie, gdy obracał się na co dzień w środowisku intelektualistów niemieckich i skandynawskich. O trwałości zainteresowania Nietzschem świadczy zarówno fakt, że Berent zainicjował i w dużej części sam wykonał program przyswojenia pism Nietzschego Polakom odciętym od oryginałów nieznajomością języka niemieckiego — a także szkic pt. „Źródła i ujścia nietzscheanizmu" (1905), w którym zwracał uwagę na możność wielorakich interpretacyj myśli Nietzschego. Gdy w latach 1930-tych szafowano w hitlerowskich Niemczech i literaturze faszystowskiej pojęciami „nadczłowieka", „woli mocy" Berent powracał chętnie do tej wczesnej rozprawy, odczytując z niej wezwania do wyrzeczeń i stawiania sobie trudnych do osiągnięcia ideałów moralnych. Uważał Nietzschego za genialnego ale przy tym błyskotliwego pisarza, narzucającego materiał do przemyśleń, punkt wyjścia do dalszych rozważań.

„Próchno", powieść wyrosła na tak pojętym podłożu nietzscheanizmu, ma jako główny temat stosunek artysty do życia, obowiązki wynikające z talentu i tragedie polegające na niemożności pełnego wypowiedzenia się przez twórcę. Baer wyczuwa, ale niedostatecznie odróżnia „twórcę" i „artystę" u Berenta. „Artystę" obdarzał on chętnie cechami pejoratywnymi, tym przede wszystkim, że skłonny jest grać „rolę" (= „masce", „gębie"). W pożegnalnym liście Jelsky'ego znalazło to wyraz w niemal gombrowiczowskich słowach: „Jedyną bronią przeciw fatum naszego życia jest dobra gra; na wpół już tylko świadoma zdolność oszukiwania ludzi i siebie aż do ostatniego tchnienia. Was, bracia artyści, uczyć tego nie trzeba: w tym sztuka nigdy nie zawodzi: odbiera duszę, daje „rolę". A więc, kanalie, *evviva l'arte!*".

Tylko pozornie łączy Berenta z Nietzschem potrzeba „Übermensch'a". Dla Berenta był to symbol najwyższych ideałów ludzkości, „twórca" — wyższy od „artysty", wolny od więzów powszedniości, odrzucający ponętny chleb „użytecznego członka społeczeństwa", uroki przytulności, dobroci, domowego ciepła, do których w „Próchnie" tęskni Müller. „Nadczłowiek" Berenta — to, jak słusznie wydedukował Baer — ideał nakreślony w testamencie ojca von Hertensteina jako miłość „sprawy" i „obowiązku" (w sensie, powiedzmy, judymowskim). W ramach tego ideału nie mieści się „sztuka dla sztuki". I tu, jakże słusznie, przypomina Baer potępienie Hertensteina przez Hildę: brat jej nie może dać szczęścia ani sobie, ani innym. Może być

tylko artystą, grającym żałosną rolę poszukiwacza imaginacyjnych szczytów. Tenże Hertenstein formułuje jednak, zgodnie z poglądami Berenta, definicję najwyższych wartości moralnych. Nie mogą się one uzewnętrzniać. Są — milczeniem. Zalatuje to nie tylko Nietschem, ale i Norwidem, bo i on opowiadał się po stronie wartości bez nazw i poza możnością ujęcia w słowa.

Baer uważa, że Berent wniósł coś własnego i głębokiego do odwiecznej dyskusji o roli sztuki i artysty. Rozprawa jego może przyczynić się do dalszych badań nad zapomnianym polskim pisarzem, autorem nie tylko „Próchna" ale i prekursorsko skonstruowanej „Oziminy" i wspaniałych rozważań historiozoficznych na kartach „Nurtu".

Dalszym dowodem zainteresowania nowszą literaturą polską jest szkic Peera Hultberga o „The reception of Gombrowicz's first work" (tj. „Pamiętnika z okresu dojrzewania", wydanego w roku 1933).

Pierwszym recenzentem był przyjaciel Gombrowicza, Tadeusz Breza. Dostrzegł on i docenił specyficzne poczucie humoru, sprawiające, iż Gombrowicz patrzył na najosobliwsze sytuacje, jak na zjawiska normalne. Zauważył nadto trafnie, iż debiutant nie jest autorem „dla wszystkich": „Do pewnych książek nie należy się przymuszać. Do tych należy książka Gombrowicza". Breza poświęcił nadto dłuższy fragment recenzji gombrowiczowskiej „aurze umysłu", uważając określenie to za „świetnie pomyślany chwyt psychologiczno-literacki, który każe czytającemu, jak najdłużej traktować świat „urazowca", jako świat normalny i zdrowy". Wśród dalszych, licznych jak się okazuje, recenzentów Hultberg najwyżej stawia recenzję prof. Tadeusza Sinki, który po nowym autorze „spodziewa się czegoś niezwykłego". I on dostrzegł skłonność do parodii i groteski a co więcej zalążki wszelkich przyszłych rozważań Gombrowicza o formie. Warto przytoczyć krótki fragment recenzji Sinki:

> „Zaczynając od końcowego 'Zdarzenia na brygu Banbury' znajdujemy obsesję seksualną niby to u marynarzy, a właściwie to u samego Zantmana, który sądzi, że u wszystkich jest tyle nieskromności, bo on sam jest czysty i skromny. Tymczasem właśnie jemu dolega ta 'czystość' i wyolbrzymia wszystko, jeśli nie w kierunku nieczystości, to — nierzeczywistości".

Recenzja ta zdała niewątpliwie próbę czasu. Gorzej z Kadenem. Ten zbłaźnił się zupełnie, śpiesząc z dobrymi radami wielkiego pisarza dla początkującego „młodego". Hultberg sądzi — zapewne nie bez racji — że Kaden książki nie przeczytał, albo nie zrozumiał. Bezbarwnie wypadły grzecznościowe recenzje Zofii Starowieyskiej-Morstinowej i Anieli Gruszeckiej.

O sumienności i trudzie badawczym Hultberga świadczy fakt, że dotarł do materiałów tak niełatwych do wyśledzenia, jak np. krótkie wzmianki w czasopiśmie „Radjo", 1933 czy łączne omówienia wartościowych „nowości" roku w „Kurierze Porannym", podpisane inicjałami „G.K." (— może Gabriel Karski?).

Z rozważań Artura Sandauera ogłoszonych *à propos* „Sanatorium pod Klepsydrą" Schulza w „Pionie" w 1938 roku (po ukazaniu się „Ferdydurke") Hultberg wyciąga wniosek, że pozycja Gombrowicza, jako jednego z czołowych pisarzy była już wyraźnie ustalona i że niesłusznie on sam uważał się za niedostrzeżonego czy niedocenionego. Sandauer ukuł określenie „metafora mitologiczna" na oznaczenie figury stylistycznej, będącej kombinacją przenośni i symbolu, w której element metaforyczny akcentowany jest silnie, a symboliczny ulega świadomej deformacji".

W zakończeniu szkicu Hultberg sięga do przedśmiertnych rozmów Gombrowicza z Dominikiem de Roux. Wynika z nich, że Gombrowicz reagował

przesadnie na uwagi negatywne (Kadena, Hulki-Laskowskiego, Eust. Czekalskiego, Z. Starowieyskiej-Morstinowej, Gruszeckiej). Sądzi także, że oceny negatywne wyrosły na gruncie niezrozumienia i nieprzemyślenia nowel zawartych w tomie, a tytuł „Pamiętnik z okresu dojrzewania" podsuwał recenzentom zarzut niedojrzałości.

Ze sprawozdania z 6 Kongresu Slawistów Skandynawskich wynika, że Hultberg przygotowuje obszerniejszą pracę o Gombrowiczu, gdyż zgłosił referat pt. „Gombrowicz's Dramatik".

Obie prace — Baera i Hultberga — zasługują na wydanie w przekładzie na język polski.

Maria DANILEWICZOWA

Dwa razy "Operetka" Gombrowicza

W ciągu niespełna roku publiczność Zachodniego Berlina mogła dwa razy obejrzeć „Operetkę" Gombrowicza. W lecie 1971 r. w wykonaniu przybyłego na Festiwal Międzynarodowy zespołu belgradzkiego „Atelje 212", obecnie zaś w inscenizacji berlińskiego teatru im. Schillera. Belgradzki zespół to chyba najśmielszy i najciekawszy teatr współczesnej Jugosławii. Gombrowicz cieszy się tam od lat wielkim powodzeniem. Reżyser Bogdan Jerkowicz zebrał młodych ludzi, opętanych teatrem, i pokazał „Operetkę" graną w szybkim tempie z południowo-słowiańskim temperamentem. Główny atut belgradzkiego wykonania — to tempo, ruch, brawura, giętkość ciał — zwłaszcza w scenach tanecznych — i piękność kształtów nagiej Albertynki. Do plusów jugosłowiańskiej ekspozycji należy zaliczyć udaną muzykę Vojtislava Kosticza.

A oto co pisał o tym przedstawieniu czołowy krytyk niemiecki, Friedrich Luft: „Zespół, w wyrafinowany sposób dobrany i prowadzony przez reżysera, zdołał znakomicie wykorzystać niewątpliwe słabości poszczególnych artystów. Wszystko wygląda stale jak szmira i to się właśnie udało. W ten sposób mógł Jerkowicz dokonać piekielnie trudnej realizacji tej sztuki. Lepsi wykonawcy musieliby się podwójnie maskować. Ta gwardia — tylko raz".

Inny zaś sprawozdawca pisał: „Sztuka Gombrowicza żąda od teatru bardzo dużo. Jest to skomplikowana i wieloznaczna partytura, która wykorzystuje skrzywione formy operetki do swoistej prezentacji historii. Idiotyczne typy operetkowe — te wszystkie hrabiątka i księżniczki, lokaje i słodkie dziewczątka, utrefieni kochankowie i wychuchani uwodziciele — to personel, któremu autor dmie w oczy wiatrem historii. Zankneblowane głosy tenorów i chichoczące diwy stają się postaciami historycznymi, a operetkowe tra la la... — obrazem historii".

Niemieckie wykonanie góruje nad jugosłowiańskim monumentalnością sceny i wspaniałością kostiumów, wyrafinowanym obrazem scenicznym z ciekawym pomysłem w postaci podwójnej serii ogromnych luster, w których widać jak gdyby drugą wersję „Operetki". Zrobił to mistrz z Pragi — Czech Svoboda; choreografię ustawił Anglik, a kostiumy — Polak. Reżyserowi Ernstowi Schroederowi — który specjalizuje się w sztukach Gombrowicza i wystawił już przedtem „Iwonę Księżniczkę Burgunda" i „Ślub" — udało się wydobyć lepiej niż Jugosłowianom, dwoistość podtekstu w sensie zarówno szyderstwa z umierającego świata dnia wczorajszego, jak i z okrucieństwa i tragedii epoki rewolucyjnej. Natomiast końcowa scena z nagą Albertynką była — abstrahując od różnicy osobistych walorów artystki belgradzkiej i jej konkurentki berlińskiej — w wydaniu jugosłowiańskim bardziej piękna i bardziej gombrowiczowska, niż u Ernsta Schroedera, przydługa i pokazana w stylu *music-hallu*. Można też mieć pewne zastrzeżenia co do gry Mistrza Fiora w wykonaniu, znakomitego zresztą w innych sztukach, Ericha Schellowa. Świetny natomiast był Profesor w swojej bezwolnej akceptacji i wysługiwaniu się rewolucji, w wykonaniu Holgera Kepicha.

Cytowany już Luft powiązał berlińską prapremierę w teatrze im. Schillera z kilkoma zasadniczymi uwagami na temat teatru Gombrowicza: „Nasze teatry, pisał, stoją wobec spuścizny wielkiego Polaka, Witolda Gombrowicza, najczęściej w zakłopotaniu i bezradności. Nie pasuje on do żadnych klisz myślenia. Mógłby być współzawodnikiem Brechta. Nie poucza o niczym, przynajmniej nie bezpośrednio. Nie jest też „absurdowcem" — choć często może się tak komuś wydawać. Nie podlega żadnemu ustalonemu „kierunkowi". W teatrze gra on na możliwościach wszelkich fantastycznych tęsknot. Pozwala rozwinąć się rozgoryczeniu lub piękności. Nikogo nie zmusza do wyciągania ze swych sztuk morału. Można z nich wiele wynieść, albo nic — w każdym razie jednak daje ożywienie teatru, żart, przestrach, powiew świeżości — więcej wizji niż poznania, więcej wskazań co do możliwości w życiu, niż wytycznych, jak żyć należy. Jest on, jak widzimy, w sensie swej genialności nie na czasie. Jestem przekonany, że jego godzina jeszcze wybije. W późniejszych czasach książki jego będą uważniej czytane, niż dzisiaj, a jego sztuki grane będą częściej i bardziej zrozumiale niż obecnie".

BERLIŃCZYK

Stypendia "Polonia Technica"

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów w Stanach Zjednoczonych, POLONIA TECHNICA, INC., uchwaliło przyznać na rok akademicki 1972/1973 stypendia studentom Polakom, matrykulowanym na wyższych uczelniach zagranicznych (poza Stanami Zjednoczonymi A.P. i Kanady) i studiującym nauki techniczne lub im pokrewne, jak matematyka, fizyka, chemia, ekonomia przemysłowa. Wysokość stypendiów zostanie uchwalona przez Komisję Stypendialną Stowarzyszenia.

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do dnia 20 czerwca 1972 roku podania pod adresem:

Polonia Technica, Inc.
Komisja Stypendialna
36 West 56 St., Apt. 1 C
New York, N.Y. 10019, U.S.A.

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok akademicki 1972/1973 (wydział i rok studiów), oraz referencje dwóch osób, znających osobiście kandydata.

Zaświadczenia uczelni dla kandydatów, ubiegających się o stypendia nie po raz pierwszy, winny zawierać wykaz egzaminów, złożonych w 1971/1972 roku. Podania winny być indywidualne; podania grupowe nie będą rozpatrywane.

Zawiadomienia o wynikach podań wysłane zostaną z końcem lipca br.

ZARZĄD „POLONIA TECHNICA, INC."
W. J. KLIMKIEWICZ
Przewodniczący Komisji Stypendialnej

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI
Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Książki

Dalsze tomy mickiewiczowskiego Kalendarium (I)

COLLEGE DE FRANCE 1840-1844*

Po pierwszych dwu tomach *Kroniki życia i twórczości Mickiewicza*, omówionych w Nrze 289 *Kultury*, ukazały się dwa następne — trzeci, wydany w *1968*, obejmuje okres od października 1840 do maja 1844 — lata prelekcji paryskich w Collège de France i pierwszego okresu zaangażowania się Mickiewicza w tzw. Sprawę Bożą, czyli w towianizm.

Aby zbudować ten tom centralny całej *Kroniki* należało wniknąć w ówczesny stan rzeczy we Francji. „Rozeznać się — jak pisze prof. Pigoń w przedmowie do tego tomu — w ówczesnym swoistym zaplocie republikanizmu, napoleonizmu, radykalnych dążeń do swobód demokratycznych, do sojuszu ludów, do odnowy życia kościelnego...".

Te różne idee i problemy naznaczyły Kurs Literatury Słowiańskiej, podobnie jak prelekcje jego kolegów Micheleta i Quineta.

Autorka tego tomu, Zofia Makowiecka, daje nam cały wachlarz opinii i głosów prasy ówczesnej, korespondencji współczesnych, uwag i sądów oraz opinie późniejszych pamiętnikarzy. — Ważkie to były lata dla zamilkłego odtąd *poety*, ważkie i zaciemnione profetycznymi wizjami, które przyjął za nowe „Objawienie Słowa".

Jako profesor Collège de France skupił na sobie uwagę nie tylko Polaków na emigracji i w kraju, ale też cudzoziemców, co znakomitszych w owe lata Francuzów, Rosjan, Czechów i innych Słowian. Nie jeden z nich zarzucał mu niekompetencję, Czesi wysuwali Palackiego lub Szafaryka jako godniejszych tej katedry. Emigranci polscy tropili stronniczość polityczną, intrygę, nieortodoksję katolicką, a nawet chęć zysku, ambicje osobiste.

* *Kronika Życia i Twórczości Mickiewicza*, Warszawa, P.I.W., 1968.

Mickiewicz przyjął Katedrę Literatury Słowiańskiej w poczuciu odpowiedzialności wobec narodu, Katedra Lozańska zapewniłaby mu byt i spokój z dala od niedoli skupionych w Paryżu rozpolitykowanych emigrantów. Przyjął to stanowisko, bo miał „coś do powiedzenia" światu o słowiańszczyznie, ale język francuski nastręczał mu trudności, miał złą wymowę i lękał się, jak to sam przyznał „zrobić fiasco"; B. Zaleski dzielił jego niepokój „oby go Paryżanie nie wygwizdali..." — zwierzył się Goszczyńskiemu.

Przy kłopotach domowych, recydywach choroby umysłowej żony, Kurs Literatur Słowiańskich był ciężkim brzemieniem i, zdawało się, chwilami, że nie starczy mu sił dla spełnienia podjętej misji.

„Smutek stąpił aż na dno mojej duszy — skarżył się Zaleskiemu — (2 grudnia 1840), skąd bardzo trudno go wyrugować, zwłaszcza, że i do pracy brak mi często czasu i swobody".

15 grudnia tegoż roku nastąpiła uroczystość sprowadzenia zwłok Napoleona i złożenie jego prochów w kościele Inwalidów. Pośród teatralnych dekoracji z gipsu i tektury zebrały się tłumy wiwatujące Cesarza, rychło rozpędzone trzaskającym mrozem.

W tydzień później wygłosił Mickiewicz swój pierwszy wykład wobec przepełnionej sali. „Byłem kwaśny i smutny" — przyznał się szczerze, a Witwicki notował: „...niepewność [językowa] trzyma go w ostrożności i jakby pod munsztukiem".

Zaraz w pierwszej prelekcji, czując swą nieudolność językową — stwierdził — że niepodobieństwem jest „wypowiedzieć słowo twórcze nie znając tajemnic języka. Wszystkie te trudności poznałem, za każdym ruchem, za każdym skinieniem mej myśli czuję ciężar łańcucha, jak wy brzęk jego słyszycie..." (brak tego znamiennego tekstu w *Kronice).*

25. grudnia w dzień imienin Mickiewicza odbyła się sławna uczta u Eustachego Januszkiewicza, pamiętna dwoma improwizacjami Słowackiego i Mickiewicza, o której znaczeniu i rozgłosie świadczą 23 opublikowane dotąd przekazy, szczegółowo przez Z. Makowiecką posegregowane i skomentowane wedle wiarogodności i czasu ich powstania.

Mickiewicz streścił relację z tego wieczoru w słowach: „...na chwilę wszyscy napełnili się miłością, w te chwile duch poezji był ze mną".

George Sand w swoim „Journal Intime" podaje zasłyszane echa tej uczty:

„Zdarzył się tymi dniami wypadek dosyć niezwykły w naszych czasach. Nikt z Polaków emigrantów obecnych na tym zebraniu nie mógł podać dokładnie co się tam stało... Pewne jest, że dobrze mówił i powiedział im tak piękne rzeczy, że wszyscy wpadli w rodzaj szału *(une sorte de délire),* słyszano jedynie krzyki i szlochania..." (Przekaz wspomniany, ale nie cytowany w *Kronice).*

W lipcu 1841 roku nastąpiła pierwsza bytność Towiańskiego u Mickiewicza, uzdrowienie Celiny i zapowiedź odkupienia świata. „Straszną przepędziłem noc, miał powiedzieć poeta nazajutrz po tej wizycie, była to walka Jakuba... Zaufałem na końcu w potęgę miłosierdzia Pańskiego" *(Kronika,* str. 133).

Kronika daje wykaz dziewięciu różnych relacji owej „walki Jakuba", kilka opisów uzdrowienia Celiny Mickiewiczowej i szereg przekazów z nabożeństwa w katedrze Notre Dame, po którym Towiański przemówił po raz pierwszy do zebranych Polaków.

Odtąd jako „sługa sprawy Bożej" stał się Mickiewicz narzędziem w rękach Towiańskiego, jego zaślepionym wyznawcą, głoszącym z jego rozkazu rychłe i bezkrwawe zmartwychwstanie Polski.

„Gdybym widział — wyznał Karolowi Sienkiewiczowi — traktat podpisany przez Francję, Anglię, Prusy i Austrię dla wskrzeszenia Polski, nie byłbym tego tak pewny, jak teraz jestem" *(Kronika,* str. 152).

Różnojęzyczne przekazy ilustrują wypadki ówczesne i rozgłos prelekcji trzech mówców wolnej Trybuny Paryskiej.

Michelet i Quinet, obaj przyjaciele Mickiewicza, w oparciu o hasła Wielkiej Rewolucji, o prawa człowieka do wolności, zwalczali władzę panującą, atakując tron i kościół, sprzymierzony z tyranami i klasą posiadających. Mickiewicz wtórował piętnując nieprawości „Kościoła oficjalnego". W prelekcji z 27 czerwca 1843 roku przedstawił profesor wzór ustroju rzeczypospolitej polskiej, ideał niedotrzymany, ale mający się odrodzić i obiecał geniuszowi Francji przymierze narodów słowiańskich...

„Wszyscy trzej — notował Michelet — nazajutrz — do łez wzruszeni" *(Journal* t. I., str. 592).

Micheleta, racjonalistę raził mistycyzm religijny Mickiewicza, jego mesjanizm, profetyzm; uprzedził więc przyjaciela, że drogi ich różnią się zasadniczo. Wyjaśnił tę różnicę później: „Nasz jedyny przeciwnik, nasz drogi przeciwnik, nas, filozofów, to Mickiewicz, mniej przeciwny, co równoległy, symetryczny [...] różnica polega na odrębności naszych narodów... nasza metoda to z dołu w górę... życie ma iść od narodu i wydać wielkiego człowieka, realizującego myśl bożą i przeciwnie, pojęcie ruchu z góry w dół, od Boga do wielkiego człowieka aż do narodu" *(Journal,* t .I., str. 592 — luty 1845).

Ton ostatniego roku prelekcji Mickiewicza (wydanych drukiem pt. *L'Eglise et le Messie — Religion et Politique)* wciąż się natężał, coraz świetniejsze było jego obrazowanie, groźniejsze ostrzeżenia — „własne ognie" usiłował przelać w serca słuchaczy, przygotowując ich do końcowej rewelacji.

Rozgadane akademie i parlamenty Europy porównywał do ludnych miast greckich Azji Mniejszej w pierwszych wiekach naszej ery, miast zasługujących na zagładę, jako że z igraszek umysłowych uczyniły swego bożka, zakładając swoje zbawienie w pergaminach... „wówczas islam, ogień pustyni przyszedł spalić, tę zeschłą trawę" (Lekcje z 12 marca 1844).

Groza tych zapowiedzi, wiara w rychłe zbawienie świata, dzięki nowemu Objawieniu Słowa — stwarzały nieprzewidziane reakcje w publiczności. Dziennikarz współczesny Lespinasse, za-

rzucając Mickiewiczowi jego „ekstrawagencję", przyczyna zmartwienia własnych jego przyjaciół, pisał: „... zdarzają się [wśród słuchaczy] wybuchy ekstazy, niepojęte wrzaski *(vociférations)*, ataki konwulsji, a w obliczu tego, na katedrze wznosi się niewzruszona *(impassible)*, blada twarz Mickiewicza. Studenci opuszczają audytorium zmieszani i przygnębieni *(navrés)*" *(Journal*, t. I., str. 897 — Notes).

Sainte Beuve donosił 25 marca Olivierom, szwajcarskim przyjaciołom poety: „Co do Mickiewicza to czyste szaleństwo *(pure folie)*, sądząc z doniesień, które mnie zewsząd dochodzą. Gdybym był ministrem, jutro bym go zawiesił" *(Kronika*, str. 582).

Próżne były ostrzeżenia władz, prośby, by kurs swój dobrowolnie przerwał. Odpowiadał, że życie jego jest oddane idei. „Tutejsze ministerstwo — pisał do brata Franciszka — dałoby mi pensję powiększoną znacznie i uwolnienie od służby, byle bym sam chciał przestać służyć sprawie, której służę" *(Kronika*, str. 357).

19 marca 1844 Mickiewicz oznajmił słuchaczom, że „Słowo Wcielone" żyje i, że on jest jedynie „iskrą odprysłą z pochodni".

„Służba moja — oświadczył — przed Bogiem i przed ludźmi jest skończona... Radość jakiej doznałem i jaka nie będzie mi odjęta, ... żem został powołany Wam to powiedzieć, będzie radością całego mego żywota i wszystkich moich żywotów... stoję w obliczu nieba żywym świadkiem nowego objawienia..."[1].

28 maja 1844 roku, zakończył Mickiewicz ostatnią swoją prelekcję apoteozą Napoleona i rozdaniem jego wizerunku wśród publiczności. Był to staloryt sporządzony przez Walentego Wańkowicz wedle wskazówek Towiańskiego: Oczy wzniesiom ku niebu, w butach z cholewami, wieńcu i ślubnym welonie, jako poślubiony narodom powołanym do działań „w duchu sprawy" (w tej postaci miał się Cesarz pokazać „mistrzowi" na polach Waterloo) — trzymając mapę Europy w ręku... Ten staloryt w swoim alegorycznym realizmie jest gorzej niż zły, jest śmieszny...

Tego już było za wiele za panowania Ludwika Filipa. Minister Villemain zarządził oficjalnie zawieszenie wykładów Mickiewicza, który już nigdy więcej nie miał przemówić z Katedry Collège de France.

Maria CZAPSKA

W dwie strony

„Literatura martyrologii czasów ostatniej wojny dzieli się na dwie bardzo nierówne części: ogromną i ciągle rosnącą „niemiecką" i jej ubogą siostrę „sowiecką"... W cieniu literatury okupacji i kacetów zamiera piśmiennictwo „sowieckie", saga łagrów, bydlęcych wagonów i tysięcy rodzin wleczonych w jasyr XX wieku, wymarłych lub zdziesiątkowanych, czyli — jak to ładnie pisano w Polsce Ludowej — uciekinierów przed faszystami, których gościnnie przygarnął Związek Radziecki".

1. A.M., *Dzieła*. Czytelnik 1955, t. XI, str. 453.

W „Moich uniwersytetach"[1] Kowalska opowiada historię własną i historię swoich rodziców od chwili, kiedy z miasteczka w Polsce B. wywieziono ich na Syberię w ramach oczyszczania terenu z elementów antysowieckich. Wylądowali w Tiażaniu, gdzieś na trasie transsyberyjskiej kolei:

„Ważność swą zawdzięczał Tiażan przede wszystkim rzeczom, które starały się być jak najmniej widziane. Tu do moskiewskich pociągów ładowano złoto zwożone z gór, i tu wyładowywano transporty specpieriesielieńców, zesłańców przeznaczonych do wydzierania onegoż z wnętrzności ziemi".

Przywieziono ich tam w roku 1940, do tajgi już wykarczowanej przez rozkułaczonych chłopów z Kijowszczyzny. Kraj pięknial latem i zamarzał zimą.

Ilu było podczas wojny tych przesiedlonych na wschód? Milczy na ten temat historia Polski współczesnej. Coś się wie, ale niezbyt dokładnie. Coś się słyszało, ale czy można w to wierzyć? Kowalska pisze o milionie, bardziej zacietrzewieni o dwóch. „Liczba zabija, liczba ocala..." — jak powiada poeta.

Kowalska słusznie nazwała swą książkę tytułem Maksyma Gorkiego. Jej pierwszy uniwersytet — pobyt w Tiażaniu, szczególnie stosunki w szkole sowieckiej — przypomniały mi zeszłoroczny krajowy *best-seller*, „Opowiadania o Leninie" Zoszczenki. Przy całej upiorności sytuacji zabawna i zdumiewająca jest sielskość atmosfery i familiarność stosunków pomiędzy miejscową władzą, Polakami i tubylcami.

Pewnego dnia poruszyło się koło Wielkiego Mechanizmu: „Wreszcie i my zobaczyliśmy plakaty na drzwiach domu kultury, które głosiły, że Hitler, o którym słyszeliśmy w szkole, że jest Wielkim Przyjacielem Towarzysza Stalina i Całego Sowieckiego Narodu okazał się podłym gadem i podstępnie napadł na Sowiecki Sojuz, co przypłaci swym plugawym życiem". Proroctwo — Bogu dzięki spełnione — dopełniła dla przesiedleńców ważna informacja, że na terenach ZSSR powstaje armia polska.

Kolejny uniwersytet po wyjeździe z Tiażania to kołchoz „Prawda" i plantacje bawełny. Pogoń za ojcem wcielonym już do wojska, tyfus, choroba nogi. Odczepianie od jednych pociągów, przyczepianie do innych. W pamięci pozostaje głód i obolałe ciało. Kromka chleba ofiarowana przez nieznajomego Rosjanina na dworcu.

W ten sposób — rażąco empiryczny — nabiera się właściwego pojęcia o historii i geografii. W praktyce bowiem najodleglejsze

1. Janina Kowalska, *Moje uniwersytety*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1971, str. 255.

kraje łączą się ze sobą, nieporządnie przechodzą jeden w drugi. Przenikają się krajobrazy i narodowości. Obok kołchozu „Prawda" leży ryżowy kołchoz koreański, sterczą porozbijane sarkofagi chanów. Stary Osman, który polubił Polaków cieszy się na przyjście „Gitlera", który wymorduje „Urusów". W domu szaman odczynia choroby, w szpitalu marznie się i ropieje, snując bolesne marzenia o jedzeniu. A jednocześnie w każdej zapadłej dziurze znaleźć można bibliotekę, w której pod stosami sowieckiej konstytucji leży Puszkin, Tołstoj, Gorki, Turgieniew.

Od dziesiątego roku życia pisała Kowalska pamiętnik tych podróży. Zaczęła w Teheranie — był to rodzaj ćwiczeń w miejsce szkoły — pisząc także o tym co zdarzyło się wcześniej. Ten pamiętnik, którego fragment przytacza, zaważył na kompozycji książki. Nastąpiło nietrafne pomieszanie dokumentu z pamięcią, które pozostało regułą w całej opowieści.

Pisarka jest dobrą recenzentką owego pamiętnika. Kiedy odczytuje go jako dorosła uderza ją najbardziej odwrócenie hierarchii, charakterystyczne dla ludzi, którzy znaleźli się, jeśli nie w piekle, to na pewno w jego przedsionku:

„Nawet jeśli jest wspomniane, że ludzie jedli psy, to ważny jest nie fakt tylko artykuł spożywczy".

Przerażająca jest dziecinna rzeczowość owego pamiętnika. W jednym z jego fragmentów czytamy o Karkin-Batasz, przez tubylców zwany doliną śmierci:

„Dzieci było 600, z czego 100 podobno umarło. Karkin-Batasz były to ruiny, w których były tylko jaszczurki i plamy krwi... Jedyną osobą, która w Karkin-Batasz dobrze wyglądała był major O., komendant garnizonu, kilka pań, nie wiadomo jakich, które z nim mieszkały i miały służące, no i ksiądz".

Poza pamiętnikiem, w pierwszej części książki gęsto jest od krajobrazów[2]. Nie robię z tego pisarce zarzutu; „Moje uniwersytety" są wspomnieniem i nie pretendują do miana literatury pięknej. Ich pretensjonalna poetyczność nie wynika z pretensjalności autorki. W wieku w którym oglądała to, co pozostało jej pod powiekami, tak się zapewne o przyrodzie myśli i tak się ją przeżywa.

Po Teheranie — Damaszek. Wreszcie okręt do Palestyny. Na okręcie kolejki do ustępów, rzecz sama w sobie niewinna:

„Ażeby się do nich dostać, trzeba było stać dwie, czasem trzy godziny (przy uniwersalnej biegunce!). Przy wejściu doń leżała pewna staruszka zmarła na okręcie już w drodze. Ludzie pchali się i deptali po niej".

Kolejny uniwersytet — po Palestynie — to Anglia w pierwszych latach po wojnie. Literacko najlepszy w tej książce. To co w poprzedniej — palestyńskiej szczególnie części — było naiwnie reportażowe, dziewczęco-zawadiackie — tu nabiera koncentracji, dojrzałości i pasji.

Obozowanie w Anglii to znów nędza, głód, znienawidzona polska szkoła ze wskrzeszanym duchem Anhellego i podwójnej czwórki. A po skończeniu szkoły następuje epopea prawdziwie heroiczna, choć autorce nie w głowie się chwalić. Pracuje po fabrykach, jako nieletnia płatna bardzo źle, brnie przez maturę angielską. W końcu na jednym z uniwersytetów prowincjonalnych zdaje egzamin wstępny i otrzymuje stypendium. Przez żywą, pełną humoru i sarkazmu opowieść przebija upór i wielka ludzka dzielność.

Ostatnim uniwersytetem jest Polska, lata siedemdziesiąte. Ściskający za serce przyjazd do miasteczka, z którego niegdyś wywieziono ich na tułaczkę. Relacja z pobytu w kraju — bez auta, drogich restauracji i kosztownych ciuchów na grzbiecie — jest dojrzała i sprawiedliwa. Rzetelna psychologicznie i czysta literacko.

Książkę, którą otwiera wyjazd na Wschód, zamyka powrót na Zachód.

Janina KATZ

2. Zachwytów nad naturą.

Nadesłane nowości wydawnicze

CZERNIAWSKI (Adam). *Liryka i druk.* Szkice i eseje. Str. 196. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1972).

IWANIUK (Wacław). *Lustro.* Poezje. Str. 58 i 6 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1971).

Polacy w Południowej Australii 1948-1968. Tom I. Praca zbiorowa pod redakcją Mariana Szczepanowskiego. Str. 397 i 3 nlb. (Wyd. Polish Association in South Australia Incorp., Adelajda, 1971).

FROSSARD (André). *Spotkałem Boga.* Tłumaczył z francuskiego Paweł Zdziechowski. Str. 156 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Kolekcja „Znaki czasu", t. 21, Paryż, 1972).

WERNER (Eric). *De la violence au totalitarisme.* Essai sur la pensée de Camus et de Sartre. Str. 264. (Wyd. Calmann-Lévy, Kolekcja „Liberté de l'esprit", Paryż, 1972, cena: F. 24,00).

SINYAVSKY (Andrew). *Unguarded Thoughts.* Tłumaczenie z rosyjskiego Manya Harari. Str. 65 i 3 nlb. (Wyd. Collins and Harvill Press, Londyn, 1972, cena: 95 p.).

TENIN (Vlas). *Moscow Nights.* (Sleep Soudly, Dear Comrade). Tłumaczenie z rosyjskiego Michel le Masque. Str. 288 i 2 nlb. (Wyd. The Olympia Press, New York, 1971, cena: dol. 6,95).

The Israel Year Book 1972. Str. 311. (Wyd. Israel Yearbook Publications Ltd., Tel Aviv, 1972).

BRZEZINSKI (Zbigniew). *Japan's Global Engagement.* Str. 270-282; nadbitka z *Foreign Affairs*, January 1972, New York).

LICHTEN (Joseph L.) *Some Aspects of Polish Jewish Relations During the Nazi Occupation.* Str. 21. (Odbitka z Studies in Polish Civilization, Institute on East Central Europe, Columbia University and the Poush Institute of Arts and Sciences in America, 1972).

The Lambda Letter. Vol. VI, December 1971, No. 1. Powielacz. Str. 39. (Wyd. The Lambda Chapter (at the University of Pennsylvania) of the National Slavic Honor Society).

JEDRKIEWICZ (Stefano). *Ridistribuzione del Potere Politico nella Jugoslavia Attuale*. Str. 63-81. (Nadbitka z *Nuovi Studi Politici*, Anno I — 1971 — N. 4, wyd. Bulzoni, Roma).

GÖRLICH (Joachim Georg). *Kirchenmusik im heutigen Polen*. Str. 48-54; (nadbitka z *Musik des Ostens 6*, Bärenreiter-Verlag, Kassel-Basel-Tours-London, 1972).

FILIPPOW (Boris). *Za tridcat' liet*. Wiersze zebrane 1941-1971. Str. 83 i 1 nlb. (Wyd. Waldon Press Inc., Waszyngton, 1971).

MUROWYCZ. (Łarysa). *Pionery swiatoji zemli*. Wiersze wybrane. Str. 64. (Wyd. „Svitannia", Toronto, 1969).

MUROWYCZ (Łarysa). *Jewszan*. Poezje w języku ukraińskim. Str. 64. (Wyd. „Svitannia" — The Dawn, Toronto, 1971).

Kalendar-Almanach „Mitła" na 1972 rik. Str. 128. (Wyd. Jurija Serediaka, Buenos Aires, 1971).

Kronika bieżących wydarzeń. W tłumaczeniu i opracowaniu Niny Karsov i Szymona Szechtera. Str. 355 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund Ltd., Londyn, 1972).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-2-72

Z opóźnieniem dowiadujemy się o śmierci w dniu 9. I. br. w Warszawie Władysława Włodzimierza Bociańskiego, byłego komendanta głównego i członka konwentu seniorów Związku Pracy dla Państwa „Legion Młodych". Bociański zmarł w wieku 63 lat. ■ W warszawskiej szkole teatralnej odbyła się premiera przedstawienia dyplomowego zatytułowanego „Akty". W ramach przedstawienia studenci zaprezentowali po jednym akcie „Ślubu" Gombrowicza i „Tanga" Mrożka. ■ Czechosłowackie władze zarządziły poszukiwania za obywatelem polskim Wojciechem Skoruzem, który miał rzekomo przekroczyć granicę polsko-czechosłowacką w zamiarze przedostania się na Zachód. Jak podaje radio czechosłowackie, Skoruza — pochodzący z Nowego Targu — miał już w przeszłości przekroczyć granicę i był wydany władzom polskim. ■ Według radia Hviezda (okupacyjna rozgłośnia sowiecka na terenie Czechosłowacji) istnieją dwa podstawowe kierunki dywersji w ruchu komunistycznym: liberalizm socjal-demokratyczny oraz „anarchistyczne uchylanie się od dyscypliny proletariackiej". Oba te kierunki, zdaniem rozgłośni, dążą do likwidacji komunizmu. ■ W Pradze została otwarta konferencja przedstawicieli zakładów ubezpieczeń społecznych z Bułgarii, Czechosłowacji, Mongolii, NRD, Polski, Rumunii, Węgier i Związku Sowieckiego na temat wzrostu niezdolności do pracy i przypadków jej zwalczania. ■ Kierownik delegacji czechosłowackiej na Zjazd Literatów Polski w Łodzi, udzielił wywiadu radio Praga, w którym stwierdził, że na zjeździe nie zanotowano żadnych wystąpień opozycyjnych, panowała atmosfera rzeczowa i „czerwoną nicią przewijały się wytyczne VI zjazdu, co stanowi dobry punkt wyjściowy na przyszłość. ■ W warszawskiej *Polityce*, numer z 5. II. 1972 r., ukazał się wielki artykuł Jana Bilaka pt. „Dziewiątka z ulicy Głównej". W reportażu tym, omawiającym działalność Milicji, jest charakterystyczne zdanie: „Dziwię się, dlaczego nikt nie wymienia odwagi (jeśli idzie o kwalifikacje milicjantów — przypisek Redakcji). A przecież w 1970 roku co szósty milicjant był znieważony, napadnięty, poturbowany".

16-2-72

Jeden z weteranów polskiej marynarki handlowej MS/Narwik, który odegrał dużą rolę w czasie ostatniej wojny, został sprzedany przez PRL na złom do Bilbao. ■ Słowacka Akademia Nauk przygotowuje wydanie encyklopedii słowackiej, która ma zawierać 18.000 haseł. ■ W Pradze ma być otwarta wystawa czeskiego i słowackiego gotyku. Najstarszy eksponat pochodzi z XIV wieku.

17-2-72

Redaktorem naczelnym *Życia Warszawy* został mianowany Ryszard Wojna. Był on znany ze swych artykułów antyczeskich w okresie inwazji Czechosłowacji w 1968 roku, ostatnio specjalizuje się w polityce niemieckiej. B. redaktor, Henryk Korotyński, został mianowany przewodniczącym Stołecznego Komitetu Frontu Jedności Narodu. ■ Coś dla Łobodowskiego: w Warszawie ogłoszono, że po raz pierwszy w b. roku odbędą się wycieczki studentów PRL do Hiszpanii.

18-2-72

Redaktorem naczelnym *Trybuny Ludu* został Józef Warecki, zastępca członka KC. ■ S. Mojkowski został mianowany prezesem RSW Prasa.

19-2-72
50 uczestników kampanii wrześniowej i Powstania Warszawskiego zostało udekorowanych w ZBOWiD'zie krzyżami Virtuti Militari. ■ W Skolimowie zmarła, w wieku lat 91, Jadwiga Reutt, dyrektorka b. gimnazjum im. Cecylii Plater-Zyberk w Warszawie. Wychowała ona 39 roczników.

21-2-72
B. wiceminister MSZ PRL, Józef Winiewicz, został mianowany wiceprezesem Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną.

22-2-72
Poetka Natalia Gorbaniewska, aresztowana w grudniu 1969 roku i umieszczona w zakładzie psychiatrycznym, została zwolniona i uznana za zdrową. ■ W Warszawie przedstawiciele Związku Sowieckiego, NRD, Bułgarii i Węgier podpisali porozumienie o utworzeniu międzynarodowego zjednoczenia gospodarczego do spraw przyrządów i aparatury atomowej „Interatominstrument". Zjednoczenie będzie miało siedzibę w Warszawie. ■ W Warszawie odbyła się uroczystość wręczenia nagród PEN-CLUBU tłumaczom literatur obcych na język polski. Nagrody otrzymali: Paweł Hertz, Artur Międzyrzecki, Barbara Sieroszewska i Zofia Siwicka.

23-2-72
Na lotnisku w Warszawie UB zatrzymało trzech dziennikarzy telewizji francuskiej i po przeszło dwugodzinnej rewizji skonfiskowało filmy i taśmy magnetofonowe. Poza reportażem z Polski filmy i taśmy były nagrane z Leopoldem Trepperem, byłym kierownikiem „Czerwonej orkiestry". ■ Zmarł w Poznaniu prof. Roman Pollak, nestor historyków literatury polskiej, w wieku lat 86.

24-2-72
Papież Paweł VI mianował czterech nowych biskupów na nieobsadzone diecezje węgierskie. Nominacje te zostały zatwierdzone przez władze węgierskie i nowi biskupi złożyli przysięgę posłuszeństwa Węgierskiej Republice Ludowej. Po wyjeździe kardynała Mindszenty'ego Watykan zdjął ekskomunikę, którą byli obłożeni duchowni węgierscy współpracujący z władzami. ■ Zmarł we Wrocławiu prof. Hugo Steinhaus, jeden z najwybitniejszych polskich matematyków. ■ Nowe saksy: w Zielonej Górze odbyła się konferencja z delegacją gospodarzy z Frankfurtu nad Odrą. Podpisano między innymi umowę o zatrudnienie mieszkanek woj. zielonogórskiego w fabrykach Frankfurtu i Wilhelm-Pieck-Stadt-Guben.

25-2-72
Na terenie Polski odbyły się manewry sztabów operacyjnych wojsk lądowych i morskich Związku Sowieckiego, Polski i Niemiec Wschodnich pod komendą marszałka Iwana Jakubowskiego.

1-3-72
Rzecznik prasowy rządu PRL, Włodzimierz Janiurek, oświadczył, że Leopold Trepper, były szef sowieckiej sieci szpiegowskiej z czasów wojny — „Czerwonej Orkiestry" nie będzie mógł opuścić Polski ze względów na „rację stanu". ■ W Katowicach ukazało się pierwsze wydanie magazynu *Środa — Trybuny Robotniczej*. Nowy tygodnik wydawany jest w nakładzie przeszło 620 tys. egzemplarzy. ■ Nominacje w PRL: dotychczasowy wiceminister spraw zagranicznych Adam Willmann mianowany został przez Radę Państwa ambasadorem Polski w Finlandii; Zygmunt Garstecki, podsekretarz

stanu w ministerstwie kultury i sztuki, przeszedł na emeryturę; podsekretarzem stanu w ministerstwie przemysłu ciężkiego został mgr inż. Zbigniew Sobczyk.

2-3-72
Rząd PRL zgłosił kandydaturę wiceministra spraw zagranicznych, Stanisława Trepczyńskiego, na przewodniczącego XXVII sesji zgromadzenia ogólnego ONZ, która odbędzie się w tym roku w Nowym Jorku. Stanowisko przewodniczącego zgromadzenia ogólnego obsadzane jest zgodnie z zasadą rotacji geograficznej. W b. roku przypada ono grupie państw Europie Wschodniej, które udzieliły zgodnego poparcia kandydatowi polskiemu.

5-3-72
Polski przemysł lotniczy wyeksportował (od 1953 roku) 11 tys. samolotów i śmigłowców, ok. 3 tys. szybowców i ok. 21 tys. silników lotniczych. Polska specjalizuje się w produkcji samolotów gospodarczych (rolniczych), lekkich śmigłowców jedno- i dwusilnikowych, a także szybowców i motoszybowców. Ponad 90 % rocznej produkcji przemysłu lotniczego przeznacza się na eksport, głównie do Związku Sowieckiego.

6-3-72
W Warszawie podpisano umowę polsko-sowiecką o współpracy przy budowie huty „Katowice". Orientacyjna wartość dostaw sowieckich urządzeń produkcyjnych, dokumentacji i projektów obliczana jest na 500 milionów zł dewizowych. Min. Olszewski podkreślił, że huta „Katowice" jest kolejnym wielkim obiektem przemysłowym po hucie im. Lenina i Petrochemii płockiej, który powstaje przy pomocy Związku Sowieckiego i że jest to dalszy etap integracji gospodarczej.

14-3-72
Dotychczasowy d-ca wojsk lotniczych PRL, gen. J. Raczkowski, został mianowany wiceministrem Komunikacji.

15-3-72
W Warszawie kursują pogłoski, że po wyborach nastąpi zmiana na stanowisku przew. Rady Państwa. Ma nim zostać przejściowo Jabłoński, zaś nowy Sejm ma przeprowadzić rewizję konstytucji przywracając stanowisko prezydenta państwa. Zostałby nim oczywiście Gierek zachowując stanowisko pierwszego sekretarza PZPR. Przewiduje się ponadto przywrócenie stanowisk wojewodów i starostów w miejsce przewodniczących Rad Wojewódzkich i Powiatowych. ■ Cenzura w Warszawie odmówiła prawa druku książki o R. Dmowskim, napisanej przez znanego publicystę Andrzeja Micewskiego, autora książek „W cieniu Marszałka Piłsudskiego" i „Z geografii politycznej 2-ej Rzeczpospolitej". ■ Czyżby rozpadnięcie się grupy katolickiej „Znak"? W nowym sejmie „Znakowi" przydzielono 5 miejsc poselskich narzucając — mimo sprzeciwu „Znaku" — jednego z kandydatów, p. Wacława Auleytnera, który uchodzi za męża zaufania Min. Spraw Wewn. Drugi kandydat, p. T. Myślik z Krakowa, cieszy się zaufaniem krakowskiego komitetu PZPR. Jeśli wziąć pod uwagę, że trzeci kandydat, J. Zabłocki, prowadzi coraz bardziej samodzielną politykę, uważając się jako b. poseł z Częstochowy za protegowanego Gierka i że Konstanty Łubieński jest od dłuższego czasu chory — sytuacja p. Stommy, jako leadera grupy, nie jest łatwa. Kard. Wyszyński zgłosił w tej sprawie *désinteressement*. ■ Z dniem 29 marca cło na samochody w PRL zostanie obniżone do 50 zł za kg. (poprzednio 150 zł za kg.).

ZACHÓD — EMIGRACJA

4-2-72
W Rzymie zmarła, w wieku lat 81, znana polska malarka-miniaturzystka Kazimiera Dąbrowska. ■ Dowiadujemy się z opóźnieniem o śmierci ppłk. Veli Bek Jedigar, który zmarł w Argentynie w wieku lat 64. Azerbejdżanin, bił się o niepodległość Azerbejdżanu w latach 1917-18, w 1922 przedarł się do Polski, gdzie został zaangażowany jako oficer kontraktowy. W kampanii 1939 roku brał udział jako zastępca dowódcy 7-go pułku ułanów lubelskich. Po wydostaniu się z niewoli niemieckiej pracował w AK pod pseudonimem „Jeleń". W lipcu 1944 dowództwo AK poleciło mu przedostanie się na Zachód do Polskich Sił Zbrojnych, gdzie dołączył do 2-go Korpusu we Włoszech. Po demobilizacji wyjechał do Argentyny, gdzie brał czynny udział w życiu społecznym.

11-2-72

Zmarł w New Yorku, w wieku 85 lat, inż. Witold Maksymowicz, jeden z pierwszych prenumeratorów *Kultury*, przyjaciel naszego pisma.

13-2-72
W Nowym Jorku zmarł Philip Mossely, profesor uniwersytetu Columbia i wybitny slawista.

15-2-72
W Paryżu, w Hotel Drouot, odbyła się licytacja pasteli, gwaszy i 20-tu olejnych obrazów znanego malarza ukraińskiego Wasyla Chmieluka, pochodzących z kolekcji szwajcarskiego bankiera Ernsta Jukera. Obrazy zostały sprzedane za 153.000 franków. ■ Biuro Spraw Konsularnych Departamentu Stanu ogłosiło sprawozdanie zawierające dane o emigracji do USA w dziesięcioleciu 1960-69. W tym czasie wydano wizy na stały pobyt 70.619 obywatelom Polski, 18.496 obywatelom Czechosłowacji, 10.445 Węgrom, 21.707 Jugosłowianom itd. Jeśli idzie o grupę polską to cyfra ta może być podwyższona o ok. 20 % biorąc pod uwagę duży odsetek osób które z Polski wyjechały do USA na wizytę i tu pozostały na stałe. ■ W Uniwersytecie stanowym w Pennsylwanii (USA) prof. Z. Birkenmayer rozpoczął wykłady o polskiej kulturze i cywilizacji.

16-2-72
Zmarł w Londynie, w wieku lat 67, znany dziennikarz Aleksander Milker.

18-2-72
W Londynie zmarł, w wieku lat 61, Aleksander Piskor, dziennikarz i literat. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej utworzył komisję do spraw wyznaniowych. Komisja ta ma nawiązać kontakty z hierarchią kościelną, przełożonymi zakonów i organizacji polskich kapłanów. ■ Śp. Stanisław Jonas, pracownik Westinghouse, zapisał 82.450 dolarów Alliance College, jako fundusz stypendialny. Funduszem tym będzie administrowała grupa trzech działaczy Związku Narodowego Polskiego: Helena Szymanowicz, Aleksander A. Koczyński i M. Hołodnik. ■ W Paryżu, nakładem Gallimard, ukazała się książka Juliana Stryjkowskiego „L'auberge du vieux Tag" w przekładzie Jerzego Lisowskiego. ■ Na walnym zebraniu Polskiego Towarzystwa Prawniczego w Stanach Zjednoczonych w Nowym Jorku prezesem Towarzystwa został ponownie wybrany Jan Morelowski.

19-2-72
W Rzymie uroczyście obchodzono 80-cioletnią rocznicę urodzin kardynała Josipa Slipyja. ■ W Rzymie, staraniem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, odbył się wieczór autorski Józefa Łobodowskiego.

20-2-72
W Presses Universitaires de France w Paryżu ukazała się książka prof. Jerzego Kalinowskiego „La logique des normes". ■ Australia i PRL postanowiły nawiązać wzajemne stosunki dyplomatyczne na szczeblu ambasad. PRL otwiera ambasadę w Canberra, ale Australia nie będzie miała swojej ambasady w Warszawie, gdyż ambasador australijski w Moskwie będzie jednocześnie akredytowany w Warszawie. ■ W uniwersyteckiej sali teatralnej w Toronto młodzież akademicka w ramach popołudniówki artystyczniej wystawiła scenę ze sztuki Sł. Mrożka „Szczęśliwe wydarzenie". ■ Feliks Refren-Konarski i Nina Oleńska, popularni artyści emigracyjni, obchodzili w Chicago 30-lecie swojej pracy artystycznej. Bankiet wydany na ich cześć zgromadził ponad 600 osób z przywódcami polonijnych organizacji na czele.

21-2-72
W Nicei zmarł Gieorgij Adamowicz wybitny emigracyjny pisarz rosyjski. ■ W Rzymie zmarł kardynał Eugène Tisserand, senior kolegium kardynalskiego. Prowadził on przez wiele lat pollitykę wschodnią Watykanu, politykę która wywoływała wiele zastrzeżeń w Europie Wschodniej.

22-2-72
Londyński *Times* donosi, że do W. Brytanii ma być dostarczony polski węgiel za ok. milion funtów. Węgiel był zamówiony jeszcze przed zakończeniem strajku górników w W. Brytanii. ■ Dyplomata PRL Konstanty Janowski — kierownik działu konsularnego w Ambasadzie PRL w Rzymie, został wydalony z Włoch za działalność szpiegowską. Jednocześnie wydalono pierwszego sekretarza amb. czechosłowackiej i dwóch członków bułgarskiej delegacji handlowej.

24-2-72
Odbyła się w Boras w Teatrze Miejskim premiera „Yvonne" W. Gombrowicza. „Yvonne" była przedtem grana w Stockholmie i w kilku innych miejscowościach szwedzkich.

28-2-72
Związek Sowiecki zakupił w Kanadzie 185 milionów buszli zboża za sumę 330 milionów dolarów, płatnych w chwili dostawy. Dostawa ma się rozpocząć w lipcu br. ■ Komitet Pomocy Rodakom w Kraju, utworzony w Londynie po wypadkach grudniowych w Polsce w roku 1970-tym, zebrał 8.193 funty. Pieniądze te zostały przekazane kardynałowi Wyszyńskiemu za pośrednictwem biskupa Władysława Rubina. ■ Zmarł w Londynie, w wieku lat 77, ppłk Eugeniusz Hinterhoff, specjalista od spraw wojskowych o międzynarodowej renomie, założyciel i honorowy sekretarz Koła Korespondentów Wojskowych (MCC). ■ W Marsylii zmarł, w wieku lat 69, znany dziennikarz angielski Darcie Gillie. Był on korespondentem *Morning Post* w Berlinie i w Paryżu oraz kierownikiem działu francuskiego w BBC Znany był w środowisku polskim, gdzie posiadał wielu przyjaciół.

29-2-72
Prasa fińska donosi, że w teatrze miasta Tempere odbywają się próby do prapremiery komedii Sławomira Mrożka „Szczęśliwe wydarzenie". Przekład sztuki został dokonany przez Natalię i Karola Laszeckich. Prasa podkreśla,

że już w 1967 roku sztuka Mrożka „Tango" odniosła wielki sukces artystyczny.

1-3-72
Fundacja Kościuszkowska w Nowym Jorku zorganizowała odczyt dr. Mieczysława Klimaszewskiego, przewodniczącego Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną, członka Rady Państwa, i działacza ZBOWiD'u. Dodatkowym zajęciem, ale nie najważniejszym, p. Klimaszewskiego jest rektorat Uniwersytetu Jagiellońskiego. Należy jak najbardziej popierać współpracę emigracji i Polonii z polską nauką, ale dlaczego ma się to odbywać w sosie propagandowo-politycznym? Polityka Fundacji Kościuszkowskiej od dłuższego czasu jest niezbyt zrozumiała. Z inicjatywy p. Kusielewicza, prezesa Fundacji, p. Klimaszewski został zaproszony przez Fundację im. Reymonta w Toronto, zaś obecnie p. Klimaszewski otrzymał honorowy doktorat Kolegium Związkowego (Alliance College) w Cambridge Springs, Pa. — jedynej polskiej uczelni finansowanej przez centralne organizacje polonijne. ■ Polska placówka Legionu Kanad. w Toronto otrzymała od rządu federalnego 35.000 dol. na rozbudowę swego budynku, stworzenie biblioteki oraz pokojów mieszkalnych dla samotnych kombatantów w starszym wieku. ■ Kanadyjski rząd federalny przewiduje w budżecie na rok 1972/73 3 miliony dolarów dla archiwum państwowego, biblioteki narodowej i muzeum narodowego celem uwzględnienia problematyki etnicznej, a więc: nabycia materiałów dotyczących grup etnicznych, książek, czasopism, czy poszczególnych opracowań. Ponadto preliminuje się 1 milion dolarów na bezpośrednią pomoc dla różnych projektów kulturalnych grup etnicznych. Projektuje się też udzielenie dotacji dla przygotowania 20-tu prac historycznych o grupach etnicznych w Kanadzie. ■ Tadeusz Jaworski, który opuścił Polskę w 1968 roku, wykonał pierwszy film dla telewizji kanadyjskiej, który uzyskał bardzo wysoką ocenę krytyków. Jaworski jest obecnie profesorem reżyserii filmowej w Humber College w Toronto. ■ Zw. Dziennikarzy RP w Londynie zorganizował zebranie dyskusyjne pt. „Perspektywy normalizacji między kościołem, a rządzącym komunizmem w Polsce".

2-3-72
W Paryżu, w Galerie du Triangle, została otwarta wystawa prac Jana Lebensteina. Wystawa będzie trwała do 8 kwietnia br.

3-3-72
W gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu odbyło się doroczne walne zebranie Towarzystwa Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji. ■ W Hotel Drouot w Paryżu odbyła się licytacja obrazów Mieczysława Lurczyńskiego i Stanisława Eleszkiewicza. ■ Zmarł w Londynie, w wieku lat 72, Stanisław Starzewski, znany dziennikarz, w czasie wojny współpracownik *Orła Białego* w 2-gim Korpusie.

4-3-72
Odbyło się w Stockholmie poświęcenie własnego lokalu polskich organizacyj niepodległościowych z Radą Uchodźctwa na czele. Lokal nabyty został z pieniędzy zebranych wśród polonii. Dawny lokal polskiej kolonii, Ognisko, był od roku 1939 dzierżawiony.

9-3-72
Instytut Wschodni „Reduta" w Londynie urządził odczyt Bogdana Brodzińskiego pt. „Persja — miękkie podbrzusze świata".

11-3-72
Polski Oddział Stow. Kultury Europejskiej (SEC) przyznał swoją tegoroczną nagrodę znakomitemu slawiście i poloniście czeskiemu, prof. Karelowi Krejczemu.

13-3-72
Corriere della Sera donosi o demonstracjach robotniczych w Łodzi. W mieście i po fabrykach rozrzucane są ulotki, oskarżające Gierka o niedotrzymanie obietnic z lutego ub. roku, tolerowanie korupcji dygnitarzy rządowych i partyjnych oraz stagnację gospodarczą.

14-3-72
Wspólna komisja Senatu i Kongresu USA zapewniła budżet dla radiostacji Free Europe i Liberty do 30 czerwca rb., tj. do końca obecnego roku budżetowego. Dalsze finansowanie tych radiostacji jest nadal sprawą otwartą. Jest możliwe, że Dept. Stanu wniesie projekt oddzielnej ustawy budżetowej dla obu radiostacji na okres do końca czerwca 1973. Z-ca Sekretarza Stanu poinfirmował agencje prasowe, że mają być rozważane możliwości poparcia finansowego dla monachijskich radiostacji ze strony państw europejskich należących do NATO.

15-3-72
W Paryżu, z inicjatywy YMCA-PRESS, *Possievu*, *Cinq Continents* i *Russkoj Mysli* otwarto wystawę książek rosyjskich wydanych w ostatnich latach na Zachodzie oraz przekładów na języki francuski, angielski, niemiecki i włoski ■ Prezydent Zaleski w Londynie mianował: Dr. Gideona Dar-Ziv na terenie Izraela z tytułem Ministra Pełnomocnego z dniem 1. 9. 1971 roku; Ppłk. Romana Królikowskiego na prowincję Transvaal w Republice Płd. Afryki, z dniem 28. 9. 1971 roku; Dr. Kazimierza Koneckiego na terenie Brazylii, z tytułem Ministra Pełnomocnego, z dn. 1. 9. 1971 roku; Janusza Kazimierskiego na Kanton Genewski w Szwajcarii, z dniem 28. 10. 1971r.; Dr. Henryka Cyrana na teren Indonezji z tytułem Ministra Pełnomocnego, z dniem 29. 9. 1971 r.; Bronisława Kurzweil na teren Etiopii z tytułem Ministra Pełnomocnego, z dniem 1. 9. 1971 roku. Ponadto powołał do życia Radę Stanu R.P. na okres przejściowy, jako organ doradczy Prezydenta i Rządu. ■ Dr Alicja Iwańska została mianowana profesorem zwyczajnym socjologii na uniwersytecie w Albany, N.Y. (USA).

Dwutomowa powieść Aleksandra Sołżenicyna

KRĄG PIERWSZY

wzbudziła wyjątkowe zainteresowanie wśród naszych Czytelników. Nakład książki został szybko wyczerpany — a stale otrzymujemy dalsze zapytania o tę książkę.

W związku z tym zdecydowaliśmy się na jej wznowienie. Zawiadamiając o tym prosimy o nadsyłanie konkretnych zamówień.

INSTYTUT LITERACKI

Przypominamy raz jeszcze, że rękopisy niezamówione przez redakcję nie będą odsyłane, jeśli do przesyłki nie będzie dołączona odpowiednia ilość międzynarodowych kuponów pocztowych

◆

Wobec licznych zapytań podajemy, że dopłata lotnicza do Kultury *kosztuje w tej chwili* dol. 8,50 rocznie *do: Stanów Zjednoczonych i Kanady, oraz do wszystkich krajów Afryki i Ameryki Południowej.*

Dopłata lotnicza do Australii, Nowej Zelandii, Japonii i Indonezji wynosi rocznie dol. 11,00.

REDAKCJA

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 2e Trimestre 1972.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	$ A 1,50	$ A. 8,00	$ A. 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57 ,1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	$ US 1,50	$ US. 8,00	$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryzu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	F. h. 54,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; **B. Krasuski,** 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. **Donald Malinowski,** 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; **Z. Micherdzinski,** 34 Facer Str., St. Catharines, Ontario, **Jozef Polkowski,** 110 Cobourg Street, apt. 301. Ottawa 2, Telefon: 233-7212; **« Polish Voice Publishing » Co.,** 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; **« ZWIAZKOWIEC »,** 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	$ Can. 1,50	$ Can. 8,00	$ Can. 15,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046: **W. Dziarczykowska,** 2402 Cheremoya Ave., Hollywood, Cal. 90028; **Ada Dziewanowska,** 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02712; **Maria E. Dobrowolska,** 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; **T. Konopacki,** 11839 Edgawater Dr., Lakewood, **O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz,** 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, **Edward Posynlak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; **The Polish Book Importing Co.,** 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08831. **POLONIA,** Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. **R.J. Sas-Babczynski,** 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; **Jan Wojcik.** 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; **Jan Zych,** 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	$ US 1,50	$ US. 8,00	$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 82; półroczna F. 45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 *(z Francji)*
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 *(z zagranicy).*

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 215 — CZESŁAW MIŁOSZ

PRYWATNE OBOWIĄZKI

Retrospektywny wybór tekstów wybitnego poety i eseisty. Wybór jest poprzedzony zasadniczym wstępem Autora.

Str. 256. Cena F. 25 (dol. 5,50; £.2.00)

◆

TOM 216 — DANUTA MOSTWIN

JA ZA WODĄ, TY ZA WODĄ...

Powieść z życia polskiej emigracji powojennej w Stanach Zjednoczonych oraz z życia stypendystów PRL w USA. Ich wzajemne stosunki, konflikty i tęsknoty.

Str. 304. Cena F. 30 (dol. 6,50; £.2.50)

◆

TOM 217 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY PIERWSZY

Zawiera m.in.: Z. Siemaszko: *Grupa Szańca i Narodowe Siły Zbrojne;* L. Dobroszycki: *Prasa w Polsce w okresie kampanii wrześniowej i niemieckiego zarządu wojskowego;* St. Kirkor: *Sprawy finansowe Polski w przededniu ostatniej wojny;* St. Stempowski: *Ukraina (1919-1920);* A. Krzyżanowski: *Dzieje najnowsze Polski w oczach Zachodu* (cz. I-a); K. Iranek-Osmecki: *Sprawozdanie i dziennik podróży emisariusza Antoniego; 5-ta Brygada Wileńska A.K. mjr. Łupaszki;* P. Watowa: *Paszportyzacja;* L. Mitkiewicz: *Likwidacja Polskiej Misji Wojskowej w St. Zjednoczonych w 1945 r.* oraz DZIAŁY: SĄSIEDZI, RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. F. 18,50 (dol. 4,25; £.1.50)

Cena 7,50 F

RICHARD S.A. - Paris - 606-88-26